

STANISŁAW LEM

# **Pokój na Ziemi**

## I. PODWOJENIE

Nie wiem, co robić. Żebym chociaż mógł powiedzieć “źle ze mną”, nie byłoby najgorzej. Nie mogę też rzec “źle z nami”, bo tylko częściowo mogę mówić o własnej osobie, aczkolwiek nadal jestem Ijonem Tichym. Od dawna mam zwyczaj głośnego mówienia przy goleniu, a teraz musiałem z tego zrezygnować, bo lewe oko przeszkadzało mi złośliwym podmrugiwaniem. Dopóki siedziałem w *LEMie*, nie zdawałem sobie sprawy z tego, co zaszło tuż przed startem. Ten *LEM* nie miał nic wspólnego z amerykańskim trójnogiem, którym NASA wysłała Armstronga i Aldrina po parę księżycowych kamieni. Nazywał się tak samo dla zakamuflowania mojej tajnej misji. Diabli nadali tę misję. Po powrocie z gwiazdozbioru Cielca nie zamierzałem nigdzie lecieć co najmniej przez rok. Zgodziłem się wyłącznie dla dobra ludzkości. Rozumiałem, że mogę nie wrócić. Doktor Lopez wyliczył, że mam jedną szansę na dwadzieścia i osiem dziesiątych. To mnie nie wstrzymało. Jestem ryzykantem. Raz kozie śmierć. Wrócę albo nie wrócę, rzekłem sobie. Nie przyszło mi do głowy, że mogę wrócić, chociaż nie wrócę, bo wrócimy. Żeby to wytłumaczyć, muszę zdradzić parę spraw o najwyższym stopniu tajności, ale wszystko mi jedno. To znaczy częściowo. Przecież pisać muszę też częściowo, z wielkim trudem. Stukam na maszynie prawą ręką. Lewą musiałem przywiązać do poręczy fotela, bo była przeciwna. Wrywała papier z maszyny, nie dała się udobruchać żadnymi argumentami, a przy krępowaniu podbiła mi oko. Jest to skutek podwojenia. Każdy ma w głowie dwie półkule mózgu połączone wielkim spoidłem. Po łacinie *corpus callusum*. Dwieście milionów białych włókien nerwowych łączy mózg, żeby mógł zebrać myśli, ale już nie u mnie. Ciach i po wszystkim. I nawet nie było żadnego ciachnięcia, tylko ten poligon, na którym księżycowe roboty wypróbowywały nową broń. Napatoczyłem się tam zupełnie przypadkowo. Wykonałem już zadanie, przechytryłem te zimne stwory, wracałem już do *LEMa*, ale zachciało mi się siusiu. Na Księżycu nie ma ustępów. W próżni byłyby zresztą na nic. Nosi się ze sobą w skafandrze pojemnik, taki sam mieli Armstrong i Aldrin. Można więc w każdym miejscu i w każdej chwili, ale krępowałem się. Zbyt kulturalny jestem, a może raczej byłem. Tak jakoś w pełnym słońcu na środku Mare Serenitatis było niezręcznie. Trochę dalej sterczał wielki samotny głaz, więc poszedłem tam, do cienia pod tym głazem. Skąd mogłem wiedzieć, że tam działa już to ultradźwiękowe pole. Folgując sobie poczułem w głowie jakby maleńkie pstryknięcie. Jakby mi coś nie w karku strzeliło, co bywa, ale troszkę wyżej. W środku czaszki. To była właśnie zdalna integralna kallotomia. Nic nie bolało. Zrobiło mi się dziwnie, ale zaraz przeszło i udałem się do *LEMa*.

Owszem, miałem wrażenie, że wszystko jest jakieś inne i ja trochę też, ale przypisywałem to podnieceniu, zrozumiałemu po tylu przejściach. Prawą ręką zawiaduje lewa półkula mózgu. Dlatego powiedziałem, że piszę to tylko częściowo. Prawa półkula ma coś przeciw temu, skoro przeszkadza. Okropnie to pokiełbaszone. Nie mogę powiedzieć, że ja - to tylko moja lewa półkula. Muszę iść z drugą na kompromisy, toż nie będę siedział wiecznie z uwiązaną ręką. Próbowałem ją ugłaskać różnymi sposobami, ale na próżno. Jest po prostu niemożliwa. Agresywna, wulgarna i arogancka. Całe szczęście, że nie potrafi czytać wszystkiego. Tylko niektóre części mowy: najlepiej rzeczowniki. Tak jest zawsze, wiem to, bo się naczytałem już odpowiednich książek. Czasowników ani przymiotników nie rozumie jak należy, więc ponieważ patrzy na to, co tu wystukuję, muszę się wysławiać tak, żeby jej nie zirytować. Czy to się uda - nie wiem. Zresztą nikt nie wie, dlaczego całe dobre wychowanie mieści się w lewej półkuli.

Na Księżycu miałem wylądować też częściowo, ale w całkiem innym sensie, bo to było przed wypadkiem, a więc nie byłem jeszcze podwojony. Miałem się kręcić wokół Księżyca na stacjonarnej orbicie, a rekonesans miał wykonać mój zdalnik. Nawet podobny do mnie, chociaż plastikowy, z czujnikami. Siedziałem więc w *LEMie 1*, wylądował *LEM 2* ze zdalnikiem. Te militarne roboty są strasznie zajadłe wobec ludzi. W każdym gotowe wietrzyć przeciwnika. Tak mi przynajmniej powiedziano. Niestety, *LEM 2* nawalił i dlatego zdecydowałem się na osobiste lądowanie, żeby zobaczyć, co z nim jest, bo niecała łączność została przerwana. Siedząc w *LEMie 1* i nie czując już *LEM*a 2 czułem jednak ból brzucha, który właściwie nie bolał mnie bezpośrednio, ale przez radio, bo jak się okazało po wylądowaniu, rozłamały *LEMowi* pokrywę, wyciągnęły zdalnik i z kolei wzięły mu się do brzucha. Nie mogłem odłączyć tego kabla na orbicie, bo gdybym go odłączył, brzuch przestałby mnie wprawdzie boleć, ale utraciwszy ostatek łączności z moim zdalnikiem, nie wiedziałbym, gdzie go szukać. Mare Serenitatis, na którym wpadł w zasadzkę, jest prawie takie jak Sahara. Ponadto pomyliły mi się kable, bo choć każdy był innego koloru, było ich cholerne mnóstwo. Instrukcja awaryjnej obsługi gdzieś mi się zapodziała, a zresztą szukanie jej z bólami brzucha tak mnie rozwścieczyło, że zamiast wzywać Ziemię, zdecydowałem się wylądować, chociaż ostrzegano mnie, żeby tego w żadnych okolicznościach nie robić, bo się już nie wykaraskam. Odwrót nie leży jednak w mojej naturze. Ponadto, chociaż *LEM* to tylko maszyna wypchana elektroniką, nie chciałem go zostawić na pastwę robotów.

Jak widzę, im więcej wyjaśniam, tym ciemniejsze się to robi. Chyba wezmę się do rzeczy od samego początku. Inna rzecz, że nie wiem, jaki był ten początek, bo musiałem go zapamiętać przeważnie w prawej połowie mózgu, a mając do niej odcięty dostęp, nie mogę

zebrać myśli. Wnoszę to stąd, że nie pamiętam masy rzeczy i żeby się choć po trochu o nich dowiadywać, muszę lewej ręce dawać prawą takie znaki na migi, jakie należą do języka głuchoniemych, ale ona nie zawsze chce odpowiadać. Pokazuje na przykład figę, a to jest jeszcze najgrzeczniejszy wyraz jej odmiennego zdania.

Trudno, żebym nie tylko gestykulacją brał jedną ręką na spytki drugą, ale przyłożył jej dla pokonania sprzeciwu. Nie będę tu niczego owijał w bawełnę. Może dałbym wreszcie łupnia własnej kończynie, lecz sęk w tym, że tylko prawa ręka jest silniejsza od lewej. Nogi są pod tym względem jednakowe, a co gorsza, na małym palcu prawej mam zastarzały nagniotek i lewa o tym wie. Kiedy w autobusie zaszedł ten skandal i wcisnąłem lewą rękę przemocą do kieszeni, z zemsty jej noga tak nadepnęła na odcisk, że gwiazdy ujrzałem. Nie wiem, czy to efekt spadku inteligencji, wywołany moją połowicznością, ale widzę, że piszę jakiejś głupstwa. Noga lewej ręki to po prostu lewa noga; są chwile, kiedy moje nieszczęsne ciało rozpada się na dwa wrogie obozy.

Musiałem przerwać to pisanie, bo usiłowałem się kopnąć. To znaczy lewa noga prawą stopę, a więc nie siebie chciałem kopnąć, i nie ja, czy też nie ze wszystkim ja, ale gramatyka nie jest po prostu przystosowana do takich sytuacji. Już prawie wziąłem się do ściągania bucików, ale dałem spokój. Człowiek nawet w takiej biedzie nie powinien robić z siebie błazna. Co, mam sobie poprzetrzącać kulasy, żeby się dowiedzieć, jak było z tą instrukcją i z tymi kablami? Niegdyś biłem się co prawda z samym sobą, ale w odmiennych okolicznościach. Raz wcześniejszy z późniejszym, w pętli czasu, a raz po zatruciu benignatorami. Biłem się, owszem, ale pozostawałem niepodzielnym sobą, i każdy, kto zechce, może wczuć się w takie położenie. Alboż to ludzie w średniowieczu nie spuszczały samemu sobie cięgow dla pokuty? Nikt jednak nie wczuje się we mnie teraz. To niemożliwe. Nie mogę nawet rzec, że mnie jest dwóch, bo na rozum biorąc i to nieprawda. Jest mnie dwóch, czyli częściowy jestem też częściowo, bo nie w każdej sytuacji. Jeśli chcecie się dowiedzieć, co mnie spotkało, musicie bez gadania i protestów czytać wszystko, co piszę po kolei, nawet nic nie rozumiejąc. To i owo z czasem się przejaśni. Nie do samego końca pewno, bo do końca można tylko przez kallotomię, tak samo jak nie da się wytłumaczyć, co to znaczy być jakąś wydrą lub żółwiem. Gdyby już ktoś, mniejsza o to jak, został żółwiem albo tą wydrą, i tak nie będzie mógł nic o tym zakomunikować, bo zwierzęta nie mówią ani nie piszą. Zwyczajni ludzie, do których należałem przez znaczną część życia, nie pojmują, jak to może być, żeby facet z rozciętym mózgiem był niby dalej sobą. A wygląda na to, że jest, skoro mówi o sobie JA a nie MY, chodzi całkiem normalnie, rozmawia do *rzeczy*. Kiedy je, też w niczym nie poznać, że prawa półkula nie wie, co robi lewa (w moim przypadku z

wyjątkiem zupy z krupkami). A zresztą są tacy, co twierdzą, że kallotomie musiały już być u narodzin *Pisma Świętego*, skoro jest w nim powiedziane, że lewa ręka nie musi wiedzieć, co czyni prawa, ale ja to mam za przenośnię religijną.

Pewien facet prześladował mnie przez dwa miesiące, żeby wydusić ze mnie prawdę. Składał mi wizyty w najbardziej niestosownych porach, żeby zamęczać mnie pytaniami, ilu mnie naprawdę jest. Fachowe podręczniki, które mu dawałem, żeby sam sobie przeczytał i dowiedział się, nic mu nie dały, zresztą tak samo jak mnie. Pożyczałem mu te książki, żeby się odczepił. Poszedłem wtedy kupić sobie buciki bez sznurowadeł, takie z elastyczną gumą na wierzchu, dawniej zwane zdaje się sztybletami, bo gdy mej lewej części nie chciało się iść na spacer, nie byłem w stanie zasznurować bucików. Com prawą zawiązał, lewa ręka rozwiązywała. Postanowiłem więc kupić te sztyblety i jeszcze parę gimnastycznych pantofli do biegania. Nie żeby mi się chciało uprawiać milami modny *jogging*, ale żeby dać szkołę prawej półkuli mózgu, bo wtedy nie potrafiłem się jeszcze ani w żąb porozumieć z nią i byłem tylko coraz bardziej zły i w siniakach. Mając sprzedawcę w sklepie za zwykłego subiekta, coś tam bąknąłem, żeby usprawiedliwić dziwne me zachowanie, właściwie nie moje. Po prostu, kiedy klęczał przede mną z łyżką do butów, lewą ręką złapałem go za nos. To znaczy ona go złapała i usiłowałem się usprawiedliwić, a właściwie zwalić to na nią. Myślałem, że jeśli nawet weźmie mnie za wariata (skąd sprzedawca w sklepie z obuwem miałby coś wiedzieć o kallotomii?), wyjdę na swoje, bo sprzeda mi w końcu te buciki. Wariat też nie musi chodzić boso. Niestety, był to zarobkujący dorywczo student filozofii i cholernie go wzięło.

- Na zdrowy rozum i na litość boską, panie Tichy! - krzyczał w moim mieszkaniu - przecież logika powiada, że albo jesteś pan jeden, albo więcej! Jeżeli pana prawa ręka wciąga spodnie, a lewa jej nie daje, to znaczy, że za każdą stoi określona połowa mózgu, który sobie coś myśli, a przynajmniej chce, skoro nie ma ochoty na to, na co ma ochotę druga połowa. Gdyby tak nie było, to awanturowałyby się z sobą także poodcinane ręce i nogi, czego one, jak wiadomo, nie robią!

Dałem mu wtedy Gazzanigę. Najlepszą monografią rozciętego mózgu i skutków tej operacji jest książka profesora Gazzanigi, *Bisected Brain*, wydana jeszcze w roku 1970 przez Appleton Century Crofts z Educational Division in Meredith Corporation i żeby mi się tak mózg zrósł na powrót, jak mówię świętą prawdę, że nie wymyślił ani tego Michaela Gazzanigi, ani jego taty (któremu poświęcił swą monografię), który zwał się Dante Achilles Gazzaniga i też był doktorem (M.D.). Kto nie wierzy, niech pobieży zaraz do najbliższej medycznej księgarni, a mnie da święty spokój.

Ten typ, który mnie prześladował, żeby wycisnąć ze mnie zeznania, jak to jest, żyć w podwojeniu, niczego się ode mnie nie dowiedział. Wskórał tylko tyle, że doprowadził obie me półkule do zgodnej wściekłości, skoro złapałem go oburącz za kark i wyrzuciłem za drzwi. Takie chwilowe harmonie mego rozkojarzonego jestestwa zdarzają się nieraz, ale nic z tego dalej nie wiem.

Ten młodociany filozof telefonował do mnie potem w środku nocy, sądząc, że wyrwany ze snu wyznam mu swój niesamowity sekret. Prosił, żebym przykładął słuchawkę raz do lewego a raz do prawego ucha, nie zważając na soczyste określenia, jakimi go raczyłem.

Utrzymywał uparcie, że nie jego pytania są idiotyczne, lecz stan, w jakim się znajduję, jest bowiem sprzeczny z całą antropologiczną, egzystencjalną i jeszcze tam jakąś filozofią człowieka jako istoty rozumnej i świadomej własnego rozumu. Musiał być świeżo po egzaminach cały ten student filozofii, sypał bowiem Heglami, Kartezjuszami (Myślę, więc Jestem, a nie Myślimy, więc Jesteśmy), Husserlem mnie atakował i dokładał Heideggera, by dowieść, że to, co ze mną jest, być nie może, jako sprzeczne ze wszystkimi wykładnikami życia duchowego, które zawdzięczamy nie jakimś chłystkom przecież, lecz najgenialniejszym myślicielom dziejów, którzy przez ładnych parę tysięcy lat, począwszy od Greków, zajmowali się badaniem introspekcyjnym jaźni. A potem przychodzi facet z przeciętym spoidłem wielkim mózgu i niby jest zdrów jak ryba, lecz jego prawa ręka nie wie, co czyni lewa, z nogami jest to samo. A przy tym jedni eksperci powiadają, że ma świadomość tylko z lewej strony, bo prawa to tylko bezduszny automat. Drudzy, że ma dwie, lecz prawa jest niema, bo ośrodek Broca mieści się w lewym płacie skroniowym. Trzeci, że on ma dwie częściowo rozdzielone jaźnie i to już jest szczyt wszystkiego. Skoro nie można częściowo wyskoczyć z pociągu, krzyczał na mnie, ani częściowo umrzeć, to nie można też częściowo myśleć! Potem nie wyrzucałem go już z domu, bo było mi go żal. Z rozpaczę usiłował mnie przekupić. Zwał to przyjaznym podarunkiem. Osiemset czterdzieści dolarów. Przysięgał, że to są wszystkie jego oszczędności na wakacje z dziewczyną, ale był gotów zrezygnować i z nich i nawet z niej, bylebym wyznał mu na Boga, KTO myśli, kiedy myśli moja prawa półkula, a JA nie wiem, CO ona myśli. Kiedy zaś odsyłałem go do profesora Ecclesa (bo on uważa, że prawa w ogóle nie myśli, jako zwolennik teorii świadomości z lewej strony), wyrażał się brzydtko o Ecclesie. Wiedział już bowiem, że powolutku nauczyłem prawą połówkę języka głuchoniemych, więc chciał, żebym to ja poszedł do Ecclesa wyjaśnić mu, że jest w błędzie. Zamiast chodzić wieczorami na wykłady, zaczytywał się w pismach medycznych. Wiedział już, że drogi nerwowe są skrzyżowane i szukał w najgrubszych podręcznikach odpowiedzi na

pytanie, po jaką cholere nastąpiło to skrzyżowanie. Dlaczego prawy mózg zawiaduje lewą połową ciała i na odwrót, lecz oczywiście nigdzie nie było o tym ani jednego słowa. Albo to nam pomaga w byciu człowiekiem, rezonował, albo przeszkadza. Psychoanalitycznych autorów studiował i znalazł jednego, który sądził, że w lewej półkuli tkwi świadomość, a w prawej podświadomość, ale udało mi się wybić mu to z głowy. Byłem ze zrozumiałych przyczyn bardziej czytany od niego. Nie chcąc ani bić się z sobą, ani z facetem, który płonął żądzą wiedzy, wyjechałem, a właściwie uciekłem przed nim do Nowego Jorku i wpadłem z deszczu pod rynnę.

Wynająłem garsonierę przy Manhattanie i jeździłem metrem lub autobusem do biblioteki publicznej czytać Yozatitza, Wenera, Tuckera, Woodsa, Shapira, Riklana, Schwartza, Szwarca, Shwarta, Sai-Mai-Halassza, Rossiego, Lishmana, Kenyona, Harveya, Fischera, Cohena, Brumbacka i coś trzydziestu różnych Rappaportów, i prawie za każdym razem dochodziło po drodze do drastycznych scen, bo co przystojniejsze kobiety, zwłaszcza blondynki, szczypałem w zadek. Robiła to naturalnie moja lewa ręka, nie zawsze nawet w tłoku, ale proszę usprawiedliwić coś takiego w paru słowach! Nie to było najgorsze, że raz i drugi dostał po gębie, lecz to, że większość nagabywanych w ten sposób wcale nie miała mi tego za złe. Owszem, uważały to za wstęp do małego romansu, a romans był ostatnią rzeczą, jaką podówczas miałem w głowie. O ile mogłem się zorientować, policzkowały mnie aktywistki *womans liberation*, zresztą bardzo rzadko, bo przystojnych jest wśród nich tyle co nic.

Widząc, że nie wymotam się sam z koszmarnego położenia, skontaktowałem się na koniec z czołowymi autorytetami. Ci uczeni zajęli się mną, owszem. Zostałem zbadany, prześwietlony, stachistoskopizowany, drażniony prądem, owinięty czterystu elektrodami, uwiązany do specjalnego fotela, nakłoniony do oglądania godzinami przez szczelinowy przeziernik jabłek, psów, widelców, grzebieni, starców, stołów, myszy, grzybów, cygar, szklanek, gołych kobiet, niemowląt oraz paru tysięcy innych rzeczy wyświetlanych na ekranie. Za czym powiedzieli mi, co sam już przedtem doskonale wiedziałem, że kiedy pokazują mi w tym aparacie kulę bilardową tak, by widziała ją tylko moja lewa półkula, to prawa ręka wsadzona do worka z różnymi przedmiotami nie potrafi wyjąć z tego worka takiej kuli, i na odwrót, gdyż nie wie lewica, co czyni prawica. Uznali mnie wówczas za przypadek banalny i przestali się mną zbytnio interesować. Nie pisałem bowiem ani słowa o tym, że uczę moją niemą połowę języka głuchoniemych. Przecież chciałem się od nich dowiedzieć czegoś o sobie, nie byłem więc zainteresowany w ich dokształcaniu.

Poszedłem potem do profesora S. Turteltauba, który miał na pieńku z wszystkimi

tamtymi, ale zamiast mnie oświecić co do mego stanu, wyjawiał mi, jaka to zgraja i sitwa, czego słuchałem zrazu z napięciem, przypuszczając, że pomiata nimi z przyczyn teoriopoznawczych. Turteltaubowi szło jednak tylko o to, że utracili jego projekt. Kiedy byłem ostatni raz u panów Globusa i Savodnicka czy może innych specjalistów, bo trochę mi się pomieszali, tyłu ich było, dowiedziawszy się, że chodzę do Turteltauba, najpierw się na mnie co nieco obrazili, a potem oświadczyli, że wykluczyli go z ich naukowej społeczności dla przyczyn etycznych. Turteltaub chciał mianowicie, żeby skazanym na dożywocie lub na śmierć mordercom proponować zamianę kary na poddanie się kallotomii. Tłumaczył, że skoro kallotomizuje się wyłącznie epileptyków ze wskazań lekarskich, nie wiadomo, czy skutki przecięcia spoidła będą u zwykłych ludzi takie same, i że każdy, włącznie z nim, gdyby na przykład zakatrupił swą teściową i miał zginąć za to na krześle elektrycznym, wolałby na pewno, żeby mu raczej przecięto *corpus callosum*. Ale emerytowany sędzia Sądu Najwyższego Klössenfänger orzekł wówczas, że nawet pomijając względy etyczne lepiej na to nie iść, bo gdyby się okazało, że biorąc się do teściowej z zimną premedytacją działała tylko lewa półkula Turteltauba, natomiast prawa nic nie wiedziała, a nawet protestowała, lecz uległa dominującej, i po wewnętrznej walce duchowo-mózgowej doszłoby do mordu, powstałby koszmarny precedens, gdyż należałoby po rozprawie zamknąć jedną półkulę, a drugą oczyszczoną z winy zwolnić. W efekcie morderca zostałby skazany na śmierć tylko w pięćdziesięciu procentach.

Nie mogąc się dochrapać tego, o czym marzył, Turteltaub operował z konieczności małpy, bardzo kosztowne w przeciwieństwie do morderców, a subwencję wciąż mu zmniejszano, i rozpaczał, że skończy na szczurach i świnkach morskich, chociaż przecież to nie to samo. Zarazem członkinie Towarzystwa Opieki nad Zwierzętami jako też Związku do Walki z Wiwisekcją wybijały mu regularnie szyby w oknach, a nawet podpalono mu samochód. Ubezpieczenie nie chciało płacić, utrzymując, iż nie ma dowodu, że to nie on podpalił własne auto, mając na oku dwie pieczenie naraz: sądowe ściganie tych opiekunek zwierząt oraz materialny zysk, bo auto było stare. Tak mnie zanudzał, że chcąc, by przestał, wspominałem o mowie gestykulacyjnej, której lekcji udzielałem prawą ręką lewej. Zrobiłem to w złą godzinę. Natychmiast zatelefonował do Globusa, a może Maxwella, żeby zapowiedzieć pokaz w towarzystwie neurologicznym przypadku, którym wdepcze ich wszystkich w proch. Widząc na co się zanosi, bez pożegnania wybiegłem od Turteltauba i pojechałem prosto do mego hotelu, ale tamci czekali już na mnie w hallu. Zobaczywszy ich rozognione twarze i oczy płonące niezdrową ciekawością badawczą, powiedziałem, że owszem, zaraz pojedę z nimi do kliniki, tylko przebiorę się w pokoju. A gdy oczekiwali mnie

na dole, uciekłem po drabinie pożarowej z jedenastego piętra, żeby pierwszą złapaną taksówką pognać na lotnisko. Było mi właściwie wszystko jedno, dokąd polecę, byle być jak najdalej od tych uczonych. A że pierwsza kursowa maszyna leciała do San Diego, udałem się tam, i w małym, paskudnym hoteliku, który był istną spelunką różnych ciemnych typów, nawet nie rozpakowawszy walizki zatelefonowałem do Tarantogi o pomoc.

Tarantoga był na szczęście w domu. Prawdziwych przyjaciół poznaje się w biedzie. Przyleciał nocą do San Diego i kiedy wszystko mu opowiedziałem możliwie zwięźle i dokładnie, postanowił się mną zająć jako dobra dusza, a nie jako naukowiec. Za jego poradą zmieniłem hotel i zacząłem zapuszczać brodę, on zaś miał rozejrzeć się za takim znawcą *rzeczy*, który przysięgę Eskulapa ceni wyżej od przynoszącego rozgłos ciekawego przypadku. Na trzeci dzień doszło między nami do niesnasek, bo przyszedł, żeby mnie pocieszyć dobrymi, konkretnymi wiadomościami, a ja okazałem mu wdzięczność tylko częściowo. Zdenerwowała go moja mimika lewostronna, bo robiłem do niego wciąż perskie oko. Tłumaczyłem mu wprawdzie, że to nie ja, że to tylko prawa półkula mego mózgu, nad którą nie panuję. On jednak, zrazu uśmierzywszy się nieco, znów wszczął pretensje, bo palnął, że nie wszystko jest w porządku. Nawet jeśli w mym jednym ciele jest mnie dwóch, to z tych szyderczych i sarkastycznych min, jakie połowicznie wycinam, widać jak na dłoni, że już uprzednio musiałem co najmniej po części żywić do niego animozję, ujawniającą się obecnie jako czarna niewdzięczność. On zaś mniema, że albo jest się przyjacielem na całego, albo wcale. Pięćdziesięcioprocentowa przyjaźń nie jest w jego guście. Jakoś go jednak w końcu uspokoiłem, a kiedy poszedł, kupiłem sobie przepaskę na oko.

Specjalistę znalazł dla mnie aż w Australii, więc poleciliśmy razem do Melbourne. Był to profesor Joshua McIntyre, który wykładał tam neurofizjologię, a jego ojciec był najserdeczniejszym przyjacielem ojca Tarantogi i bodaj nawet jakimś pociotkiem. McIntyre budził zaufanie już samym wyglądem. Był wysoki, z siwą szcotokową czupryną, nadzwyczaj spokojny, rzeczowy, i jak mnie zapewnił Tarantoga, ludzki. Nie było więc mowy o tym, żeby chciał mnie wykorzystać albo skumać się z Amerykanami, którzy ze skóry już wyłazili, chcąc wpaść na mój trop. Zbadawszy mnie, co trwało trzy godziny, postawił na biurku flaszkę whisky, nalał mnie i sobie, a gdy atmosfera zrobiła się przez to towarzyska, założył nogę na nogę, pomyślał, zebrał się w sobie i rzekł:

- Panie Tichy, będę mówił do pana w liczbie pojedynczej, bo to wygodniejsze. Stwierdziłem ponad wątpliwość, że przecięto panu wielkie spoidło mózgu od *comissura anterior* aż do *posterior*; chociaż na czaszce nie ma pan am śladu potrepanacyjnej blizny...

- Ależ ja panu mówiłem już, profesorze - przerwałem mu - że nie było żadnej

trepanacji, tylko działanie nową bronią. To ma być broń przyszłości, żeby nikogo nie zabijać, tylko całej atakującej armii zrobić totalną i zdalną cerebellotomie. Mając odcięty mózdzek, każdy żołnierz zwałiby się momentalnie jak długi, boby go to sparaliżowało. Tak mi powiedziano w tym ośrodku, którego nazwy nie mogę panu zdradzić. Przypadkiem stanąłem jednak jakoś bokiem, czy jak tam, względem tego pola ultradźwiękowego, sagittalnie, jak mówią lekarze. Zresztą nie jest to całkiem pewne, wie pan, bo te roboty pracują potajemnie i działanie tych ultradźwięków nie jest jasne...

- Mniejsza o to - rzekł profesor, patrząc na mnie dobrymi, mądrymi oczyma zza złotych okularów. - Okoliczności pozamedyczne nie będą nas obecnie zajmować. Co do ilości umysłów w kallotomizowanym człowieku panuje obecnie osiemnaście teorii. Ponieważ każdą popierają pewne eksperymenty, zrozumiałe, że żadna nie może być ani w pełni fałszywa, ani prawdziwa. Nie jest pan jeden, nie jest pana dwóch, i o ułamkach też mowy być nie może.

- Więc ilu mnie właściwie jest? - spytałem zaskoczony.

- Nie ma dobrej odpowiedzi na źle postawione pytanie. Wyobraź pan sobie dwu bliźniaków, którzy od urodzenia nie robią nic innego, jak tylko dwuręczną piłą piłują drzewo. Pracują zgodnie, gdyż inaczej nie mogliby piłować, a kiedy zabrać im tę piłę, upodobnią się do pana w obecnym stanie.

- Ale przecież każdy z nich, czy piłuje, czy nie, ma jedną jedyną świadomość - rzekłem rozczarowany. - Profesorze, pańscy koledzy w Ameryce uczęstwowali mnie już kupą takich przypowieści. O bliźniakach z piłą też już od nich słyszałem.

- Jasne - rzekł McIntyre i mrugnął do mnie lewym okiem, aż pomyślałem, że może jemu też coś przecięto. - Moi amerykańscy koledzy są ciemni jak tabaka w rogu, a takie porównania są do jasnej bani. Umyślnie zacytowałem tę rzecz z bliźniakami, wymyśloną przez jednego z Amerykanów, bo prowadzi na manowce. Gdyby pracę mózgu przedstawić graficznie, wygląda ona u pana jak duża litera Y, ponieważ nadal ma pan jednolity pień mózgu i śródmózgowie. To jest trzonek ypsylona, półkule natomiast są rozdzielone jak ramiona tej litery. Rozumie pan? Intuicyjnie można to łatwo... - Profesor urwał i jęknął, bo kopnąłem go w rzepekę.

- To nie ja, to moja lewa noga, przepraszam - zawołałem pośpiesznie. - Ja naprawdę nie chciałem...

McIntyre uśmiechnąwszy się wyrozumiale (ale w tym uśmiechu był niejaki przymus, niczym na twarzy psychiatry, udającego, że wariat, który go ugryzł, jest normalnym, sympatycznym facetem) wstał, żeby odsunąć się ode mnie razem z fotelem na bezpieczną odległość.

- Prawa półkula jest z reguły znacznie agresywniejsza od lewej. To fakt - powiedział, ostrożnie dotykając kolana. - Mógłby pan jednak trzymać nogi splecione, a ręce też, wie pan. To nam ułatwi rozmowę...

- Próbowałem, ale szybko mi drętwieją. A poza tym, za pozwoleniem, ten ypsilon nic mi nie wyjaśnia. Gdzie zaczyna się w nim świadomość - pod rozdwojeniem, w nim samym, jeszcze wyżej, czy jak?

- Tego nie można dokładnie się dowiedzieć - rzekł profesor, poruszając nadal kopniętą nogą, którą pieczołowicie sobie masował. - Mózg, drogi panie Tichy, składa się z wielkiej ilości czynnościowych podzespołów, które u normalnego człowieka mogą się rozmaicie łączyć dla wykonania różnych zadań. U pana najwyższe zespoły są trwale rozłączone i tym samym nie mogą się ze sobą komunikować.

- I o tych podzespołach też już słyszałem sto razy, za pańskim pozwoleniem. Nie chcę być niegrzeczny, profesorze, a przynajmniej mogę pana zapewnić, że moja lewa półkula, ta, która teraz mówi do pana, nie chce być niegrzeczna, ale ja dalej nic nie wiem. Ruszam się przecież całkiem normalnie, jem, chodzę, czytam, śpię, i tylko muszę pilnować lewej ręki i nogi, bo bez wszelkiego ostrzeżenia zaczynają się skandalicznie zachowywać. Chcę się dowiedzieć, KTO urządza te psikusy. Jeśli mój mózg, to czemu JA o tym nic nie wiem?

- Ponieważ półkula, która to sprawia, jest niema, panie Tichy. Ośrodek mowy znajduje się w lewej, w płą...

Na podłodze leżały między nami całe zwoje kabla, od różnych aparatów, którymi McIntyre przedtem mnie badał. Zauważyłem, że moja lewa noga zaczyna jakby bawić się tymi kablami. Owinęła sobie jeden, gruby, w czarnej błyszczącej izolacji, wokół kostki, ale nie przypisałem temu większego znaczenia. Aż nagle szarpnąwszy mocno i szybko wstecz, pociągnęła za ów kabel, który, jak się okazało, był owinięty wokół nogi krzesła, na którym siedział profesor. Krzesło stanęło dęba, a profesor rymnął na linoleum. Był to jednak, jak się natychmiast okazało, wytrawny lekarz i panujący nad sobą uczony, bo zbierając się z podłogi, mówił prawie równym głosem:

- To nic. Proszę się nie przejmować. Prawa półkula zawiaduje stereognozją i dlatego jest przy tego typu czynnościach zręczniejsza. Proszę pana jednak ponownie, drogi panie, żebyś pan usiadł z dala od biurka, od kabli, i w ogóle od wszystkiego. To nam ułatwi rozmowę i obmyślenie właściwej terapii.

- Ja chcę tylko wiedzieć, gdzie jest moja świadomość - odparłem, odwijając z nogi kabel, co nie było łatwe, bo przycisnęła się silnie do linoleum.

- Przecież to niby ja panu wyrwałem krzesło spod siedzenia, ale zarazem nie miałem

tego zamiaru. Więc KTO to zrobił?

- Pańska lewa dolna kończyna, zawiadywana przez lewą półkulę. - Profesor poprawił przekrzywione okulary, odsunął krzesło jeszcze trochę dalej, ale po małym namyśle nie usiadł, lecz stanął za nim i ujął jego oparcie w ręce. Nie wiem, którą półkulą pomyślałem sobie, że może przyszła już nań ochota do kontrataków.

- W ten sposób możemy gwarzyć do sądnego dnia - rzekłem, czując, jak cała lewa strona mego ciała spręży się. Zaniepokojony, splotłem nogi i ręce. McIntyre, obserwując mnie bacznie, dalej mówił miłym głosem.

- Lewa półkula dominuje dzięki ośrodkom mowy. Rozmawiając teraz z panem, rozmawiam zatem z nią, prawa zaś może się temu jedynie przysłuchiwać. Jej znajomość mowy jest mocno ograniczona.

- Może u innych, nie u mnie - odparłem, dla większej pewności biorąc się prawą ręką za przegub lewej. - Ona faktycznie jest niema, ale nauczyłem ją języka głuchoniemych, wie pan. Sporo zdrowia mnie to kosztowało.

- Nie może być!

W oczach profesora pojawił się błysk, który widziałem już u jego amerykańskich konfratrów, i pożałowałem szczerości, było już jednak za późno na taką refleksję.

- Ależ ona nie włada składnią czasownikową! To zostało stwierdzone...

- To nic. Czasowniki nie są konieczne.

- Więc proszę, niechże pan zaraz spyta ją, to znaczy siebie, więc ją, chcę powiedzieć, co sądzi o naszej rozmowie? Potrafi pan?

Chcąc nie chcąc wzięłem lewą rękę do prawej, najpierw parokrotnie pogłaskałem ją dla udobruchania, bo wiedziałem, że dobrze jest tak zacząć, potem zaś jąłem robić właściwe znaki, dotykając wnętrza lewej dłoni. Po chwili jej palce zaczęły się ruszać. Patrzałem na nie dobrą chwilę, po czym starając się ukryć zezłoszczenie położyłem lewą rękę na kolanie, chociaż się opierała. Oczywiście zaraz uszczypnęła mnie porządnie w udo. Mogłem się tego spodziewać, ale nie chciałem robić na oczach profesora przedstawienia, mocując się z samym sobą.

- No, no, i co powiedziała? - pytał profesor, nieostroźnie wychylając się zza krzesła.

- Nic istotnego.

- Ależ najwyraźniej widziałem, że robiła jakieś znaki. Czy były nieskoordynowane?

- Dlaczego? Były bardzo dobrze skoordynowane, ale to głupstwo.

- Niechże pan mówi! W nauce nie ma głupstw.

- Powiedziała: "Ty dupa".

Profesor nawet się nie uśmiechnął, taki był zafrapowany.

- Naprawdę? Proszę ją teraz spytać o mnie.

- Jeśli pan sobie życzy.

Znów wziąłem się do lewej ręki, wskazałem palcem profesora, i tym razem nie musiałem jej nawet specjalnie ugłaskiwać, bo odpowiedziała momentalnie.

- I co?

- "Też dupa".

- Tak powiedziała?

- Tak. Rzeczywiście nie daje sobie rady z czasownikami, ale zrozumieć ją można. Ale ja w dalszym ciągu nie wiem, KTO mówi. Na migi, ale to przecież wszystko jedno. Do pana mówię ustami, a do niej muszę palcami, więc jak to właściwie jest? W mojej głowie jest i Ja, i jakiś On? Jeżeli jest ON, to dlaczego ja o nim nic nie wiem i w ogóle go nie czuję ani nie doświadczam jego przeżyć, ani emocji, ani niczego, chociaż jest w MOJEJ głowie i stanowi część MOJEGO mózgu? Przecież nie jest na zewnątrz. Żebym miał jakieś rozdwojenie świadomości, żeby mi się wszystko pomykiciło, jeszcze bym to mógł pojąć, ale tego nie. Skąd on się wziął, ten On? Czy to też jest Ijon Tichy? A jeżeli nawet jest, to dlaczego muszę się do niego zwracać okrężnie, poprzez rękę, i dostaję odpowiedzi też okrężną drogą, profesorze? On, czy też ona, jeżeli to ma być półkula mego mózgu, nie takie rzeczy potrafi robić. Żeby chociaż był, czy też była, niespełna zmysłów. Toż wplątywała mnie nieraz w rozmaite skandale. - Nie widząc dłużej sensu w powściągliwości, opowiedziałem mu o historiach z autobusów i z metra. Był nimi zafascynowany.

- Wyłącznie blondynki?

- Tak. Mogą być zresztą tlenione, to nie ma znaczenia.

- Czy posuwa się dalej?

- W autobusie nie.

- A gdzieś indziej?

- Nie wiem, nie próbowałem. To znaczy, nie dawałem mu szans. Albo jej, jeśli pan woli. Skoro pan już tak dokładnie chce wszystko wiedzieć, to dodam, że parę razy zostałem przez to spoliczkowany. Kiedy dostałem w policzek, byłem po prostu wściekły i zmieszany, bo nie czułem się wcale winny, a jednocześnie czułem rozbawienie. Natomiast raz dała mi po twarzy dziewczyna, która musiała być leworęczna, więc w lewy policzek, i wtedy nie czułem już ani śladu rozbawienia czy wesołości. Zastanowiłem się nad tym i wyszło mi na to, że mogę zrozumieć tę różnicę.

- Ależ oczywiście! - zawołał profesor. - Lewy Tichy dostał w twarz za prawego i to

właśnie prawego rozbawiło. Natomiast kiedy prawy dostał za prawego, nie było mu to wcale zabawne. Dostał, aby tak rzec, nie tylko za swoje, ale i w swoją część twarzy.

- Ano właśnie. Więc jednak jakaś komunikacja niby jest w mojej nieszczęsnej głowie, ale raczej emocjonalna niż myślowa. Emocje też się jednak przeżywa, a ja wprost nic o tym nie wiem. Gdyby nie były świadome, dobrze, ale jak mogą nie być? W końcu, ten cały Eccles z jego automatycznymi odruchami opowiada androny. Wypatrzeć w tłoku pociągające dziewczę, manewrować tak, żeby się do niego zbliżyć, zrazu nie wiedząc po co, stanąć za nim, i tak dalej - to przecież jest cała przemyślana akcja, a nie jakieś tam bezmyślne odruchy. Akcja przemyślana, czyli świadoma. Ale KOMU? KTO ją obmyśla, kto ma tę świadomość, skoro nie JA?

- Ach, wie pan - rzekł bardzo wciąż podniecony profesor - to można w końcu wytłumaczyć. Światło świecy widać w ciemności, ale nie na słońcu. Prawy mózg ma może jakąś tam świadomość, ale słabiutką jak świeca, świadomość lewego jako dominująca ją gasi. To całkiem mo...

Profesor schylił się błyskawicznie, dzięki czemu nie dostał bucikiem w głowę. Lewa noga zesunęła go sobie, najpierw opierając obcas o nogę krzesła, a potem skoczyła do przodu tak silnym wyrzutem, że bucik jak pocisk, o włos minawszy profesora, huknął w ścianę.

- Może jest, jak pan mówi - zauważyłem - ale drażliwa to ona jest cholernie.

- Być może czuje się zagrożona w niejasny dla siebie sposób, pod wpływem naszej rozmowy, a raczej tego, co mogła z niej fałszywie zrozumieć - rzekł profesor. - Kto wie, czy nie należałoby zwracać się do niej bezpośrednio.

- Tak, jak ja to robię? - domyśliłem się. - Tego nie brałem dotąd pod uwagę. Ale po co właściwie. Co pan chce jej zakomunikować?

- To zależy będzie od jej reakcji. Pana przypadek jest unikalny. Nie było dotąd człowieka całkowicie zdrowego na umyśle, i to o umyśle nieprzeciętnym, poddanego kallotomii.

- Sprawę należy postawić jasno - odparłem, gładząc grzbiet lewej ręki, żeby ją uspokoić, bo zaczęła się ruszać zginając i rozginając palce, co mi wyglądało podejrzanie. - Mój interes nie pokrywa się z interesem nauki. I to tym bardziej, im bardziej jestem przypadkiem unikalnym, jak pan powiada. Jeżeli pan albo ktoś inny zacznie dogadywać się z NIA - pan wie, co mam na myśli - może to się okazać dla mnie niekorzystne, a nawet paskudnie szkodliwe, gdyby się coraz bardziej usamodzielniała.

- Och, to niemożliwe - rzekł stanowczo profesor, zbyt stanowczo jak na mój gust. Zdjął okulary i przecierał je irchą. Jego oczy bez szkieł nie miały wyrazu lekkiej bezradności,

jak zwykle u tego, kto bez okularów nic prawie nie widzi. Zerknął na mnie tak bystro, jakby nie potrzebował szkieł i zaraz spuścił wzrok.

- Kiedy zawsze zachodzi to właśnie, co jest niemożliwe - powiedziałem, starannie ważąc słowa. - Cała historia ludzkości też składa się z samych niemożliwych rzeczy, i postęp nauki też. Pewien młody filozof tłumaczył mi, że stan, w jakim się znajduję, jest niemożliwy, przeczy bowiem wszystkim ustaleniom filozofii. Świadomość ma być niepodzielna. Tak zwane rozdwojenia świadomości to przecież w istocie jej następujące po sobie odmienione stany, połączone z zakłóceniami pamięci i poczucia identyczności. To nie jest tort!

- Widzę, że naczytał się pan sporo fachowej literatury - zauważył profesor, wkładając na nos szkła. Dodał coś, czego nie dosłyszałem. Chciałem powiedzieć, że świadomości nie można podług filozofów kroić na kawałki jak tort, ale urwałem, bo moja lewa ręka wetknięwszy palec w dłoń prawej zaczęła robić znaki. To się dotąd nie zdarzyło. McIntyre zauważył, że patrzę na własne ręce, i zorientował się w lot.

- Czy ona coś mówi? - spytał przyciszonym głosem, jakim się mówi przy kimś, nie chcąc by dosłyszał.

- Tak.

Byłem bardzo zaskoczony, ale powtórzyłem jednak za ręką:

- Ona chce kawałek tortu.

Zachwył, który odmalował się na twarzy profesora, zmroził mnie. Zapewniwszy na migi lewą rękę, że dostanie tort, jeśli spokojnie zaczeka, wróciłem do swego.

- Z waszego punktu widzenia byłoby świetnie, gdyby ona usamodzielniała się coraz bardziej. Nie mam tego za złe, bo rozumiem, że byłaby to niesłychana rzecz, dwaj w pełni rozwinięci faceci w jednym ciele, ileż w tym możliwych odkryć, badań i tak dalej. Mnie jednak takie zaprowadzenie demokracji w mojej głowie nie urządza. Chcę być coraz mniej, a nie coraz mocniej podwojony.

- Wyraża pan votum nieufności? Ja to też doskonale rozumiem... - Profesor uśmiechał się życzliwie. - Najpierw zapewniam pana, że wszystko, czego się dowiedziałem o panu, zachowam dla siebie. Pod pieczęcią tajemnicy lekarskiej. A ponadto, nie myślę nawet sugerować panu jakiejś konkretnej terapii. Zrobi pan to, co uzna pan sam za właściwe. Proszę się dobrze zastanowić, nie tu i nie *zaraz*, oczywiście. Czy długo zostaje pan w Melbourne?

- Tego też jeszcze nie wiem. W każdym razie pozwolę sobie do pana zatelefonować. Tarantoga, który siedział w poczekalni, zerwał się na mój widok.

- I jakże...? Profesorze...? Ijonie...?

- Na razie żadne decyzje jeszcze nie zapadły - oficjalnie powiedział McIntyre. - Pan

Tichy ma rozmaite wątpliwości do rozgryzienia. Ja w każdym razie stoję do jego dyspozycji.

Jako człowiek słowny kazałem po drodze zatrzymać się taksówce przy jakiejś cukierni, żeby kupić kawałek tortu, który musiałem zjeść w aucie od razu, bo się tego domagała, choć sam nie odczuwałem apetytu na słodczy. Postanowiłem jednak przynajmniej przez jakiś czas nie zadreć się pytaniami, KTO wobec tego ma apetyt, skoro nikt oprócz mnie nie mógł na takie pytania odpowiedzieć, a ja nie umiałem.

Mieliśmy z Tarantogą pokoje tuż obok siebie, więc poszedłem do niego i z grubsza przedstawiłem mu przebieg wizyty u McIntyre'a. Ręka przerwała mi kilkakrotnie, bo nie czuła się usatysfakcjonowana. Tort był mianowicie osłodzony lukrecją, której nie znoszę. Zjadłem go mimo to, sądząc, że robię to dla niej, ale wykawiło się, że ja i ona - ja i tamten - ja i ten drugi ja - a diabli wreszcie wiedzą, kto z kim - mamy te same gusta. Zrozumiałe o tyle, że ręka sama jeść poniekąd nie mogła, a usta, podniebienie i język były wspólne. Zaczynało mi dolegać wrażenie jak z kretyńskiego snu, trochę koszmarnego a trochę zabawnego, że noszę z sobą jeśli nie aż niemowlę, to małe, rozkapryszone, chytne dziecko. Jakoż przypomniałem sobie hipotezę jakichś psychologów, że małe dzieci nie posiadają jednolitej świadomości, ponieważ przewodzące włókna nerwowe ich spoidła są nierozwinięte.

- Tu jest jakiś list do ciebie. - Tymi słowami Tarantoga wytrącił mnie z zamyślenia. Zdziwiłem się, bo przecież żywa dusza nie wiedziała o moim miejscu pobytu. List był nadany w stolicy Meksyku, lotniczy, bez adresu nadawcy. W kopercie tkwił niewielki karteluszek z maszynowym pismem: "on jest z LA".

Nic więcej. Spojrzałem na drugą stronę papieru. Była czysta.

Tarantoga wziął kartkę, spojrzał na nią, potem na mnie.

- Co to ma znaczyć? Rozumiesz to?

- Nie. To znaczy...LA to może być Lunar Agency. Oni mnie wysłali.

- Na Księżyc?

- Tak. Na ten rekonesans. Po powrocie miałem złożyć sprawozdanie.

- Złożyłeś?

- Tak. Napisałem, co pamiętałem. Dałem fryzjerowi.

- Fryzjerowi?

- Tak było umówione. Żeby do nich nie musiał iść. Ale kto to jest ten "on"? Chyba tylko McIntyre. Poza nim z nikim się tu nie spotkałem.

- Czekajże. Nic nie rozumiem. Co było w tym sprawozdaniu?

- Tego nawet panu nie mogę powiedzieć. Zobowiązałem się dotrzymać tajemnicy. Ale nie było tam wiele. Dużo rzeczy pozapominałem.

- Po twoim wypadku?

- Tak. Co pan robi, profesorze?

Tarantoga wywrócił rozdartą kopertę listu na lewą stronę. Ktoś napisał na niej ołówkiem, drukowanymi literami: "Spal to. Niech prawa nie zgubi lewej".

Niby dalej nic nie pojmowałem, ale był w tym jednak jakiś sens. Nagle popatrzyłem na Tarantogę rozszerzonymi oczami.

- Zaczynam się domyślać. Ani tu w kopercie, ani tam na kartce nie ma ani jednego rzeczownika. Uważa pan?

- No to co?

- Ona pojmuję najlepiej rzeczowniki. Ten, kto to wysłał, chciał, żebym ja dowiedział się o czymś, a ona - nie...

Mówiąc to prawą ręką znacząco dotknąłem prawej skroni. Tarantoga wstał, przeszedł się po pokoju, zabębnił palcami w stół i rzekł:

- Jeżeli to ma znaczyć, że McIntyre jest...

- Niech pan nic nie mówi.

Wyjąłem z kieszeni notes i napisałem na czystej stronie: "Ona rozumie lepiej to, co słyszy, od tego, co czyta. Będziemy się musieli w tej sprawie jakiś czas porozumiewać korespondencyjnie. Zdaje mi się, że to, czego nie napisałem dla LA, bo nie pamiętałem, ona pamięta i ktoś o tym wie albo co najmniej przypuszcza. Do niego nie zatelefonuję ani nie pójdę, bo to jest prawdopodobnie właśnie ten ON. Chciał z nią porozumiewać się tak, jak to robię sam. Mógł chcieć wziąć ją na spytki. Proszę mi zaraz odpisać".

Tarantoga przeczytał, zmarszczył czoło, i nic już nie mówiąc wziął się do pisania przez stół: "Ale jeżeli on jest z LA, to po co taka okólność? LA mogła się do ciebie zwrócić wprost, czy nie?"

Odpisałem mu: "Między tymi, do których zwróciłem się w NY, pewno był ktoś z LA. Od niego dowiedzieli się, że wpadłem na to, jak można się z nią porozumiewać. Ponieważ od razu zwałem, nie mogli z nią tego sami spróbować. Syn faceta, który żył przyjacielsko z pańskim tatą, miał się do niej wziąć, jeżeli anonim jest prawdopodobny. Może wyciągnąłby z niej wszystko, co ona pamięta, nie budząc moich podejrzeń. Aniby wiedział, co od niej się dowiedział. Gdyby się natomiast zwrócili do mnie wprost, oficjalnie, mogłem odmówić poddawania się takiemu indagowaniu i byłiby w kłopotach, bo pod względem prawnym ona nie jest przecież osobną istotą i tylko ja mogę się zgodzić na to, żeby ktoś z nią rozmawiał. Proszę używać imiesłowów, zaimków, czasowników oraz możliwie skomplikowanej składni".

Profesor wyrwał zapisaną przeze mnie kartkę z notesu, schował ją do kieszeni i

napisał mi: “Ale dlaczego właściwie nie chcesz, żeby się dowiadywała o tym, co teraz zachodzi?”

“Na wszelki wypadek. Przez to co było napisane wewnątrz koperty. To nie może być od LA, bo LA nie jest oczywiście zainteresowana w ostrzeganiu mnie przed sobą. Napisał to ktoś inny”.

Tym razem odpowiedź Tarantogi była zwięzła. “Kto?” “Nie wiem. O tym, co dzieje się tam, gdzie byłem i miałem wypadek, chętnie dowiedziałoby się wiele stron. Widocznie LA ma silną konkurencję. Uważam, że trzeba zrezygnować z towarzystwa kangurów. Wiejmy. Trybu rozkazującego nie rozumie”.

Tarantoga wyjął z kieszeni wszystkie kartki, zmiął je w kulę razem z listem i kopertą, podpalił zapalką i wrzuciwszy do kominka, patrzył, jak papiery płonąc zmieniają się w popiół.

- Pójdę do biura podróży - powiedział. - A co ty chcesz teraz robić?

- Ogołę się - odparłem - Broda cholernie mnie łaskocze, a teraz już najwyraźniej przestała być potrzebna. Im prędzej, tym lepiej, profesorze. Może być i nocny lot. I niech mi pan nie mówi, dokąd.

Ogoliłem się w łazience i patrząc w lustro robiłem różne miny. Lewe oko ani mrugnęło. Wyglądałem całkiem zwyczajnie. Wziąłem się więc do pakowania rzeczy, od czasu do czasu koncentrując uwagę na lewej ręce i nodze, ale zachowywały się normalnie. Dopiero w ostatniej chwili, kiedy układałem na wierzchu pełnej walizki krawaty, lewa ręka rzuciła na podłogę zielony w brązowe ciapki, który lubiłem, chociaż był już porządnie stary. Czyżby się jej nie podobał? Podniosłem go prawą ręką i podałem lewej, usiłując nad nią zapanować, żeby włożyła go do walizki. Zaszło to, co dostrzegłem już uprzednio parę razy. Ramię słuchało mnie, ale palce nie chciały, i otwarłszy się, wypuściły krawat, który znów upadł na dywan przy łóżku.

- A to ci historia - rzekłem z westchnieniem. Wepchnąłem krawat prawą ręką do walizki i zamknąłem ją. Tarantoga otwarł drzwi, pokazał mi bez słowa dwie książeczki biletowe i poszedł się pakować. Rozwahałem, czy mam powody, żeby obawiać się prawej półkuli. Myśleć mogłem o tym spokojnie, wiedząc, że tamta nic z tego nie wie i może się dowiedzieć tylko, gdybym to jej zakomunikował przez rękę. Człowiek jest tak urządzone, że sam nie wie, co wie. Zawartość książki można poznać ze spisu rzeczy, ale w głowie nie ma takiego spisu.

Głowa jest jak pełny worek, ale żeby się dowiedzieć, co tam jest, trzeba wszystko po kolei powyciągać. Sięgać do pamięci myślą jak ręką do worka. Kiedy Tarantoga płacił rachunek hotelowy, kiedy jechaliśmy o zmroku na lotnisko, a potem siedzieli w poczekalni,

usiłowałem sobie przypomnieć wszystko, co zaszło od mego powrotu z Cielca, żeby się zorientować, ile z tego pamiętam. Ziemię zastałem całkowicie odmienioną. Doszło do powszechnego rozbrojenia. Nawet supermocarstwa nie były już w stanie finansować dalej wyścigu zbrojeń. Coraz bardziej inteligentne rodzaje broni były coraz bardziej kosztowne. Bodajże przez to doszło do porozumienia genewskiego. W Europie i w Stanach Zjednoczonych nikt już nie chciał iść do wojska.

Ludzi zastępowały automaty, ale jeden kosztował tyle co odrzutowiec. Żywi żołnierze ustępowali bojowością martwym.

Nie były to zresztą żadne roboty, tylko małe bloki elektroniczne, wtykane do rakiet, samobieżnych dział, czołgów, płaskich jak wielkie pluskwy, bo nie trzeba w nich było miejsca dla załogi, a kiedy taki sterowniczy blok ulegał zniszczeniu, zastępował go rezerwowo. Głównym zadaniem przeciwnika stało się uszkodzanie dowódczej łączności, więc militarny postęp polegał na zwiększaniu samodzielności automatów. Było to coraz skuteczniejsze i coraz droższe. Nie pamiętam, kto wymyślił nowe rozwiązanie, polegające na tym, że całość zbrojeń przeniesiono na Księżyc. Nie w postaci zakładów zbrojeniowych, lecz tak zwanych maszyn planetarnych.

Te maszyny były już od paru lat używane przy eksploracji systemu słonecznego. Przypominając to sobie zauważyłem, że mimo wysiłków umykają mi liczne szczegóły, i nie byłem pewien, czy znałem je uprzednio, czy nie. Kiedy nie można sobie czegoś przypomnieć, można sobie przeważnie przypomnieć, czy się to mniej więcej wiedziało, ale ja i tego nie potrafiłem. Pewnie czytałem przed akcją tę nową konwencję genewską, ale i tego nie byłem pewien. Te planetarne maszyny budowało wiele firm, zwłaszcza amerykańskich. Nie przypominały niczego, co wytwarzał dotąd przemysł. Nie były ani fabrykami, ani robotami, ale jakby czymś pośrednim. Niektóre były podobne do olbrzymich pajaków. Było oczywiście mnóstwo gadania i apeli, żeby ich nie uzbrajać, żeby służyły wyłącznie do prac górniczych i tak dalej. Ale gdy przyszło do przewożenia na Księżyc, okazało się, że każde państwo, które było na to stać, miało już samokroczące wyrzutnie rakiet, działobitnie zdolne do nurkowania w wodzie, ośrodki zawiadywania ogniem, zwane kretami, bo zarywały się głęboko pod ziemię, i pelzające miotacze laserowe do jednorazowego użytku, bo salwę radiacyjną powodował atomowy ładunek, który jednocześnie obracał taki miotacz w rozżarzony gaz. Każde państwo mogło zaprogramować na ziemi swoje maszyny planetarne, a specjalnie po temu stworzona Lunar Agency przewoziła je na Księżyc, do właściwych sektorów. Uzgodniono zasadę parytetów, ile czego kto będzie mógł tam umieścić, a międzynarodowe komisje mieszane czuwały nad tym całym Exodusem. Wojskowi i naukowcy eksperci każdego

państwa mogli stwierdzić na Księżycu, że ich urządzenia zostały wyładowane i że działają jak należy, po czym musieli wrócić na Ziemię, wszyscy w tym samym czasie. W dwudziestym wieku takie rozwiązanie byłoby bez sensu, bo wyścig zbrojeń to nie tyle wzrost ilościowy, ile postęp innowacyjny, a ten zależał wówczas wyłącznie od ludzi. Te nowe urządzenia działały jednak na odmiennym zasadzie, pożyczonej od naturalnej ewolucji roślin i zwierząt. Były to systemy zdolne do tak zwanej autooptymalizacji radiacyjnej i dywergencyjnej. Po prostu mogły się rozmnażać i przekształcać. Odczułem nieco satysfakcji, że jednak i to pamiętam. Czy moja prawa półkula mózgowa, zainteresowana głównie pośladkami dziewcząt i słodyczami, alergiczna na pewien rodzaj krawatów, mogła w ogóle ogarniać takie rzeczy i problemy? Może jej pamięć nie miała żadnej militarnej wartości? Jeśli nawet tak jest, zreflektowałem się, tym gorzej dla mnie, bo żebym sto razy przysięgł, że ona nic nie wie, nikt mi nie uwierzy. Wezmą się do mnie, to znaczy do niej, to znaczy właśnie do mnie, i jeśli niczego nie wyciągną z niej po dobremu, znakami, których ją poduczyłem, dadzą jej lepszą szkołę, i nie popuszczą, żeby nie wiedzieć co. Im mniej wie, tym więcej zdrowia na tym stracę, a bodaj i życie. To nie były żadne prześladowcze urojenia. Wziąłem się więc dalej do penetrowania pamięci. Na Księżycu miała się rozpocząć elektroniczna ewolucja nowych broni. Dzięki temu każde państwo mimo rozbrojenia nie było bezbronne, bo zachowało samodoskonalący się arsenał, a zarazem udaremniono wszelki nagły atak przez zaskoczenie przeciwnika. Wojna bez wypowiedzenia stała się niemożliwa. Żeby rozpocząć działania wojenne, każdy rząd musiałby się pierwiej zwrócić do Lunar Agency o prawo dostępu do swego księżycowego sektora. Niepodobna było tego zataić, więc zagrożony otrzymałby takie samo prawo i zaczęłby się powrotny transport środków rażenia na Ziemię. Klapą bezpieczeństwa, która to udaremniała, była jednak bezludność Księżyca.

Nikt nie mógł wysłać tam ani ludzi, ani zwiadowczych urządzeń, żeby się przekonać, jakim potencjałem zbrojeniowym aktualnie dysponuje. Chytrze to obmyślono, chociaż projekt spotkał się zrazu z silnym oporem sztabów i politycznymi obiekcjami. Księżyc miał być rozwojowym i doświadczalnym poligonem militarnych ewolucji wewnątrz sektorów, przydzielonych poszczególnym państwom. W pierwszej kolejności należało udaremnąć konflikty sektorów. Gdyby broń powstała w jednym zaatakowała i zniszczyła broń sąsiedniego, zlikwidowałyby to pożądaną równowagę sił. Przychodząc z Księżyca, taka wiadomość doprowadziłaby natychmiast do uprzedniej sytuacji a pewno i do rozpoczęcia wojny, zrazu prowadzonej bardzo skromnymi środkami, ale przecież po niedługim czasie wszyscy odtworzyliby na powrót przemysł zbrojeniowy. Programy księżycowych systemów zostały wprowadzone pod kontrolą Lunar Agency i mieszanych komisji ograniczone w ten

sposób, żeby nie mogło dojść do zaatakowania jednego sektora przez inne, ale to zabezpieczenie uznawano za niedostateczne. Nadal nikt nikomu nie ufał. Porozumienie genewskie nie zmieniło ani ludzi w aniołów, ani międzypaństwowych stosunków w świętych obcowanie. Dlatego po zakończeniu prac ogłoszono Księżyc strefą dla wszystkich niedostępną. Nie mogła go penetrować nawet sama Lunar Agency. Gdyby na którymś z poligonów zabezpieczające programy uległy porażeniu lub przebicciu, cała Ziemia dowiedziałaby się o tym w jednej chwili, każdy sektor miał bowiem osłonę najeżoną czujnikami, działającymi samoczynnie i bez ustanku. Te czujniki miały podnieść alarm, gdyby dowolna broń, a choćby metalowa mrówka, przekroczyła granicę, tworzącą pas ziemi niczyjej. I to jednak nie dawało stuprocentowej pewności, chroniącej przed wojną. Pewność tę gwarantowała tak zwana doktryna totalnej ignorancji. Każdy rząd wiedział wprawdzie, że w jego sektorze rozwijają się coraz skuteczniejsze bronie, ale nie wiedział, ile są warte, a zwłaszcza, czy są skuteczniejsze od broni powstających w innych sektorach. Nie mógł wiedzieć, jako że bieg wszelkiej ewolucji jest nieprzewidywalny. Zostało to ściśle udowodnione już dość dawno, i główny szkopuł stanowiła niepodatność polityków i sztabowców na argumenty naukowe. To nie logiczne dowody przekonały nieugiętych, lecz coraz większa ruina gospodarcza, powodowana tradycyjnym trybem zbrojeń. Nawet ostatni idiota musiał w końcu pojąć, że dla zagłady nie jest wcale potrzebna wojna, atomowa albo i nieatomowa, skoro doprowadzą do niej eskalacyjne koszty dalszych zbrojeń. A ponieważ o ich ograniczenie pertraktowano bez skutku już od dziesiątków lat, projekt księżycowy okazał się jedynym realnym wyjściem z matni. Każdy rząd mógł domniemywać, że staje się dzięki księżycowym bazom coraz potężniejszy militarnie, ale nie mógł porównać powstałych tam niszczących mocy z mocami innych rządów. Więc skoro nikt nie wiedział, czy może liczyć na zwycięstwo, nikt nie mógł sobie pozwolić na ryzyko wojny.

Piętą achillesową tego rozwiązania była skuteczność kontroli. Eksperci pojęli z góry, że pierwszą rzeczą, na jakiej będzie zależało programistom każdego państwa, okaże się takie wyposażenie przewożonych na Księżyc systemów, żeby umiały zniweczyć skuteczność nadzoru. I to niekoniecznie atakiem wymierzonym w kontrolne satelity, lecz pociągnięciem chytrzejszym, jako trudniej wykrywalnym, przez wtargnięcie chyłkiem w ich łączność dla fałszowania danych obserwacyjnych, przekazywanych Ziemi, a w szczególności - Lunar Agency. Pamiętałem to wszystko wcale dobrze i dlatego wchodząc za Tarantogą do samolotu, czułem się już spokojniejszy, ale rozsiadłszy się w fotelu, wziąłem się do dalszego przetrząsania pamięci. Tak, wszyscy rozumieli, że nienaruszalność pokoju zależy od nienaruszalności kontroli, a sęk był w tym, jak ją stuprocentowo zapewnić. Zadanie patrzyło

na nierozwiązywalne jako *regressus ad infinitum*: żeby sporządzić system, nadzorujący nietykalność kontroli, ale i on mógłby stać się celem ataku, więc przyszłoby tworzyć kontrolę kontroli, kontroli i tak bez końca. Tę dziurę bez dna zaczopowano jednak wcale prosto. Księżyc opasano dwiema strefami nadzoru. Przyksiężycowa czuwała nad nietykalnością sektorów, a odksiężycowa nad nietykalnością tej pierwszej. Zwornikiem bezpieczeństwa miała być zupełna niezawisłość obu od Ziemi. Tym samym wyścig zbrojeń miał się toczyć na Księżycu pod pieczęcią całkowitej tajności dla wszystkich państw i rządów. Zbrojenia mogły postępować, ale nie ich nadzór. Ten miał funkcjonować bez zmiany przez sto lat. Właściwie wszystko to razem wyglądało całkiem irracjonalnie. Każde mocarstwo wiedziało, że jego księżycowy arsenał wzbogaca się, ale nie wiedziało jak. Tym samym nie miało z tego żadnego pożytku w polityce. Na dobrą sprawę należało zatem pójść na pełne rozbrojenie bez księżycowej komplikacji, lecz o tym nie było mowy. To znaczy, owszem, o tym mówiło się od zarania ludzkości, z wiadomym skutkiem. Kiedy zresztą projekt demilitaryzacji Ziemi i militaryzacji Księżyca został zaakceptowany, było jasne, że prędzej czy później dojdzie do prób naruszenia doktryny ignorancji. W samej rzeczy prasa donosiła co jakiś czas pod ogromnymi nagłówkami o automatach zwiadowczych, które umykały w porę po dostrzeżeniu albo były, jak się to powiadało, brane w niewolę przez satelity przechwytywania. Każda strona oskarżała wówczas drugą o wysłanie takiego zwiadowcy, ale zidentyfikowanie jego pochodzenia było niemożliwe, bo elektroniczny obserwator to nie człowiek. Żadnym sposobem nic się z niego nie wycisnie, jeżeli go odpowiednio skonstruowano. Po jakimś czasie tacy anonimowi zwiadowcy, zwani kosmicznymi szpiegami, przestali się zjawiać. Ludzkość odetchnęła, zwłaszcza że cała rzecz miała stronę gospodarczą. Księżycowe zbrojenia nie kosztowały ani złamanego grosza. Energii dostarczało im Słońce, surowców - Księżyc. Miało to dodatkowo ograniczyć ewolucję zbrojeniową, bo na Księżycu nie ma rud metali.

Sztabowcy wszystkich stron nie chcieli zrazu przystać na ten projekt, utrzymując, że broń, przystosowana do warunków księżycowych, może być do niczego na Ziemi, skoro nie ma tam chociażby atmosfery. Nie pamiętam, jak dociążono Księżyc, choć zapewne i to wyjaśniono mi w Lunar Agency.

Lecieliśmy z Tarantogą w maszynie BOAC, za oknami panowały egipskie ciemności i nie bez rozbawienia uzmysłowiłem sobie naraz, że pojęcia nie mam, dokąd lecimy. Uznałem jednak, że nie warto pytać Tarantogę. Pomyślałem natomiast, że chyba będzie bezpieczniej, jeśli się rychło rozstaniemy. W paskudnej sytuacji, w jakiej się znajdowałem, lepiej było milczeć i zdać się na siebie. Kojąca była świadomość, że o n a nie może się dowiedzieć, co

sobie myślę. Jakbym miał w głowie wroga, chociaż wiedziałem przecież, że to nie żaden wróg.

Lunar Agency była ponadpaństwowym organem, wyłonionym z ONZ, a zwróciła się do mnie z dość szczególnego powodu.

Zdublowany system kontroli działał, jak się okazało, zbyt dobrze. Wiedziano, że granice międzysektorowe pozostają nienaruszone, ale więcej nic. W pomysłowych i niespokojnych głowach narodziła się więc wizja ataku bezludnego Księżyca na Ziemię. Militarna zawartość sektorów nie mogła zderzyć się materialnie ani skontaktować informacyjnie, ale tylko przez jakiś czas. Sektory mogłyby przekazywać sobie informację drganiami gruntu, tak zwanym kanałem sejsmicznym na przykład, upodabniając te wstrząsy do naturalnych sejsmizmów, które co jakiś czas powodują drgania księżycowych skał. Samoczynnie doskonalące się bronie mogły więc w końcu dojść zjednoczenia, żeby pewnego dnia ich potwornie urosły ładunek obruszył się na Ziemię. Po co miałyby to uczynić? Powiedzmy, wskutek aberracji ewolucyjnych programów. Jaką korzyść mogły mieć bezludne armie z obrócenia Ziemi w perzynę? Oczywiście żadnej, ale i rak, tak częsty w organizmach wyższych zwierząt i ludzi, jest stałą, chociaż bezkorzystną, a nawet wielce szkodliwą konsekwencją naturalnej ewolucji. Kiedy poczęto pisać i mówić o tym księżycowym raku, kiedy pojawiły się poświęcone takiej inwazji rozprawy, artykuły, powieści, filmy, książki, wygnany z Ziemi lęk przed zagładą atomową powrócił w nowej postaci.

System nadzoru zawierał też czujniki sejsmiczne i znaleźli się specjaliści twierdzący, że drgania księżycowej skorupy stały się częstsze, a ich wykresy traktowano jako porozumiewawcze szyfry. Nic z tego jednak nie wynikło, prócz rosnącego strachu.

Lunar Agency ogłaszała komunikaty, które miały uspokoić opinię publiczną, że to nie jest nawet jedna szansa na dwadzieścia milionów, ale te dokładne wyliczenia były grochem rzucanym o ścianę. Strach przesączał się już do programów partii politycznych i rozległy się głosy żądające okresowej kontroli sektorów, a nie tylko ich granic. Oponowali im rzecznicy Agencji tłumacząc, że wszelka inspekcja może mieć też cele szpiegowskie, jak rozpoznanie aktualnego stanu arsenałów księżycowych. Po długich i zawiłych obradach i konferencjach Lunar Agency otrzymała na koniec upoważnienie do rekonesansów. Okazało się, że ich przeprowadzenie wcale nie jest łatwe. Żaden z posyłanych automatów zwiadowczych nie wrócił ani nawet nie zipnął choć raz przez radio. Posyłano specjalnie zabezpieczone ładowniki z aparaturą telewizyjną. Owszem; jak stwierdziła obserwacja satelitarna, lądowały w dokładnie wyznaczonych miejscach, na Mare Imbrium, na Mare Frigoris i Nectaris, w strefach ziemi niczyjej między sektorami, ale żaden nie przesłał jakiegokolwiek obrazu.

Każdy jakby się w grunt księżycowy zapadł. Rzecz jasna, to dopiero wzniciło panikę. Przyszło do sytuacji wyższej konieczności. Już pisało się w prasie, że cały Księżyc trzeba przewencyjnie zbombardować raketami wodorowymi. Pierwej jednak trzeba by takie rakiety znów budować, i tym samym wznówić zbrojenia atomowe. Z tego strachu i rozgardiaszu zrodziła się moja misja.

Leciliśmy nad grubą powłoką chmur, łagodnie pofałdowaną, aż jej wybrzuszenia zaróżowiły zorze skrytego jeszcze pod horyzontem słońca. Rozwahałem, czemu tak dobrze pamiętam wszystko ziemskie i jak zarazem mało mogę sobie przypomnieć z tego, co zaszło na Księżycu. Przyczyny potrafiłem się domyślić. Nie na darmo od powrotu studiowałem literaturę medyczną. Wiedziałem, że są dwa rodzaje pamięci, chwilowa i trwała. Przecięcie wielkiego spoidła nie narusza tego, co mózg porządnie już sobie zakarbował, natomiast wszelkie wspomnienia świeże, ledwo powstałe, ulatniają się, zamiast przejść w pamięć trwałą. A najwięcej ulatnia się tego, co delikwent przeżył i spostrzegał na krótko przed operacją. Nie pamiętałem więc mnóstwa rzeczy, które przydarzyły mi się przez siedem tygodni na Księżycu, gdy wędrowałem od sektora do sektora. W głowie została mi tylko aura niesamowitości, ale nie umiając jej ująć w słowa, nie wspominałem o niej w sprawozdaniu. A jednak nie było tam nic alarmującego, tak mi się przynajmniej wydawało. Żadnej zmowy, gotowości, strategicznego konspirowania, wymierzonego w Ziemię. Czułem to jako pewność. Czy mogłem jednak przysiąc, że to, co czuję i wiem, stanowi wszystko? Ze o n a nic więcej nie wie?

Tarantoga milczał, spoglądając tylko od czasu do czasu w moją stronę. Jak zwykle przy lotach na wschód, bo mieliśmy pod sobą Pacyfik, kalendarz się zająknął i zgubił jeden dzień. BOAC oszczędzał na pasażerach. Dostaliśmy tylko po pieczonym kurczaku w sałacie tuż przed lądowaniem, jak się okazało, w Miami. Było wczesne popołudnie. Psy celne obwąchały nasze walizki i wyszliśmy na wolną przestrzeń zbyt ciepło ubrani. W Melbourne było dużo chłodniej. Oczekiwał nas samochód bez kierowcy. Tarantoga zamówił go widać jeszcze w Australii. Po załadowaniu walizek do bagażnika pojechaliśmy highwayem, w dużym ruchu, wciąż milcząc, bo poprosiłem profesora, żeby nie mówił mi nawet, dokąd się udajemy. Mogła to być przesadna ostrożność, nawet całkiem zbędna, ale wolałem trzymać się takiej reguły, dopóki nie wymyślę lepszej. Zresztą nie musiał mi nawet wyjaśniać, gdzieśmy zajechali po dobrych dwu godzinach jazdy boczną drogą, bo ujrzawszy wielki biały budynek otoczony mniejszymi pawilonami wśród palm i kaktusów, zorientowałem się, że zaufany przyjaciel przywiózł mnie do domu wariatów. Pomyślałem, że nie jest to najgorszy azyl. W aucie usiadłem rozmyślnie z tyłu i co jakiś czas sprawdzałem, czy nikt za nami nie jedzie. Nie

przyszło mi jednak do głowy, że mogę być już osobą tak ważną, wręcz drogocenną, aby śledzono mnie sposobem mniej konwencjonalnym niż w szpiegowskiej powieści. Z nowoczesnego sztucznego satelity można obserwować nie tylko auta, ale policzyć zapalki, rozsypane na ogrodowym stole. To nie przyszło mi jednak do głowy, a mówiąc ściślej, do tej połowy, która potrafiła bez pomocy języka głuchoniemych pojąć, w co wsiąkł Ijon Tichy.

## II. WTAJEMNICZENIE

W najgorsze tarapaty mojego życia wpadłem całkiem przypadkowo, chcąc po powrocie z Encji zobaczyć się z profesorem Tarantogą. Nie było go w domu, bo poleciał po coś do Australii. Zamierzał wprawdzie wrócić po paru dniach, ale że hodował jakąś specjalną prymulkę, wymagającą częstego podlewania, osadził na ten krótki czas w mieszkaniu kuzyna.

Nie tego, który zbiera napisy po wszystkich klozetach świata, lecz innego, zajmującego się paleobotaniką. Tarantoga ma wielu kuzynów. Tego nie znałem i widząc, że przyjął mnie w bonzurce bez spodni, powstawszy od maszyny do pisania z wkręconym papierem, chciałem odejść, ale mi nie dał. Nie tylko mu nie przeszkadzam, rzekł, ale przyszedłem w samą porę, pisze bowiem trudną, nowatorską książkę a najłatwiej mu zebrać myśli, kiedy może opowiedzieć treść szykowanego rozdziału choćby i przygodnemu słuchaczowi. Zląkłem się, że pisze dzieło botaniczne i będzie mi zamulał głowę łopuchami, bylinami i załącznikami, ale tak na szczęście nie było. Dość mnie nawet zafrapował. Od zarania dziejów, powiedział, kręcili się wśród dzikich pierwotnych plemion różni oryginałowie, niechybnie uważani za pomyleńców, ponieważ próbowali jeść, co im wpadło w oczy - liście, bulwy, pędy, łodygi, korzenie świeże i wyschłe wszelkich możliwych roślin, przy czym musieli padać jak muchy, boż tyle jest roślin trujących. To nie odstraszało jednak następnych nonkonformistów, którzy podejmowali ów niebezpieczny trud.

Tylko dzięki nim wiadomo dziś, jakiej fatygi kuchennej warte są szparagi czy szpinak, co zrobić z liściem lauru, a co z gałąką muszkatołową, natomiast od wilczej jagody lepiej stronić. Kuzyn Tarantogi zwrócił mą uwagę na zapoznany przez światową naukę fakt, że aby ustalić, która roślina najlepiej nadaje się do palenia i zaciągania się jej dymem, syzyfowie starożytności musieli zbierać, suszyć, fermentować, zwijać, jako też obracać w popiół dobrych 47 000 rodzajów roślin liściastych, nim wpadli na tytoń, bo przecież na żadnej gałązce nie znaleźli tabliczki z napisem, że TO nadaje się zarówno do produkcji cygar, jak, po zmieleniu na proszek, tabaki. Dywizje tych prapoświętliwców przez liczne stulecia brały do gęby, gryzły, żuły, smakowały i łykały wszystko, ale to wszystko, co gdziekolwiek rosło pod płotem czy na drzewie, i to na wszelkie sposoby: gotując albo na surowo, z wodą i bez wody, z odcedzaniem i bez odcedzania, a też w niezliczonych kombinacjach, dzięki czemu przyszedłszy na gotowe i wiemy, że miejsce kapusty jest przy wieprzowinie, natomiast *pendant* do zajączka to buraczki. Z tego, że gdzieś nie uznają przy zającu buraczków, lecz na przykład czerwoną kapustę, kuzyn Tarantogi wnosi o wczesnym powstaniu

społecznych narodowości. Nie ma Słowian bez barszczu. Każda nacja miała widać własnych eksperymentatorów i gdy się raz zdecydowali na buraka, potomność została mu wierna, choćby sąsiednie ludy miały buraka w pogardzie. O różnicach kultury gastronomicznej, warunkujących różnice charakteru narodowego (korelacja sosu mięsowego ze *spleenem* Anglików, przy okazji rozbratła na przykład), kuzyn Tarantogi napisze osobną książkę. Wyjawi w niej, czemu Chińczycy, których od tak dawna już jest tak wielu, lubią jeść pałeczkami i to wszystko pociapane i podrobione, i to koniecznie z ryżem. Ale o tym będzie pisał potem. Każdy wie - podnosił głos - kim był Stephenson. Każdy go szanuje za jego banalną lokomotywę. Ale czym jest lokomotywa, do tego nieaktualna, bo parowa, wobec karczochów, które zostaną z nami wiecznie? Jarzyny nie starzeją się w przeciwieństwie do techniki i zastałem go właśnie przy obmyślaniu rozdziału na ten odkrywczy temat. Czy zresztą Stephensonowi, kiedy gotową już maszynę parową Watta stawiał na koła, groziła od tego śmierć? Czy Edison, wymyślając fonograf, znajdował się w niebezpieczeństwie życia? Obaj ryzykowali w najgorszym razie irytację rodziny i plajtę. Jakież to niesprawiedliwe, że wynalazców technicznej staroci musi znać każdy, natomiast wielkich wynalazców gastronomii nie zna nikt i nikt nawet nie pomyśli o tym, że należałoby przynajmniej wystawić pomnik Nieznanemu Kuchmistrzowi, tak jak się ja stawia Nieznanym Żołnierzom. Wszak moc tych anonimowych bohaterów padła w strasznych mękach od podejmowanych straceńczo prób, chociażby po grzybobraniu, kiedy nie było innego sposobu odróżnienia grzybów jadalnych od trujących, jak zjeść zebrane i czekać, czy nadchodzi ostatnia godzina.

Dlaczego podręczniki szkolne pełne są bająn o rozmaitych Aleksandrach Wielkich, którzy, mając króla za tatę, przychodzili na gotowe? Czemu dzieci muszą się uczyć o Kolumbie jako odkrywcy Ameryki, skoro odkrył ją niechcący, po drodze do Indii, natomiast o odkrywcy ogórka nie ma ani jednego słowa? Bez Ameryki można by się obejść, prędzej czy później dałaby zresztą sama znać o sobie, lecz ogórek by nie dał i nie byłoby przy mięsiwie na talerzu uczciwej marynaty. O ileż bardziej heroiczne i świetlane były śmierci tamtych anonimów od śmierci żołnierskiej! Jeśli żołnierz nie popędził na wraże okopy, szedł pod sąd polowy, natomiast nikt nigdy nie zmuszał nikogo do wystawiania się na śmiertelne niebezpieczeństwo nieznanych grzybków bądź jagódek. Kuzyn Tarantogi rad by więc widzieć przynajmniej odpowiednie tablice pamiątkowe, wmurowane u wejścia do każdej porządniejszej restauracji, ze stosownymi napisami w rodzaju MORTUI SUNT UT NOS BENE EDAMUS albo przynajmniej MAKE SALAD, NOT WAR. Zwłaszcza przy jadłodajniach jarskich, boż ze zwierzyną było mniej zachodu. Żeby bić kotlety czy siekać hamburgery, dość było podpatrywać, co hiena czy szakal robią z padliną, i to samo z jajami.

Za sześćset rodzajów sera może i należy się Francuzom mała plakietka, ale nie pomnik i nie marmurowa tablica, boż większość tych serów poodkrywali z roztargnienia - ot, zapominalski pastuch zostawił przy gomułce sera pajdę pleśniejącego chleba i tak zrodził się Roquefort. Kiedy wziął się do deprecjonowania współczesnych polityków, mających jarzyny za nic, zadzwonił telefon. Podjąwszy słuchawkę kuzyn Tarantogi dał mi ją mówiąc, że to ktoś do mnie. Przyłożyłem ją więc do ucha mocno zdziwiony, boż nikt nie mógł wiedzieć o moim powrocie z gwiazd, lecz sprawa zaraz się wyjaśniła. Ktoś z biura generalnego sekretarza ONZ chciał spytać Tarantogę o mój adres, a kuzyn, by tak rzec, zrobił krótkie spięcie, prosząc mnie do telefonu. Mówił doktor Kakesut Wahatan, nadzwyczajny pełnomocnik doradcy do spraw globalnego bezpieczeństwa przy generalnym sekretarzu Organizacji Narodów Zjednoczonych. Pragnął zobaczyć się ze mną możliwie rychło, więc umówiliśmy się na następny dzień i zapisawszy sobie w notesiku godzinę pojęcia nie miałem, w co się pakuję. Chwilowo jednak ów telefon okazał się korzystny, przerwał bowiem potok wymowy kuzyna Tarantogi, który chciał mówić o przyprawach pieprznych, lecz udało mi się go pożegnać w rzekomym pośpiechu, po złożeniu kłamliwej obietnicy, że wnet go odwiedzę.

Grubo potem Tarantoga powiedział mi, że prymula uschła, kuzyn zapomniał ją bowiem podlewać w paleobotaniczno-gastronomicznym ferworze. Zjawisko uznałem za typowe: kto oddaje się liczbie mnogiej, za nic ma pojedynczą. Dlatego wielcy melioryści, co pragną uszczęśliwiać od razu całą ludzkość, cierpliwości nie mają dla poszczególnych osób.

Szydło nieprędko wyszło z worka. Nie dowiedziałem się, że mam nadstawić głowę za ludzkość, lecąc na Księżyc, by sprawdzić, co tam knują zmyślane bronie. Najpierw przyjął mnie doktor Wahatan, mokką i starym koniakiem. Był to Azjata cały w uśmiechach, Azjata doskonały, bo nie dowiedziałem się od niego w ogóle nic: tak strzegł tajemnicy. Podobno sekretarz generalny pragnął koniecznie zaznajomić się z moimi książkami, lecz jako człowiek niesłychanie przeciążony na swym wysokim stanowisku chciał, żebym sam polecił mu ten z mych tytułów, który mam za najistotniejszy. Niby przypadkowo zjawilo się u Wahatana paru innych facetów, prosząc o autografy. Trudno było odmówić. Mówilo się, owszem, o robotach, o Księżycu, ale głównie o jego roli historycznej: eksponatu czy dekoracji w utworach liryczno-miłosnych. Grubo później usłyszałem, że to nie były zwyczajne rozmowy, lecz przejście od *screening* do *clearance*, fotel bowiem, w którym spoczywałem wygodnie, był cały naszpikowany czujnikami, aby podług mikroskopijnych zmian napięcia mych mięśni badać moje reakcje na słowa zwane kluczowymi bodźcami, właśnie w rodzaju Księżycza czy robota.

Sytuacja, jaką pozostawiłem bowiem na Ziemi, lecąc do gwiazd Cielca, uległa

poniekąd odwróceniu: moją wywiadowczą przydatność badał i wystawiał mi z niej stopnie komputer, a moi rozmówcy służyli mu tylko za instrumenty auskultacyjne. Sam nie wiem, jak przyszło na to, że nazajutrz znów zaszedł do biur ONZ, a potem jeszcze raz, skoro mnie zapraszali. Koniecznie i wciąż chcieli się ze mną widywać. Począłem jadać z nimi obiady w kantine, dość nawet przyzwoitej, lecz poza towarzyski cel mych coraz częstszych wizyt pozostawał niejasny. Zarysowała się jak gdyby idea wydania mych dzieł zebranych przez Narody Zjednoczone we wszystkich językach świata: jest ich ponad cztery i pół tysiąca. Choć nie ma we mnie śladu próżności, myśl uznałem za słuszną. Nowi znajomi okazali się zapamiętałymi miłośnikami mych *Dzienników gwiazdowych*. Byli to doktor Rorty, inżynier Tottentanz i dwaj bracia Cybbilkis, bliźniacy, których nauczyłem się odróżniać po krawatach. Obaj byli matematykami. Starszy, Castor, zajmował się algomatyką, czyli algebrą takich konfliktów, które kończą się fatalnie dla wszystkich uwikłanych stron. (Dlatego tę gałąź teorii gier zwą niekiedy sadystyką, a koledzy mówili, że Castor jest sadystykiem, przy czym Rorty utrzymywał, że jego pełne imię brzmi Castor Oil; był to chyba żart). Drugi Cybbilkis, Polluks, był statystykiem i miał dość osobliwy zwyczaj wtrącania się do rozmowy po dłuższym milczeniu pytaniami ni w pięć ni w dziewięć, na przykład, ilu ludzi na całym świecie dłubie w nosie właśnie w tej chwili? Jako fenomenalny rachmistrz umiał takie rzeczy obliczyć wręcz błyskawicznie. Któryś z nich czekał mnie przez grzeczność na dole w westybulu wielkim jak hangar wahadłowców i prowadził do windy. Jechaliśmy do Cybbilkisów, do ich pracowni, albo do profesora Jonasza Kushtyka, też zakochanego w mych książkach, skoro potrafił cytować mnie na pamięć z podaniem strony i roku wydania. Kushtyk (podobnie jak Tottentanz) zajmował się teorią zdalników, czyli teleferystyką. Teleferystyka to nowa dziedzina robotyki, zwanej upośrednieniem albo przekazywaniem obecności (dawniej zwało się to *telepresence*). Hasło teleferystyków brzmi: "Gdzie człowiek sam nie może, zdalnika pośle". To właśnie Kushtyk i Tottentanz nakłonili mnie, żebym skosztował zdalenia - czyli dał się zdalić - bo człowiek, którego wszystkie zmysły przekazują fale radiowe zdalnikowi, zwie się właśnie zdalonym albo zdaleńcem.

Chętnie na to poszedł i dopiero dużo później przyszło mi do głowy, że oni wszyscy nie byli naprawdę zakochani w mych dziełach, a czytali mnie w ramach zajęć służbowych, bo razem z szeregiem innych pracowników Lunar Agency, których lepiej nie wymienię, żeby ich nie unieśmiertelnić, mieli mnie powołusku wciągnąć w projekt zwany Misją Księżycową. Dlaczego powołusku? Dlatego, bo mogłem przecież odmówić i zamiast na Księżyc udać się do domu, poznawszy wszystkie sekrety misji. No to co, mógłby ktoś spytać z głupia frant, czy zrobiłaby się od tego dziura w niebie? Otóż sęk w tym, że mogła się zrobić. Facet, wybrany

spośród tysięcy przez Lunar Agency, miał się odznaczać najwyższą kompetencją i lojalnością. Kompetencja rozumie się sama przez się, ale lojalność? Wobec kogo miałem pozostać lojalny, wobec Agencji? W pewnym sensie, jako że reprezentowała interes całej ludzkości. Chodziło o to, żeby żadne państwo z osobna ani żadna grupa lub może potajemna koalicja państw nie mogła poznać rezultatów księżycowego zwiadu. Jeśli się uda, to ten, kto by poznał jako pierwszy tameczny stan zbrojeń, mógł uzyskać tym samym strategiczną informację, dającą mu małą przewagę na Ziemi. Panujący na niej pokój nie był wcale, jak z tego widać, idyllą.

Tak zatem uczeni, co mnie nurzali w serdecznościach i dawali mi się jak dziecku bawić zdalnikami, w istocie przeprowadzali na żywo sekcję mego mózgu, a dokładniej mówiąc, pomagali robić to komputerom, asystującym niewidzialnie wszystkim naszym pogaduszkom. Castor Cybbilkis ze swoimi surrealistycznymi krawatami był obecny, jako teoretyk pyrrusowo kończących się konfliktów, ponieważ taki właśnie konflikt ze mną czy przeciwko mnie rozgrywano. Żeby przyjąć lub odrzucić misję, musiałem pierwej zapoznać się z nią, ale gdybym ją poznaną odrzucił, albo gdybym ją przyjął i za powrotem zdradził na boku tylko mnie znane wyniki rekonesansu, doszłoby do stanu, który algomatycy zwa przedkatastrofalnym. Kandydatów było wielu różnej narodowości, rasy, wykształcenia, o różnych dokonaniach - byłem jednym z nich, ale nie miałem o tym zielonego pojęcia. Wybraniec miał być delegatem ludzkości, a nie szpiegiem, chociażby potencjalnym, któregoś mocarstwa. Dlatego operacja "Grysik" miała za dewizę kodowe hasło *PAS (Perfect Assured Secrecy)*. "Grysik" stał, że szło o dokładne przesiewanie i tym samym selektywnie doskonały wybór zwiadowcy. W szyfrowanych raportach zwany był Misjonarzem. "Grysik" stanowił aluzję do "Sita", nie wymienionego wprost, aby ktoś postronny uchowaj Boże nie domyślił się, o co chodzi. Czy mi to ktoś wszystko wyjawiał do samego końca? Gdzie tam. Niemniej, kiedy już zostałem mianowany Misjonarzem (*LEM: Lunar Efficient Missionary*) i włożyłem iks razy do rakiety, żeby z niej po paru godzinach jak niepyszny wyleźć na powrót w skafandrze, obwieszonym przewodami i rurami, bo znów coś tam nawaliło przy startowym odliczaniu (*count-down*), miałem dość czasu, aby przemyśleć ostatnie miesiące, aż złożyły mi się w głowie jak należy, i dodawszy jedno do drugiego pojąłem ukrytą treść gry, którą prowadziła ze mną LA o najwyższą możliwą stawkę. Najwyższą niekoniecznie dla ludzkości, dla świata, ale dla mnie: doszedłem bowiem bez wszelkiej algomatyki i teorii pyrrusowych gier do przekonania, że w takiej sytuacji najpewniejszym sposobem zachowania *PAS* byłoby ukatrupienie zwiadowcy natychmiast po jego szczęśliwym powrocie na Ziemię, kiedy złoży już raport. A ponieważ wiedziałem, że teraz już muszą mnie wysłać na górę, gdyż okazałem się najlepszym i najpewniejszym ze wszystkich kandydatów, między jednym a drugim

odliczaniem powiedziałem to moim drogim kolegom, Cybbilkisom, Kuschtykowi, Blahousemu, Tottentanzowi, Garraphizie (o Garraphizie może wspomnę jeszcze osobno), którzy razem z kilkunastoma technikami łączności mieli stanowić ziemską załogę mojej selenologicznej ekspedycji, czyli być mi tym, czym dla Armstronga *et Co.* było podczas misji Apollo Houston. Pragnąc zaś zrobić tym załogańcom ile się da przykrości, spytałem, czy wiadomo im, kto zajmie się mną, kiedy wrócę jako bohater - sama Lunar Agency, czy też podnajęta przez nią MURDER INCORPORATED?

Tak właśnie to powiedziałem, tymi słowami, żeby zobaczyć ich reakcję: jeśli bowiem w ogóle brali pod uwagę TEN wariant, musieli pojąć mnie w lot. Jakoż zastygli, jakby w nich grom palnął. Jeszcze widzę tę scenę. Niewielkie pomieszczenie kosmodromu, zwane poczekalnią, urządzone po spartańsku - blachy pokryte jasnozielonym plastikiem, automaty z coca-colą, tylko fotele były naprawdę wygodne - ja, w anielsko białym skafandrze, z głową pod pachą (z hełmem, ale tak się mówiło: kto miał "głowę pod pachą", ten, znaczy, już miał lecieć) naprzeciw wiernych towarzyszy, uczonych, doktorów, inżynierów. Bodaj pierwszy przemówił Castor Oil. Że to nie oni - że to, w równaniach tylko, sam komputer - bo, w ujęciu czysto matematycznym, rozwiązanie lematu *Perfect Assured Secrecy* jest właśnie takie, lecz ta abstrakcja, nie uwzględniająca współczynnika etycznego, nigdy nie wchodziła w grę - i obrazam wszystkich, mówiąc, w takiej chwili, posądzając ich.

- Ecie pecie - odparłem. - Wiadomo, że wszystkiemu winien komputer. Ten brzydal! Ale mniejsza o etykę. Wszyscy, jak was tu mam, jesteście prawie święci, ja zresztą też. Ale - czy nikomu z was, z komputerem na czele, nie przyszło do głowy TO właśnie?

- Niby CO? - spytał zbaraniały Pyrrhus Cybbilkis (bo i tak go zwano).

- To, że domyśle się, a kiedy TEN mój domysł sprawdzę - jakem to zrobił w tej chwili - ów fakt wejdzie do równań wyznaczających moją lojalność i tym samym odmieni ten wyznacznik...

- Ach - jęknął drugi Cybbilkis - oczywiście, że to było brane pod uwagę, przecież to jest ABC algomatycznej statystyki: ja wiem, że ty wiesz, że ja wiem, że ty wiesz, że ja wiem - to są przecież te nieskończonościowe aspekty teorii konfliktów, które...

- Dobrze, dobrze - rzekłem stygnąc, bo zaintrygowała mnie obliczeniowa strona rzeczy. - I co wam wyszło na koniec? Że taki domysł naruszy moją lojalność?

- Niby tak - odparł niechętnie Castor Oil za brata. - Ale spadek twojej lojalności po TAKIEJ scenie jak TA (przecież też musiało się ją wymodelować...) jest ciągiem malejącym o granicy zero.

- Aha - podrapałem się po nosie, przekładając hełm spod prawego ramienia pod lewe -

więc TO TUTAJ, TERAZ, zmniejsza matematyczne oczekiwanie redukcji mej lojalności?

- Zmniejsza, zmniejsza! - powiedział. A brat jego dodał, patrząc mi czule i zarazem badawczo w oczy: - Sam chyba czujesz...

- Faktycznie - burknąłem, nie bez zdziwienia konstatując, że mieli rację, oni czy ich komputer, w tych psychologicznych obliczeniach: bo moja złość na nich już znacznie zmaląła.

Nad wyjściem na płytę kosmodromu zapalił się zielony sygnał, zarazem ozwały się wszystkie brzęczyki na znak, że defekt usunięto i mam znów pakować się do rakiety. Nie mówiąc już nic, zrobiłem zwrot w tył i ruszyłem w ich asyście, obmyślając po drodze pointę całej historii. Uprzedzam wypadki, ale skorom już zaczął, muszę skończyć. Kiedy opuściłem stacjonarną orbitę okołoziemską i figę mogli mi zrobić, zapytany, jak się czuję, odparłem, że doskonale, rozważam bowiem, czy nie skumać się z księżycowym państwem, żeby dać łupnia paru ziemskim znajomym. Jakże fałszywie zabrzmiał ich śmiech w moich słuchawkach...

Ale to było potem, po wycieczkach na pseudoksiężycowy poligon i po zwiedzaniu Gynandroics Corporation. Ta gigantyczna firma wyprzedziła już obrotami nawet International Business Machines, choć zrodziła się jako jej skromny ablegier. Muszę tu wyjaśnić, że Gynandroics wbrew potocznym mniemaniom nie produkuje żadnych robotów ani androidów, jeśli rozumieć pod nimi człekokształtne manekiny, obdarzone człekokształtną psychiką. Doskonałe symulowanie umysłowości człowieka jest prawie niemożliwe - owszem, komputery osiemdziesiątej generacji i wszystkich następnych są bardziej inteligentne od nas, ale ich życie umysłowe nie przypomina ludzkiego. Normalny człowiek jest istotą wysoce nielogiczną i w tym jego człowieczeństwo. To rozum, owszem, lecz silnie zanieczyszczony uprzedzeniami, emocjami i przeświadczeniami wyniesionymi z dzieciństwa czy z genów ojca i matki. Dlatego robot, podający się (na przykład przez telefon) za człowieka, dość łatwo może zostać zdemaskowany przez specjalistę. Mimo tej zasadniczej obiekcji osławiona SEX INDUSTRY produkowała dla wysondowania rynku krótkie serie tak zwanych S-DOLLS (jedni utrzymują, że szło o SEX DOLLS, lale do uprawiania miłości, inni zaś, że o SEDUCTIVE DOLLS - zalotne uwodnice, czy raczej uwodzące zalotnice z nowych tworzyw, tak spokrewnionych z biologicznymi, że używa się ich jako transplantatów skóry przy operacjach w chirurgii). Te *femmes de compagnie* nie chwyciły. Były zanadto LOGICZNE - za inteligentne. Mówiąc po prostu - mężczyzna, obcujący z taką sawantką, popadał w kompleks niższości - no i za drogie. Ten, kogo było stać na taką konkubinę (najtańsze, *made in Japan*, kosztowały powyżej 90 000 dolarów sztuka, nie licząc miejscowych opłat i podatku od luksusów), mógł wszak mieć tańsze romanse z naturalnymi partnerkami. Przewrót

uczyniły na rynku dopiero zdalnice, czyli “pustawki”. Są to też lale, idealnie podobne do kobiet, ale “puste”, to znaczy bezmózgie. Nie jestem mizoginem i gdy mówię “bezmózgie”, nie powtarzam głupstw różnych Weiningerów, odmawiających płci pięknej rozumu, lecz mówię dosłownie: zdalnik jak i zdalnica to wszak manekiny, sterowane przez człowieka, a więc puste powłoki.

Przywdziawszy strój z mrowiem wszytych elektrod przywierających do skóry, każdy człowiek może się wcielić w zdalnika lub w zdalnicę. Nikt nie wiedział, jakie wstrząsy wywoła ta technika w ludzkim życiu z erotyką na czele. I to poczynając od pożycia małżeńskiego a kończąc na najstarszym zawodzie świata. Powstały stąd nowe dylematy dla prawników. Prawo nie uznawało intymności, jakich się ktoś dopuszczał z tak zwaną *sex doli*, za zdradę dającą podstawę do rozwodu. Czy była wypchana, czy nadymana pompką rowerową, czy miała napęd przedni, czy tylny, przekładnię automatyczną albo biegi włączane ręcznie, nie miało znaczenia: o zdradzie nie było mowy tak samo, jakby ktoś żył z szufladą. Produkty teleferyczne zmusiły jednak prawo cywilne do rozstrzygnięcia, czy osoba, która będąc w małżeńskim związku, zadaje się ze zdalnikiem albo zdalnicą, popełnia tym samym zdradę, czy nie. Pojęcie “zdalnej zdrady” było gorąco dyskutowane w pismach fachowych i w prasie. Stanowiło to ledwie początek trudnych kwestii. Czy na przykład można zdradzić własną żonę z nią samą, ale młodszą niż aktualnie? Niejaki Adlai Groutzer zamówił w bostońskiej filii Gynandroics zdalnicę jako kopię własnej żony, gdy miała 21 lat, a nie 59, jak obecnie. Problem komplikowało to, że w 21 roku życia pani Groutzer nie była jeszcze panią Groutzer, ale żoną Jamesa Browna, z którym rozeszła się dwadzieścia lat później, by wyjść za Groutzera. Sprawa wlokła się przez wszystkie instancje. Sądom przyszło ustalać, czy żona, która nie chce poruszać intymnie zdalnicą, nabytą przez męża, odmawia mu tym samym pożycia małżeńskiego. Czy możliwy jest zdalny incest, sadyzm i masochizm. Jako też pederastia. Jakaś firma wypuściła serię manekinów, które można było, sięgając do skrzynki z częściami zastępczymi, przerabiać na damekiny, albo nawet na obojnaki. Japończycy eksportowali do Stanów i do Europy obojnaki po cenach dumpingowych: jednym ruchem ręki można było ustalić ich płć (na zasadzie “tu wiata, tam wylata, aqua destilata”). Wśród klienteli Gynandroics było ponoć moc sędziwych prostytutek, które osobiście nie miały już szans uprawiania zawodu, lecz dysponując wieloletnią rutyną odznaczały się sterowniczym mistrzostwem. Rzecz jasna sprawy nie ograniczały się do erotycznych. Tak na przykład pewien dwunastoletni uczeń, ukarany złym stopniem przez nauczyciela za błędy ortograficzne w dyktandzie, użył atletycznie zbudowanego zdalnika, będącego własnością jego ojca, żeby zbić nauczyciela na kwaśne jabłko i pogruchotać mu wszystkie meble w mieszkaniu. Był to

zdalnik zwany stróżem domowym. Sprzedaż tego modelu szła jak woda. Zdalnik ów, trzymany w budzie na terenie ogrodu owej rodziny, miał go strzec przed złodziejami. W tym celu ojciec chłopca kładł się spać w specjalnej piżamie z wszytymi elektrodami, a gdy urządzenie alarmowe sygnalizowało obecność postronnych w ogrodzie, mógł, nie wstając z łóżka, dać radę nawet kilku intruzom naraz jako zdalnik i przytrzymać ich do przybycia wezwanej policji. Syn zwędził ojcu piżamę podczas jego nieobecności. Na ulicach widziałem nieraz pikiety i demonstracje wymierzone w Gynandroics i w analogicznych wytwórców japońskich. Przeważały w nich kobiety. Ustawodawcy kilku ostatnich stanów USA, w których homoseksualizm pozostawał jeszcze karalnym deliktem, popadli w panikę, nie wiadomo było bowiem, czy pederasta, zakochany w normalnym mężczyźnie, popełnia taki delikt, kiedy nasyła tamtemu urokliwą zdalnicę, ażeby osobiście nią sterować. Powstawały nowe pojęcia, na przykład telemate - zdalna towarzyska miłości, kochanka bądź żona. Kiedy Sąd Najwyższy uznał wreszcie za dopuszczalne, czyli należące do sfery relacji matrymonialnych, stosunki małżeńskie *per procura* (więc za pośrednictwem zdalnika) przy obopólnej zgodzie małżonków, wynikła sprawa Kuckermanów. On był komiwojazerem, ona zaś prowadziła zakład fryzjerski. Przebywali z sobą rzadko, ona nie mogła bowiem opuszczać zakładu, on zaś był wciąż w rozjazdach. Owszem, zgodzili się na upośrednienie swego związku, ale poszło o to, czy pośrednikiem ma być zdalnik-mąż, czy zdalnica zastępująca żonę. Sąsiad Kuckermanów ściągnął na siebie ich gniew, chcąc im bowiem z życzliwości dopomóc, sugerował, aby poszli na kompromis, używając pary teleferycznej: zdalny mąż ze zdalną żoną zdawali mu się salomonowym rozwiązaniem dylematu. Kuckermanowie uważali jednak ten pomysł za kretyński i obraźliwy. Pewno nie wiedzieli, że ich spór, po opublikowaniu w prasie, doprowadzi do zjawiska tak zwanej eskalacji teleferycznej: a to, ponieważ zdalnikowi też można nałożyć strój z elektrodami, ażeby powodował następnym zdalnikiem, i tak bez końca. Koncepcję tę podjął z entuzjazmem świat przestępczy. Podobnie bowiem, jak można łatwo wykryć nadajnik radiowy, można też ustalić, skąd jest sterowany konkretny zdalnik. Tym sposobem posługiwała się nagminnie policja przy dokonywanych teleferycznie włamaniach lub morderstwach. Gdy jednak sprawca zdalnik kierowany jest przez innego zdalnika pelengatorami, można dotrzeć do tego innego, a nim się go pochwyci, właściwy sprawca - człowiek zdąży już zerwać łączność radiową ze "środkowym" zdalnikiem i tym samym zatrzeć własny ślad. Katalogi TELEMATE CO. i (japońskie) firmy SONY - oferowały zdalników od liliputa do King-Konga oraz zdalnice, odtwarzające w nieprześcigniony sposób słynne postaci historyczne, jak Nefretete, Kleopatrze, królową Nawarry, jako też współczesne gwiazdy filmowe. Żeby uniknąć procesów, związanych z tak zwanym "nadużyciem

cielesnego podobieństwa”, każdy, kto pragnął mieć w szafie kopię First Lady USA czy żony sąsiada, korzystał z wysyłkowej sprzedaży takich kopii, uprzednio rozebranych na części składowe. Nabywca podług instrukcji montował sobie upragnioną Playmate w czterech ścianach domu. Podobno pojawili się nawet osobnicy cierpiący na tak zwany narcyzm, którzy nie kochając nikogo prócz siebie samych, zamawiali własne podobizny. Legislacja załamywała się pod brzemieniem bezliku nowych spraw, a zarazem jasne było, że nie można po prostu zabronić produkcji zdalników tak, jak zakazuje się produkcji bomb atomowych lub narkotyków osobom prywatnym, ponieważ zdalnictwo było już ogromnym przemysłem, pracującym zarówno dla gospodarki narodowej, jak techniki i nauki, włącznie z kosmonautyką. Tylko jako zdalnik mógł wszak człowiek wylądować na wielkich planetach w rodzaju Saturna czy Jowisza. Zdalników używano też do prac w górnictwie oraz w ratownictwie, często wysokogórnym, a także podczas trzęsień ziemi i przy innych katastrofach żywiołowych. Zdalnik był niezastąpiony przy eksperymentach groźnych dla życia, zwanych niszczącymi. Lunar Agency miała specjalny kontrakt z Gynandroics na zdalniki księżycowe. Niebawem miałem się dowiedzieć, że już próbowano ich używać w projekcie *LEM (Lunar Efficient Missionary)*, ale z tyleż zagadkowymi, co katastrofalnymi wynikami.

Po halach montażowych Gynandroics oprowadzał mnie Paridon Sawekahu, główny inżynier. Musiałem się pilnować, bo mówił mi zwyczajem swego narodu po imieniu, a mnie się wciąż Paridon mylił z piramidonem. Byłem w towarzystwie Tottentanza i Blahousego. Inżynier Sawekahu uskarżał się na grad coraz to nowych prawnych restrykcji, które utrudniają firmie prace badawcze i rozwój nowych prototypów. W bankach na przykład założono powszechnie u wejść czujniki, które wykrywają zdalników, z czym byłoby jeszcze pół biedy. Banki obawiają się zdalnych grabieży, to zrozumiałe. Zamiast jednak urządzeń czysto alarmowych liczne banki używają termoindukcyjnych. Ledwie rozpoznany, przez zawartą w nim elektronikę, zdalnik podlega niewidzialnemu udarowi fal wysokiej częstotliwości. Spowodowany tym skok temperatury stapia jego przewody i obraca go w złom. Liczni nabywcy mają o to pretensje nie do banków, lecz do Gynandroics. Ponadto zdarzają się już niestety zamachy, nawet bombowe, na transporty zdalnic, zwłaszcza pięknych. Inżynier Paridon dał mi do zrozumienia, że jego firma podejrzewa ruch *womans liberation* o te akty terroru, ale na razie nie ma dowodów, umożliwiających wkroczenie na drogę sądową.

Zademonstrowano mi cały proces produkcji, poczynając od spawania ultralekkich szkieletów duralowych po oblewanie tego “chassis” masą ciałokształtną. Większość zdalnie produkuje się w ośmiu wymiarach, zwanych potocznie “kalibrami”. Wytwarzane podług

indywidualnych zamówień są przeszło dwudziestokrotnie droższe. Zdalnik nie musi zresztą wcale być podobny do człowieka, lecz im bardziej będzie odeń różny budową, tym większe powstają trudności sterownicze. Ogon jest nader poręcznym zabezpieczeniem dla zdalników, pracujących na wielkiej wysokości, przy układaniu lin mostów wiszących czy kabli wysokiego napięcia, lecz człowiek nie ma czym zawiadywać chwytnym ogonem. Pojechaliśmy potem elektrycznym autkiem (ze względu na ogrom terenu) do składów, gdzie obejrzałem zdalniki planetarne i księżycowe. Im większa grawitacja, tym trudniejsze zadanie mają budowniczo zdalnika, bo zbyt mały nie może wiele zdziałać, a zbyt wielki, obciążony dużymi silnikami, które go poruszają, za wiele waży. Wróciliśmy do hali końcowego montażu. Podczas kiedy doktor Wahatan z biur ONZ był Azjata dypłomata, z uśmiechem powściągliwie grzecznym, inżynier Paridon był Azjata entuzjastą i jego sine wargi nie zamykały się, gdy ukazując świetne uzębienie śmiał się:

- Czy uwierzy pan, Ijonie, na czym przewróciła się ekipa General Pedypulatrix ze swoimi robotami? Na dwunogim chodzie! Przewrócili się razem ze swoim prototypem, bo on wciąż się przewracał! Niezłe, co? Cha-cha-cha! Żyroskopy, przeciwwagi, sensory z *double feed-back* w podkolaniach - i nic nie pomagało. My oczywiście nie mamy żadnych problemów, wszak równowagę zdalnika utrzymuje człowiek!

Patrząc na białoróżane podobne do niemowlęcych ciała zdalnic, które z taśmy podejmowały po kolei podnośniki, tak że staliśmy pod szeregiem gołych dziewcząt, miarowo płynących nad naszymi głowami w stronę pakowni, bezwładnych, gdy ich długie, spadające włosy poruszały się i falowały jak żywe, spytałem Paridona, czy jest żonaty.

- Cha-cha-cha! Figlarz z pana! Ijonie! Tak! Żonaty i dzieciaty. Oczywiście! Szewc nie chodzi w butach, które sam robi! Uważa pan? Ale naszym pracownikom oferujemy po sztuce rocznie w ramach premii. To dla nich doskonały interes!

- Jakim pracownikom? - spytałem. Hala była bezludna. Przy taśmach pracowały polakierowane na żółto, zielono i niebiesko roboty z wysięgnikami, podobne do wielocłonowych, graniastych gąsienic.

- Cha-cha-cha! W biurach mamy jeszcze trochę ludzi. W sortowni, w kontroli technicznej i w pakowni też. O - wybrakowana sztuka! Z nogami coś nie tak. Krzywe! Czy pan Ijon reflektuje na egzemplarz? Nieodpłatnie, na tydzień, możemy dostarczyć do domu?

- Nie, dziękuję - powiedziałem. - Na razie nie. Pigmalionizm nie jest w moim guście.

- Pigmalionizm? A - pigmalionizm! Bernard Shaw! Wiem! Oczywiście, rozumiem aluzję. W niektórych ludziach budzi to sprzeciw. Ale przyzna pan, że lepiej produkować damekiny niż karabiny, co? Produkcja dla pokoju. *Make love, not war!* Prawda?

- Można mieć pewne zastrzeżenia - zauważyłem ogólnikowo. - Widziałem przed bramą pikiety.

- Tak. Problemy są. Zapewne! Zwykła kobieta nie może się równać ze zdalnicą. W życiu piękno jest wyjątkiem z reguły. U nas jest techniczną normą! Prawa rynku. Podaż regulowana popytem. Co robić: taki jest świat...

Obejrzelśmy jeszcze ubieralnię, pełną szumiących sukien, bielizny, zaafierowanych dziewcząt z nożycami i krawieckimi metrami na szyjach, dziewcząt dość niepozornych, bo żywych, i pożegnaliśmy się z inżynierem Paridonem, który odprowadził nas na parking do auta. Tottentanz i Blahouse byli dziwnie milczący w drodze powrotnej. Ja też nie miałem ochoty na rozmowę. Dzień się jednak jeszcze nie skończył.

Wróciwszy do domu znalazłem w skrzynce na listy grubo wypchaną kopertę z książką o długim tytule: *Dehumanization trend in weapon systems of the twentyfirst century or upside-down evolution*. Nazwisko autora - Meslant - nic mi nie mówiło. Tom był ciężki, solidny, dużego formatu, pełen wykresów i tablic. Nie mając nic lepszego do roboty, siadłem w fotelu i zacząłem czytać. Nad wstępem, na pierwszej stronie, figurowało motto po niemiecku.

*“Aus Angst und Not Das Heer war tot“.*

Eugen von Wahnzenstein Autor przedstawiał się jako biegły w najnowszej historii wojskowości. Historia ta - pisał - rozpościera się między dwoma aforystycznymi hasłami schyłku XX stulecia: *FIF* oraz *LOD*, oznaczającymi *FIRE AND FORGET* na początku, a na końcu *LET OTHERS DO*. Ojcem nowożytnego pacyfizmu był dobrobyt, a matką - strach. Ich skrzyżowanie urodziło trend obezłudnienia wojny. Coraz mniej ludzi chciało iść pod broń, a ten zanik bojowego ducha był wprost proporcjonalny do stopy życiowej. Młodzież bogatych państw miała szlachetną maksymę *dulce et decorum est pro patria mori* za reklamę morowej zarazy. Właśnie wtedy rozpoczął się spadek kosztów w przemyśle intelektualnym. Elementy obliczeniowe, zwane *CHIPS*, zostały zastąpione przez produkty inżynierii genetycznej, zwane *CORN*. Nazywano je zbożem, bo pochodziły z hodowli sztucznych mikrobów, głównie *SILICOBACTERIUM LOGICUM WIENERI* nazwanego tak na cześć twórcy cybernetyki. Garść tych elementów kosztowała tyle, co garść prosa. Tak więc sztuczna inteligencja taniała, natomiast nowe generacje broni drożały w postępie geometrycznym. Samolot pierwszej wojny światowej kosztował tyle co auto, drugiej - tyle, co dwadzieścia aut; pod koniec stulecia kosztował już 600 razy więcej. Obliczano, że za 70 lat supermocarstwo będzie stać na 18 do 22 samolotów. W taki sposób - z przecięcia krzywej spadku kosztów inteligencji i krzywej wzrostu kosztów broni - wynikł trend obezłudnienia wojsk. Armie

poczęły z siły żywej zmieniać się w siłę martwą. Było to wówczas, gdy świat przeżył dwa ciężkie kryzysy. Pierwszy, kiedy ropa naftowa gwałtownie zdrożała, a drugi, kiedy niedługo potem tak samo nagle potaniała. Klasyczne prawa ekonomii rynkowej przestawały działać, lecz mało kto zdawał sobie sprawę z wymowy tego zjawiska, jak i z tego, że postać umundurowanego żołnierza, idącego w hełmie do ataku na bagnety, oddala się już, aby stanąć obok zakutych w stal średniowiecznych rycerzy. Wskutek myślowej bezwładności techników przez pewien czas wciąż jeszcze wytwarzano broń wielkogabarytową: czołgi, działa, transportery i inne maszyny bojowe, przeznaczone dla ludzi i wielkie nawet wówczas, kiedy mogły już iść w bój samodzielnie - bezludne. Lecz ta faza pancernei gigantomanii załamała się wnet i przeszła w fazę pośpiesznej miniaturyzacji. Dotąd wszystkie składowe uzbrojenia były przystosowane do człowieka: przykrojone do jego anatomii, aby mógł nimi skutecznie zabijać oraz do jego fizjologii, ażeby mógł być skutecznie zabijany.

Jak to zwykle bywa w dziejach, nikt nie rozumiał tego, co nadchodzi. Odkrycia, które miały się złączyć w *DEHUMANIZATION TREND IN NEW WEAPON SYSTEMS*, powstawały bowiem w bardzo odległych od siebie strefach nauki. Intellektronika wytworzyła tanie jak trawa mikrokalkulatory, a neuroentomologia rozgryzła wreszcie zagadkę owadów, które, jak pszczoły, żyją społecznie, pracują dla wspólnych celów i porozumiewają się własnym językiem, chociaż mózg człowieka jest 380 000 razy większy od układu nerwowego pszczoły. Szeregowemu żołnierzowi wystarczy zupełnie zmyślność pszczoły, byle odpowiednio przekształcona. Skuteczność bojowa i rozum to różne *rzeczy*, przynajmniej na polu walki. Głównym czynnikiem nacisku, miniaturyzującego broń, była bomba atomowa. Konieczność miniaturyzacji wynikała z prostych i znanych faktów - lecz spoczywały poza granicami wiedzy wojskowej czasu. Gdy przed 70 milionami lat ogromny meteor spadł na Ziemię i ochłodził jej klimat na wieki, bo szczątkami zaćmił atmosferę, katastrofa ta wybiła do nogi wielkie jaszczury, dinozaury, mało co zaszkodziła owadom i nie tknęła nawet bakterii. Wymowa paleontologii była jednoznaczna: im większa jest działająca moc destrukcyjna, tym mniejsze układy potrafią się jej wymknąć. Bomba atomowa wymagała rozsyпки zarówno żołnierza, jak armii. Pomysł zmniejszenia żołnierza do mrówki nie mógł jednak poza fantazją znaleźć wyrazu w XX wieku. Toż człowieka ani nie rozproszysz, ani nie zredukujesz w wymiarach. Myślało się wtedy o żołnierzach-automatach, mając na uwadze człekokształtne roboty, choć już podówczas był to naiwny anachronizm. Wszak przemysł ulegał obezłudnieniu, lecz roboty, co zastępowały robotników przy taśmach produkcji aut, nie były człekokształtne. Stanowiły wybiórcze powiększenie fragmentów człowieka: jako mózg z olbrzymią stalową garścią, jako mózg z oczami i kułakiem, jako zmysły i ręce. Lecz pod

zagrożeniem atomowym nie można było przenieść na pola bitew wielkich robotów. Tak poczęły powstawać radioaktywne synsekty (syntetyczne insekty), ceramiczne skorupiaki, zmije i dżdżownice z tytanu, zdolne wkopać się w ziemię i wyleźć z niej po wybuchu atomowym. Latające synsekty były jakby stopieniem samolotu, lotnika i jego pocisków w jedną mikroskopijną całość. Zarazem operacyjną jednostką stawała się mikroarmia, przedstawiająca siłę bojową tylko jako całość, podobnie jak tylko cały rój pszczół jest samodzielną jednostką przeżywającą, natomiast pojedyncza pszczoła jest niczym. Powstawały więc mikroarmie wielu typów, oparte na dwu przeciwstawnych zasadach. Podług zasady samodzielności armia taka działała jak wojenny pochód mrówek, jak fala zarazków albo jak rój szerszeni. Podług zasady telotopizmu mikroarmia była jedynie olbrzymim lejącym czy pełną zbiorom elementom automontażu: podług taktycznej albo i strategicznej potrzeby zmierzała do celu w silnym rozproszeniu, aby dopiero u niego zewrzeć się w zaprogramowaną uprzednio całość. Było to tak, jakby urządzenia bojowe nie wychodziły z fabryk w ostatecznym kształcie, lecz jako pół- albo ćwierćprodukty, zdolne zewrzeć się w maszynę bojową tuż przed trafieniem w cel. Armie te zwano też samozwornymi. Najprostszym przykładem była autodispersyjna broń atomowa. Wystrzeloną raketę (ICBM) z głowicą nuklearną można wysledzić - z Kosmosu satelitarnym nadzorem i z Ziemi radarami. Lecz nie można wysledzić gigantycznych chmur mikrocząstek w silnej dyspersji, niosących uran czy pluton, które się w masę krytyczną zwierają u celu - czy będzie nim fabryka, czy nieprzyjacielskie miasto.

Przez pewien czas stare i nowe rodzaje broni współistniały: lecz masywny, ciężki sprzęt wojenny uległ ostatecznie i szybko atakom mikrobroni. Była przecież omalże niewidzialna. Jak zarazki wnikają chyłkiem do organizmu zwierzęcia, by zabić je od wewnątrz, tak martwe, sztuczne mikroby podług nadanych im tropizmów penetrowały lufy dział, komory nabojoye, silniki czołgów, samolotów, przeżerały metal lub docierając do ładunków prochowych, wysadzały je w powietrze. Cóż mógł począć najdzielniejszy, obwieszony granatami żołnierz, wobec mikroskopijnego, martwego przeciwnika? Mógł tyle samo co lekarz, który by chciał walczyć z bakteriami cholery młotem. Wśród chmar mikrobroni, samonawodzącej się na zaprogramowane cele, biotropicznej, jako iż zabijała wszystko co żywe, człowiek w mundurze był bezradny niczym rzymski legionista z tarczą i mieczem pod gradem kul.

Już w XX wieku taktyka walki w sztykach zwartych ustąpiła miejsca rozproszeniu wojsk, które poszły w wojnie ruchomej w dalszą rozsypkę. Lecz i wtedy jeszcze nadal istniały linie frontów. Teraz i one znikły. Mikroarmie z łatwością przenikały przez pasy obrony i

dostawały się na głębokie tyły nieprzyjaciela. Tymczasem wielkokalibrowa broń nuklearna okazywała się coraz jawniej bezsilna: jej użycie po prostu się nie opłacało. Efektywność zwalczania zarazy wirusowej termojądrowymi bombami musi być znikoma. Ponadto koszt pocisku nie może być znacznie większy od wartości niszczonego nim celu. Nie poluje się krążownikami na pijawki.

Najtrudniejszym zadaniem bezludnego etapu zmagania człowieka z sobą samym okazało się odróżnianie wroga od swojaka. Zadanie to, zwane już dawniej *FOF (Friend Or Foe)*, rozstrzygały niegdyś systemy elektroniki, pracujące podług reguły hasła i odzewu. Zapytany falami radiowymi, samolot czy pocisk sam, swym nadajnikiem, odpowiadał należycie lub był atakowany jako wrogi. Ta metoda dwudziestowieczna uległa anachronizacji. Nowi zbrojmistrzowie zapożyczali się w państwie życia, u roślin, bakterii i zwierząt. Rozpoznanie powtarzało sposoby żywych gatunków: ich immunologii, walki antygeny z przeciwciałem, tropizmów, ale także mimikry, barw ochronnych, kamuflażu i maskowania. Martwa mikrobroń nieraz udawała niewinne drobnoustroje czy nawet puszek roślin, ich pyłki, lecz pod tą powłoką kryła śmiertcionośną, erozyjną treść. Rosło też znaczenie starć informacyjnych - nie w rozumieniu propagandy, lecz wdzierania się w łączność nieprzyjacielską, aby ją porazić lub - tak przy nalotach nuklearnej szarańczy - zmusić do przedwczesnego zwarcia się w masę krytyczną i tym samym nie dopuścić do bronionego celu. Autor książki opisywał karalucha, który był prototypem pewnych mikrożołnierzy. Karaluch ten ma na odwłoku parę cieniutkich włosków. Gdy ugną się od drgania powietrza, karaluch rzuca się do ucieczki, gdyż czujniki te są krótko zwarte z jego tylnym zwojem nerwowym, odróżniającym niewinny powiew wiatru od drgnień wywołanych przez napastnika.

Zagłębiając się w lekturze, ze współczuciem myślałem o prawych miłośnikach munduru, sztandaru i odznaczeń bojowych za dzielność. Ta nowa era wojenna musiała być dla nich jedną hańbą, obrazą ich wzniosłych ideałów. Autor zwał przemianę “ewolucją postawioną do góry nogami” (*upside-down*), bo w przyrodzie na początku powstały ustroje mikroskopijne, które powoli przekształcały się w gatunki coraz większych, w militarnej ewolucji natomiast panował trend odwrotny - mikrominiaturyzacyjny, a jednocześnie wielki mózg ludzki zastępowały symulaty nerwowych gangliów owadzi. Mikroarmie powstawały dwufazowo. W pierwszej fazie projektantami i budowniczymi bezludnych broni byli jeszcze ludzie. W drugiej fazie martwe dywizje koncipowały, poddawały bojowym próbom i kierowały do masowej produkcji tak samo martwe systemy komputerowe. Ludzi usunęło najpierw z wojska, a potem z przemysłu zbrojeniowego zjawisko tak zwanej “socjointegracyjnej degeneracji”. Degeneracji uległ pojedynczy żołnierz: stawał się wszak coraz mniejszy i przez

to coraz prostszy. Na koniec miał tyle rozumu co mrówka lub termit. Lecz tym większą rolę przejmował socjalny zbiór mini-bojowników. Martwa armia była daleko bardziej złożona od ula czy mrowiska i pod tym względem odpowiadała raczej wielkim biotopom przyrody, czyli piramidom gatunków, trwającym w subtelnej równowadze konkurencji, antagonizmu i symbiozy. Łatwo pojąć, że sierżant czy kapral nie mieli już w tym wojsku nic do roboty. Wszak dla ogarnięcia całości, choćby tylko przy inspekcji wojsk, a nie przy dowodzeniu, nie wystarczał nawet rozum całego uniwersytetu. Toteż korpusy oficerskie, obok ubogich państw Trzeciego Świata, wyszły najgorzej na wielkich militarnych przewrotach XXI wieku. Bezwzględny napór trendu obezwładniającego armie zniszczył piękne tradycje manewrów, zmian warty, szermierki, paradnych mundurów, musztry i raportów. Przez jakiś czas, niezbyt długi niestety, dało się jeszcze zawarować dla ludzi wysokie szarże dowódcze, ze sztabowymi na czele, lecz niezbyt długo. Strategiczno-obliczeniowa wyższość skomputeryzowanych eszelonów dowodzenia poraziła na koniec bezrobociem najtęższych wodzów, włącznie z marszałkami. Dywan wstążek orderowych na piersi nie uchronił i najznamienitszych sztabowców przed wczesną rentą. Powstał wtedy opozycyjny ruch oporu zawodowych kadr oficerskich, które w desperacji bezrobocia - gdyż byli to oficerowie zawodowi - schodziły do terrorystycznego podziemia. Zaiste obmierzłą złośliwością dziejów było porażenie tych insurekcji - mikroszpiegami i mini-policją, zbudowaną na zasadzie wspomnianego karalucha, jako że jego bojowości nie porażał ani mrok, ani mgła, ani dowolne postaci mylącego kamuflażu, stosowane przez zrozpaczonych tradycjonalistów, wiernych ideom Achillesa i Clausewitza.

Co do państw biednych, mogły wojować już tylko po staremu, siłą żywą, a to znaczy - tylko z tak samo anachronicznie stojącym przeciwnikiem. Kto nie miał się za co zautomatyzować militarnie, musiał siedzieć cicho jak mysz pod miotłą.

Lecz i bogatym państwom nie żyło się teraz przyjemnie. Uprawiana po staremu gra polityczna uległa porażeniu. Już od dość dawna niewyraźna granica między wojną a pokojem zatarła się do reszty. Dwudziesty wiek zniszczył ceremonialną rytualizację wypowiedzania wojny, wprowadził pojęcia piątej kolumny, masowego sabotażu, wojny zimnej i wojny *per procura*, a był to tylko początek dalszego zacierania różnic. Przetargi na konferencjach rozbrojeniowych zmierzały nie tylko do porozumienia, do ustanowienia równowagi sił, ale i do wykrycia słabych oraz silnych stron przeciwnika. Świat z dwuczłonową alternatywą - wojny albo pokoju - przemienił się w świat wojny, co była pokojem i pokojem, który był wojną. W pierwszej fazie dominowała wielozakresowa dywersja pod maską oficjalnie głoszonego pokoju. Dywersja ta penetrowała ruchy polityczne, religijne i społeczne nawet tak znaczne i

niewinne jak ruch obrony środowiska życiowego przed skażeniami. Podgryzała kulturę, środki masowego przekazu, wyzyskiwała iluzje młodzieży i tradycyjne postawy starców. W drugiej fazie spotęgowała się dywersja kryptomilitarna, aż do niepoznaki równa działaniem wojnie, tyle że była to wojna nierozpoznawalna. Kwaśne deszcze, padające, gdy spalany a zasiarczony węgiel dymami obracał chmury w rozcieńczony kwas siarkowy, znał już wiek dwudziesty. Przyszły deszcze tak żrące, że niszczyły pokrycia dachów, fabryk, drogi, przewody elektryczne, a zarazem niepodobna było ustalić, czy są dziełem zatrutej przyrody, czy wroga, ślącego jadowite chmury należycie skierowanym wiatrem. Tak stawało się ze wszystkim. Masowo padały zwierzęta hodowlane - ale czy te epizootie były naturalne, czy intencjonalne? Sztorm, zatapiający wybrzeża - losowy, jak ongiś, czy od umiejętnego pchnięcia, nad oceanem, cyklonów? Posucha - zwykła, choć zgubna - czy też spowodowana tajnym przemieszczaniem powietrznych mas, brzemiennych deszczowymi chmurami? Klimatyczno-meteorologiczne kontrwywiady, szpiegostwo sejsmiczne, zwiadowcze służby epidemiologów, wreszcie - genetyków i nawet hydrografów miały pełne ręce roboty. Coraz większa część światowej nauki ulegała wessaniu w wojskowe służby różnicowego rozpoznania, a zarazem rezultaty badań śledczo-zwiadowczych stawały się coraz mniej klarowne. Wykrycie dywersantów było dziecinną zabawką, póki byli ludźmi. Gdy jednak przyszło posądzać o dywersję huragan, gradobicie, zarzę uprawnych roślin, wymieranie bydła, wzrost śmiertelności noworodków i zachorowalności na nowotwory, a wreszcie nawet upadki meteorów (myśl o nawodzeniu asteroidów na terytorium antagonisty powstała jeszcze w XX wieku) - życie stało się nie do zniesienia. I to nie tylko życie szarych ludzi, lecz mężów stanu, bezradnych, skołowanych, skoro nie mogli się niczego pewnego dowiedzieć od nie mniej skołowanych doradców. Do wykładów na akademiach wojskowych włączono wtedy takie nowe dyscypliny jak kryptoofensywne i kryptodefensywne strategie i taktyki, jak kryptologię re-kontrwywiadów (to jest mamienia i oszukiwania kontrwywiadów w następnej potędze), jak kryptografia, enigmatyka polowa, a wreszcie KRYPTOKRYPTYKA, która w tajny sposób przedstawiała tajne zastosowanie tajnych broni, nieodróżnialnych od niewinnych zjawisk przyrody.

Zatarły się fronty i rozgraniczenia wielkich i małych antagonizmów. Aby oczernić drugą stronę w opinii własnego społeczeństwa, specjalne służby produkowały falsyfikaty żywiołowych katastrof na swoim terytorium, o takich cechach, ażeby ich nienaturalność była w oczy. Dowiedziono, iż pewne bogate państwa, świadcząc pomoc uboższym, dodawały do sprzedawanych (dość tanio) zasobów zboża, kukurydzy czy kakao - jako domieszek - pewnych środków, osłabiających potencję seksualną. Była to więc tajna wojna natalistyczna.

Pokój stał się wojną, a wojna - pokojem. Choć katastrofalne skutki tego trendu w dalszym rozwoju były oczywiste - jako obustronne zwycięstwo równe obustronnej klęsce - politycy nadal robili swoje, dbając o przychylność wyborców, obiecując coraz mgliściej coraz korzystniejszy obrót rzeczy w niedalekiej przyszłości, coraz mniej zdolni wpływać na bieg realnego świata. Wojna była pokojem nie od totalitarnych knowań, jak to sobie kiedyś wystawiał Orwell, lecz od stanu technologii, zacierającej granice między naturalnym i sztucznym zjawiskiem każdej dziedziny, każdej części ludzkiego świata i jego otoczenia, nie inaczej bowiem działo się i w przestrzeni kosmicznej.

Tam, pisał autor *DEHUMANIZATION TREND IN WEAPON SYSTEMS OF THE TWENTY FIRST CENTURY*, gdzie nie ma różnic ani między białkiem naturalnym i sztucznym, ani między naturalną i sztuczną inteligencją, nieszczęść, które mają rozmyślnych sprawców, nie można odróżnić od nie zawinionych przez nikogo. Jak światło wciągnięte siłami ciężenia, wpadłszy w głąb Czarnej Gwiazdnej Dziury, nie może się już wydostać z grawitacyjnej pułapki, tak ludzkość, wciągana siłami antagonizmów w głąb tajemnic materii, wpadła w pułapkę technologiczną. O inwestowaniu wszystkich sił w nowe przebrojenie nie decydowały już rządy, mężowie stanu, zamierzenia sztabów generalnych, interesy monopoli czy innych grup nacisku, lecz - coraz potężniej - lęk, że na odkrycia i techniki, dające przewagę, natrafi, jako pierwsza, Druga Strona. Sparaliżowało to ostatecznie tradycyjną politykę. Negocjatorzy nie mogli już niczego wynegocjować, ponieważ ich dobra wola - odstąpienia od Nowej Broni - oznaczała, dla drugiej strony, że widać mają już w zanadru broń jeszcze nowszą. Trafiłem na matematyczny wzór teorii konfliktów, który pokazywał, czemu dalsze konferencje rozbrojeniowe nie mogły dać żadnego efektu. Na takich konferencjach zapadają określone decyzje. Otóż kiedy czas podejmowania decyzji jest dłuższy aniżeli czas powstawania takich innowacji, które zmieniają radykalnie stan podległy decydowaniu, decyzja staje się anachronizmem przy jej podjęciu. W każdym "dziś" przychodzi decydować o tym, co było wczoraj. Decydowanie przesuwa się z terażniejszości w przeszłość i tym samym staje się grą pustych pozorów. To właśnie wymusiło na mocarstwach porozumienie genewskie jako Księżycowy Exodus Zbrojeń. Świat odetchnął i wydobrał nie na długo, bo strach powrócił - teraz jako widmo bezludnej inwazji Księżycy skierowanej na Ziemię. Toteż nie było pilniejszego zadania nad postawienie diagnozy zagadce Księżycy.

Tymi słowami zamykał się rozdział. Do końca książki pozostało jeszcze kilkanaście kartek, ale nie mogłem ich otworzyć. Były jak gdyby sklezione. Pomyślałem zrazu, że zwarły się od kropli introligatorskiego kleju. Próbowałem odlepić następną stronę tak i owak,

wreszcie wziąłem do pomocy nóż i ostrożnie wsunąłem go między zlepione stronicę. Pierwsza zdawała się nie zadrukowana, ale tam, gdzie dotknęło jej ostrze noża, wystąpiły litery. Potarłem papier nożem i wywołałem tym na papierze napis: "Czy jesteś gotów wziąć na siebie to brzemień? Jeśli nie, włóż na powrót książkę do skrzynki! Jeśli tak, otwórz następną stronę!" Rozciąłem ją. - Była czysta. Przesunąłem po niej z góry na dół klingą noża. Ukazało się osiem cyfr, zgrupowanych po dwie, przedzielonych kreseczkami, jak numer telefonu. Rozdzieliłem dalsze kartki, ale nie było na nich nic. Szczególny sposób werbowania Zbawców Świata! - pomyślałem. Zarazem rysowało mi się już mgliście w głowie to, czego mogłem oczekiwać. Zamknąłem książkę, ale otwarła się sama na stronie z wyraźnie wydrukowanymi cyframi. Nie pozostawało nic innego, jak wziąć słuchawkę i nakręcić numer

### III. W UKRYCIU

Było to prywatne sanatorium dla milionerów. Skądinąd nie słyszy się o pomyłonych milionerach. Zwariować może gwiazda filmowa, mąż stanu, nawet król, ale nie milioner. Tak można sądzić czytając wielkonakładowe gazety, które wiadomości o upadkach rządów i rewolucjach podają małym drukiem w środku, a na pierwszą stronę wałą wiadomości o duchowym samopoczuciu dokładnie rozebranych dziewcząt z dużymi piersiami i o wężu, który wlaź cyrkowemu słoniowi do trąby, przez co ów słoń wpadł do supermarketu i rozdeptał trzy tysiące puszek zupy pomidorowej Campbella razem z kasą i kasjerką. Dla takich gazet zwariowany milioner byłby szlagierem. Milionerzy nie życzą sobie jednak rozgłosu, ani kiedy są jako tako normalni, ani kiedy wariują. Porządny obłęd może nawet dopomóc gwiazdzie filmowej w karierze, ale nie milionerowi. Gwiazda filmowa nie przez to jest sławna, że świetnie gra w licznych filmach. Tak może było dawno temu. Gwiazda może grać jak noga, może mieć chrypkę z przepicia, bo zdublują jej głos, może po dokładnym myciu okazać się cała piegowata i niepodobna do siebie z afiszów i filmów, ale musi mieć “coś” i ma “coś”, jeżeli wciąż się rozwodzi, ma roadster obklejony gronostajami, bierze 25.000 dolarów za gołe zdjęcie w “Playboyu”, miała romans z czterema kwakrami naraz, a gdyby popadłszy w nimfomanię uwiodła syjamskie bliźnięta w starszym wieku, może liczyć na murowane kontrakty co najmniej przez rok. Także polityk winien być dziś znany głównie z tego, że ma głos Carusa, gra w polo jak szatan, uśmiecha się jak Ramon Novarro i kocha przez telewizję wszystkich wyborców. Natomiast milionerom mogłoby to tylko zaszkodzić, podcinając kredyt, a co gorsza budząc panikę na giełdzie. Milioner musi być zawsze daleki, spokojny i obliczalny. Jeżeli nie jest, musi się razem ze swą nieobliczalnością należycie schować. Ponieważ jednak obecnie przed prasą schować się jest nadzwyczaj trudno, sanatoria milionerów są niewidzialnymi twierdzami. Niewidzialnymi, to znaczy ich niedostępność jest zamaskowana i nie rzuca się z zewnątrz w oczy. Żadnych umundurowanych strażników, spienionych psów na łańcuchu, drutu kolczastego, bo to właśnie podnieca, a nawet rozjusza dziennikarzy. Takie sanatorium powinno wyglądać raczej nieciekawie. Przed wszystkim nie śmie się nazywać sanatorium dla umysłowo chorych. To, do którego się dostałem, było azylem dla przepracowanych wrzodowców i sercowców. Jakże więc poznałem na pierwszy rzut oka, że to tylko fasada, za którą kryje się obłęd? Wszystkiego chcielibyście się naraz dowiedzieć. Nie mogliśmy dostać się do środka, dopóki nie przyszedł po nas doktor Hous, zaufany Tarantogi. Poprosił, żebym przespacerował się trochę po parku, kiedy będzie

rozmawiał z Tarantogą. Pomyślałem więc, że ma mnie za pomyłonego. Widać profesor nie zdażył go poinformować jak należy, zresztą całkiem rozsądnie, boż chcieliśmy opuścić Australię szybko i bez hałasu. Hous zostawił mnie samego pośród klombów, fontann i żywopłotów, naszym bagażem zajęły się dwie przystojne dziewczyny w eleganckich kostiumach wcale nie wyglądające na pielęgniarki i to też dało mi do myślenia, a reszty dokonał brzuchaty starzec w pizamie, który widząc mnie, posunął się, żeby zrobić miejsce na kanapowej huśtawce. Odplacając grzecznością za grzeczność przysiadłem się do niego. Jakaś dobrą chwilę huściliśmy się milcząc, po czym spytał, czy mógłbym oddać na niego mocz. Wyraził to zresztą dosadniej. Byłem tak zaskoczony, że zamiast odmówić, spytałem, po co. To bardzo go poruszyło. Zlaził z wyściełanej huśtawki i odszedł, utykając na lewą nogę, mówiąc głośno do siebie, zdaje się, że o mnie, ale wolałem się w to nie wsłuchiwać. Rozglądałem się po parku, co jakiś czas patrząc odruchowo na lewą rękę i nogę, trochę tak jak się patrzy na otrzymanego niedawno w podarunku rasowego psa, który zdażył już przelotnie pogryźć parę osób. To, że zachowywały się biernie, huścane wraz ze mną, wcale mnie nie uspokajało i wspominając ostatnie przejścia myślałem zarazem, że tuż obok tego mojego myślenia czai się, wewnątrz głowy, inne myślenie, też niby moje, lecz całkiem niedostępne, i że to nie jest lepsze od schizofrenii, bo z niej leczą, ani od choroby świętego Wita, bo taki chory wie, że najwyżej ewentualnie zatańczy, ja natomiast byłem dożywotnio skazany na wybryki we własnym jestestwie. Pacjenci spacerowali alejami, za niektórymi poruszał się w pewnej odległości cichobieżny wózek podobny do golfowego, pewno na wypadek, gdyby spacerowicz się zmęczył. Zeskoczyłem wreszcie z huśtawki, żeby zobaczyć, czy doktor Hous skończył już naradę z Tarantogą i poznałem tak Gramera. Niósł go na barana dobrze już starszawy posługacz, zlany potem i siny na twarzy, bo Gramer ważył koło cetnara. Zrobiło mi się żal tego człowieka, ale nic nie powiedziałem, ustąpiłem jedynie z drogi, uznawszy, że w moim obecnym położeniu lepiej w nic się nie wtrącać. Na mój widok Gramer zlaził jednak z pielęgniarsza i pierwszy mi się przedstawił. Widać zaciekawiała go nowa twarz. Znalazłem się w kropce, bo nie pamiętałem, pod jakim nazwiskiem mam występować w sanatoryjnej kartotece, chociaż ustaliłem to z Tarantogą. Pamiętałem tylko imię - Jonatan. Gramerowi spodobała się kordialność - obcy facet wymienia tylko swoje imię - i poprosił, żebym nazywał go Adelajdą.

Zebrało mu się na rozmowność. Nudził się potwornie, odkąd zaczęła mu przechodzić depresja. Dopóki w niej żył, nie mógł się nudzić ze zmartwienia. Depresja ta, jak mi tłumaczył, poszła stąd, że nigdy nie mógł usnąć, jeżeli przedtem leżąc w łóżku trochę sobie nie pomarzył. Na początku marzył, żeby akcje, które kupił, poszły w górę, a te, które

sprzedał, zleciały na pysk. Potem marzył, żeby mieć milion. Mając milion, roił sobie dwa, potem trzy, ale od pięciu przestało to być pociągające jako marzenie. Musiał szukać nowych obiektów dla wyobraźni. Było to, rzekł ponuro, coraz trudniejsze. Nie można przecież marzyć o tym, co się ma albo co można zaraz mieć. Przez pewien czas marzył o tym, że pozbędzie się trzeciej żony, nie dając jej grosza alimentów, ale to się udało. Hous wciąż się nie pojawiał, a Gramer przyczepił się do mnie na dobre. Przez jakiś czas zajmował się dla zaśnięcia osobami, z którymi miał na pieńku.

Był to jednak błąd. Najpierw, rozpalając w sobie od tych rojeń nienawiść, przestawał być senny, musiał brać proszki, co lekarze odradzali mu ze względu na powiększoną wątrobę, i nie widział innego sposobu pozbycia się takiego marzenia, jak pozbyć się jego przedmiotu. Zapewniał mnie, że powyżej stu tysięcy dolarów jest to fraszka. Nie przez angażowanie jakiegś tam Murder Incorporated, broń Boże. To są głupstwa wymyślane do filmów. Wynajął eksperta, który zrobił to bardzo sprawnie. Jak? Ano w każdym przypadku inaczej. *Zabić* nie sztuka. Nieboszczyka nigdzie nie ma i co mu zrobisz? W fizycznych mękach też nie widział dla siebie satysfakcji. Wrogów, zawistników i złośliwych konkurentów należy rujnować, okazując im współczucie, ale nic więcej. Jest to rodzaj strategicznej obławy. Bardzo efektowne i efektywne. Mając intelektualne zacięcie, z którym musiał się ukrywać przed współmilionerami, czytał książki, nawet de Sade'a. Był to nieszczęsny osioł! Marzył o tych wbijaniach na pał, oskórowaniach i ewentracjach, a siedział w ciupie i nic prócz much nie miał do dyspozycji. Biednemu dobrze! Wszystko go kusi i wszystko mu się podoba. Każda piękna kobieta jest dlań niedostępna. Dlatego, rzecz jasna, tak prosperuje przemysł porno. Nadymane kochanki z buzią w szeroki ciup, barwnie ilustrowane opisy orgii, kopulatorynki, pasty, maście, wszystko to przecież surogaty i zawracanie głowy. Nic tak nie męczy jak orgia, nawet najsprawniej zaaranżowana. Nie ma o czym gadać i nie ma o czym marzyć. Ach, mieć nieziszczalną tęsknotę! Od wysłuchiwania tych wyznań musiałem mieć zafrapowany wyraz twarzy, Adelajda pokiwał jednak tylko głową i powiedział, że bezwiednie podciął sobie gałąź, na której siedział, zaspokoivszy chęć odegrania się na kim chciał. Nie mając już o czym marzyć, cierpiał na chroniczną bezsenność. Wynajął sobie wtedy specjalistę od wymyślania nowych marzeń. Bodajże jakiegoś literata czy poetę. Owszem, podsunął mu kilka niezgorszych tematów, ale marzenie, jeśli solidne, domaga się spełnienia, a po nim znika, więc potrzebne były prawie że nieziszczalne. Wtrąciłem, że to chyba nie jest znów tak trudne do wymyślenia. Przesunąć kontynent. Rozpiłować Księżyc na cztery równe ćwiartki. Zjeść nogę prezydenta Stanów w tym sosie, w którym podają kaczkę w chińskich restauracjach (rozpędałem się, w poczuciu, że mówię do wariata). Życ płciowo z robaczkiem

świętojańskim w momentach, kiedy świeci najjaśniej. Chodzić po wodzie albo, szerzej, robić cuda. Zostać świętym pańskim. Zamienić się miejscem z Panem Bogiem. Przekupić terrorystów, żeby dali spokój różnym tam ministrom, ambasadorom i innym kapitalistom i wzięli się do tych, którym rzeczywiście należą się wciery. Włącznie z ostatnim namaszczeniem. Adelajda patrzył już na mnie z sympatią, przechodzącą w podziw.

- Szkoda - westchnął - zem cię nie poznał wcześniej, Jonatanie. Coś jest w tym, co mówisz, ale nie całkiem. Do tych kontynentów, księżyców, cudów nie można mieć osobistego stosunku. Prawdziwy marzyciel angażuje się uczuciowo, bez tego nic. Robaczek też nie podnieca. Przynajmniej mnie. Dobre marzenie nie przechodzi ani w bezsilną złość, ani wzmożoną jurność, lecz tak jakoś tęczyje, wiesz, trochę jest, trochę już go nie ma i wtedy się zasypia. Za dnia, na jawie, nie miałem na to nigdy czasu. Ten mój literacina głosił, że ilość dostępnych marzeń jest odwrotnie proporcjonalna do ilości posiadanych środków płatniczych. Kto ma wszystko, nie jest już w stanie marzyć o niczym. Zamienić się z Panem Bogiem? Uchowaj Boże! Ale ciebie to bym jednak zaangażował. - Na ogromnym liściu niskiego, bezkolczastego kaktusa spoczywał spory ślimak. Wyglądał dość obrzydliwie i pewno dlatego Adelajda skinał na pielęgniarza.

- Zjedz to - rzekł, wskazując palcem. Jednocześnie wyjął z piżamowej kieszeni książeczkę czekową i długopis.

- Za ile on to robi? - zainteresowałem się. Pielęgniarz milcząc wyciągnął rękę po ślimaka, ale powstrzymałem go.

- Dostaniesz tysiąc dolarów więcej niż od pana Gramera, jeżeli tego NIE zjesz - oświadczyłem, wyciągając z kieszeni notes. Był oprawny w taki sam zielony plastik, jak książeczka czekowa Adelajdy.

Pielęgniarz znieruchomiał. Na twarzy milionera odmalowało się wahanie, dość dla mnie ryzykowne, bo nie wiedziałem, czy dojdzie do licytacji. Moje aktualne zasoby nie sięgały na pewno taryfy, ustalonej przez Gramera w związku ze ślimakami. Musiałem więc przebić sytuację atutem.

- Za ile PAN to zje, Adelajdo? - spytałem, otwierając notes, jakbym zamierzał wypisać czek. To go zachwyciło. Posługacz ze ślimakiem przestali dlań istnieć.

- Dam ci czek in blanco, jeżeli go połkniesz bez gryzienia i opowiesz mi, jak ci się rusza w brzuchu - rzekł głosem ochryłym nieco z ekscytacji.

- Jestem już niestety po śniadaniu, a nie mam zwyczaju jeść między posiłkami - odparłem z uśmiechem. - A poza tym, Adelajdo, musisz mieć zablokowane konta. Ubezważnowolnienie plus kuratela i tak dalej. Nieprawdaż?

- Nie, nie, mylisz się! Manhattan Chase honoruje każdy mój czek.

- Możliwe, ale nie jestem przy apetycie. Wróćmy lepiej do marzeń. - Rozmowa tak mnie zaabsorbowała, że zapomniałem ze wszystkim o mej lewej stronie, aż dała znać o sobie. Oddaliliśmy się już od krytycznego ślimaka, kiedy podstawiłem milionerowi nogę i dopomogłem, uderzywszy go w kark tak, że upadł jak długi na murawę. Opowiadam to w pierwszej osobie, choć uczyniły to moje lewe kończyny. Przyszło szybko ratować twarz.

- Wybacz - rzekłem starając się nadać słowom ton wylewnej serdeczności - ale TO było moje marzenie. - Pomogłem mu wstać. Był nie tyle urażony, ile ogłupiały. Widać nikt go tak nie traktował ani tu, ani za murami sanatorium.

- Pomysłowy z ciebie chłop - powiedział, otrzepując się z okruszyn ziemi - ale nie rób tego więcej, bo może mi dysk wyskoczyć, a poza tym ja też mogę zacząć o tobie marzyć - tu zaśmiał się brzydsko. - Co ci właściwie jest?

- Nic.

- Jasne, ale dlaczego tu jesteś?

- Żeby trochę wypocząć.

Dostrzegłem w głębi cienistej alei doktora Housa, który podniósł na mój widok rękę, skinął przyzywająco, odwrócił się i poszedł w stronę pawilonu.

- Czas na mnie, Adelajdo - powiedziałem, klepiąc go po plecach. - Pomarzymy sobie następnym razem.

Od otwartych drzwi wiało miłym chłodem. Klimatyzacja była bezszmerowa, ściany bladozielone, cisza jak we wnętrzu piramidy, bo kroki głużyła dywanowa wyściółka biała jak futro polarnego niedźwiedzia. Hous czekał na mnie w swoim gabinecie. Był tam i Tarantoga. Zdawał się zaaferowany. Na kolanach miał teczkę wypchaną papierami, wyjmował je, wkładał, a tymczasem Hous wskazał mi fotel. Usiadłem z uczuciem dość niemiłego powrotu do spraw, których nie mogę pozbyć się inaczej, jak pozbywszy się samego siebie.

Hous wziął się za biurkiem do czytania gazety. Tarantoga odnalazł wreszcie szukane papiery.

- A więc to tak wygląda, mój Ijonie... Byłem u dwóch prawników, z pierwszorzędą renomą, żeby ustalić twoją sytuację pod względem prawnym. Ewentualnego mandanta oczywiście nie nazwałem. Nie mówiłem też nic o twojej misji, przerobiłem historię tak, żeby zostało tylko sedno sprawy. Jest ktoś, kto miał dostęp do pewnych spraw wysokiej tajności i zapoznawszy się z nimi, winien był złożyć organowi rządowemu sprawozdanie. Między pierwszym a drugim poddano go kaliotomii. Część tego, co poznał i miał przekazać, zapomniał, bo zapewne tkwi to w prawej półkuli jego mózgu. Do czego jest zobowiązany

wobec mocodawców? Jak daleko mogą się legalnie posunąć, by uzyskać te wiadomości? Obaj orzekli, że sprawa jest trudna, stanowi bowiem precedens. Jeśli miałby ją rozstrzygnąć sąd, powoła biegłych i może, ale nie musi, pójść za ich opinią. W każdym razie bez orzeczenia sądowego nie musisz się poddać żadnym badaniom czy doświadczeniom, gdyby owa instytucja tego żądała.

Doktor Hous podniósł głowę znad gazety.

- To osobliwie zabawna historia - powiedział wyciągając z szuflady torebkę pierników, które wysypał na talerzyk i przysunął do mnie. - Ja wiem, panie Tichy, że dla pana nie ma w tym nic zabawnego, ale zabawny jest każdy paradoks typu *circulus vitiosus*. Czy pan wie, co to jest lateralizacja?

- Owszem - odparłem, patrząc z niechęcią na moją lewą rękę, sięgającą po pierniki, choć nie miałem na nie najmniejszej ochoty. Nie chcąc jednak robić z siebie błazna, ugryzłem piernik. - Dość się o tym naczytałem. U przeciętnego człowieka dominująca jest lewa półkula mózgu, bo zawiaduje mową. Prawa jest na ogół niema, chociaż rozumie jako tako proste zdania, a niekiedy potrafi też trochę czytać, ale jedno i drugie zachodzi w różnym stopniu. Jeżeli lewa lateralizacja nie jest silnie wyrażona, prawa półkula może mieć odpowiednio więcej samodzielności, także i w używaniu języka. Bardzo rzadko zdarza się, że lateralizacji prawie nie ma i wtedy ośrodki mowy znajdują się w obu półkulach, co może powodować jąkanie albo inne zakłócenia...

- Bardzo dobrze - Hous uśmiechał się do mnie życzliwie.

- Z tego, czego się dowiedziałem, wnoszę, że pański lewy mózg - bo my i tak czasem mówimy - wyraźnie dominuje, ale prawy jest nadprzeciętnie aktywny. Całkiem pewny tego nie jestem, wymagałoby to dłuższych badań.

- I gdzie tu paradoks? - spytałem, starając się możliwie nieznacznie odtrącić lewą rękę, bo znów pchała mi się do ust z piernikiem.

- To, czy indagacja pańskiego prawego mózgu może dać realną korzyść, zależy od tego, jak znaczna jest prawostronna lateralizacja. Żeby się dowiedzieć, czy taka indagacja jest w ogóle warta fatygi, trzeba pierwszej ustalić wielkość lateralizacji, czyli zbadać pana, a żeby pana zbadać, trzeba mieć na to pierwszej zgodę pana. Znaczy to, że biegli, których powoła sąd, nie będą mogli powiedzieć nic więcej, niż ja teraz powiedziałem: że ich orzeczenie będzie zależało od rozmiarów lateralizacji u Ijona Tichego, której bez badania określić nie można. Należałoby więc pana zbadać po to, żeby orzec, czy trzeba pana zbadać. Rozumie pan?

- Rozumiem. I co pan mi radzi, doktorze?

- Nie mogę nic panu radzić, bo jestem w tym samym położeniu co ci biegli razem z

sądem. Nikt na świecie, włącznie z panem, nie wie, co zawiera pański prawy mózg. Ten pomysł, na który pan wpadł, żeby użyć języka głuchoniemych, próbowano już stosować, ale bez istotnych wyników, bo prawa lateralizacja była w tych przypadkach za słaba.

- Naprawdę nic nie może mi pan więcej powiedzieć?

- Mogę. Jeśli pan chce uniknąć kłopotów, proszę nosić lewą rękę na temblaku, a jeszcze lepiej w gipsie. Ona zdradza pana.

- Jak pan to rozumie?

Hous milcząc wskazał talerzyk z piernikami.

- Prawy mózg na ogół woli bardziej słodczye od lewego. Wynika to z materiałów statystycznych. Chciałem panu zademonstrować prosty sposób, jakim ktoś mógłby się posłużyć, żeby pi razy oko ustalić pańską lateralizację. Jako praworęczny powinien był pan sięgnąć po pierniki prawą ręką - albo żadną.

- Jak długo i po co mam chodzić z ręką w gipsie? Co mi to da? - Hous wzruszył nieznacznie ramionami.

- Dobrze. Powiem panu to, czego właściwie nie powinienem mówić. Słyszał pan na pewno o piraniach?

- Tak. To takie małe, bardzo krwiożercze ryby.

- Właśnie. Nie atakują na ogół człowieka w wodzie, ale jeśli ma najmniejsze zadraśnięcie, dość jednej kropli krwi, żeby się na niego wszystkie rzuciły. Językowa sprawność prawego mózgu nie jest większa niż u trzyletniego dziecka, a i to dość rzadko. U pana jest znaczna. Jeżeli się to rozniesie, może mieć pan poważne kłopoty

- A może on powinien po prostu pójść do Lunar Agency? - wtrącił Tarantoga. - Oddać się w ich opiekę? Przecież należy mu się coś od nich, skoro nadstawiał dla nich karku...?

- To może i nie jest najgorsze rozwiązanie, ale dobre też nie. Dobrego nie ma.

- Dlaczego? - spytałem prawie jednym głosem z Tarantoga.

- Bo im więcej wydobędą z prawego mózgu, tym większy poczują apetyt, żeby wyciągnąć jeszcze więcej, a to może oznaczać - nazwijmy tak grzecznie - długotrwałe odosobnienie.

- Miesiąc, dwa?

- Albo rok i więcej. Prawy mózg komunikuje się w normie ze światem głównie poprzez lewy, mową i pismem. Nie było dotąd przypadku, żeby prawy dało się nauczyć, i to biegle, języka. W tym przypadku stawka jest tak wysoka, że włożą w tę naukę więcej starań niż wszyscy specjaliści dotąd.

- Coś trzeba jednak począć - mruknął Tarantoga. Hous wstał.

- Zapewne, ale niekoniecznie dziś, tu i teraz. Na razie nie ma pośpiechu. Pan Tichy może u mnie przebywać i parę miesięcy, jeśli zechce. Być może przez ten czas coś się wyklaruje.

Poniewczasie spostrzegłem się, że doktor Hous miał niestety rację.

Uznawszy, że nikt nie pomoże mi lepiej ode mnie samego, spisałem wszystko, co zaszło dotąd, nagrałem to na dyktafonie, notatki spaliłem, a teraz zakopię dyktafon razem z kasetami w hermetycznym słoju pod kaktusem, na którym spotkałem ślimaka. Słowa te wypowiadam do dyktafonu, żeby wykorzystać ostatek taśmy. Zdaje mi się, że wyrażenie “spotkałem ślimaka” nie jest szczęśliwe, choć nie wiem czemu. Krowę można przecież spotkać, małpę, słonia, a ślimaka nie bardzo. Czyżby chodziło o to, że wolno uznać za spotkaną tylko istotę, która może mnie zauważyć? Chyba nie. Nie wiem, czy ślimak mnie zauważył, chociaż różki miał wyciągnięte. Czy to kwestia wielkości? Nikt nie powie “spotkałem pchłę”. A przecież można spotkać bardzo małe dziecko. Nie wiem, czemu koniec taśmy marnuję na takie głupstwa. Zaraz zakopię słoje, a dalsze notatki będę robił używając klucza, który wymyśliłem. Nie będę mówił o mej prawej półkuli mózgu inaczej jak “Ona”, lub też po prostu nazwę ją “IJA”. To nie jest chyba złe, wszak IJA to tyle co I JA, JA i JA, choć może to okaże się niezbyt przejrzyste. Ponieważ jednak taśma się kończy, sięgam po łopatę.

*8 lipca.* Okropny skwar. Wszyscy chodzą w piżamach albo majtkach kąpielowych. Ja też. Poznałem przez Gramera dwu innych milionerów, Strumana i Padderhorna. Obaj melancholicy. Struman ma koło sześćdziesiątki, obwisłą twarz, duży brzuch, krzywe nogi i mówi szeptem. Robi to takie wrażenie, jakby zamierzał wyjawić Bóg wie jaki sekret. Twierdzi, że beznadziejnie go leczą. Ostatnio jego depresja pogłębiła się przez to, że zapomniał, dlaczego tak strasznie się martwi. Ma trzy córki. Wszystkie zameżne, uprawiają swinging, różni faceci robią wtedy zdjęcia, które on musiał wykupywać za ciężkie pieniądze, żeby nie opublikowali ich w Hustlerze. Chcąc mu pomóc sugerowałem, że może to jest przyczyną jego zmartwienia, ale powiedział, że nie, bo już się przyzwyczaił. Zresztą jest ubezwłasnowolniony i żeby one uprawiały swinging w zoologu, martwić się będą kuratorzy, a nie on. Po co to spisuję, nie wiem. Goły milioner to okropnie nieciekawa postać. Padderhorn nic nie mówi. Podobno zrobił fuzję z jakimś Japończykiem i źle na tym wyszedł. Deprymujące towarzystwo. Jednak Gagerstine jest chyba jeszcze gorszy. Śmieje się do siebie i ślini się. Ponoć ekshibicjonista. Muszę się trzymać z dala od tych obrzydliwców. Doktor Hous powiedział mi, że jutro przyjedzie osoba, której mogę ufać jak jemu samemu. Będzie

niby młodym lekarzem na praktyce, ale naprawdę to etnolog i chce pisać pracę o milionerach z zakresu tak zwanej dynamiki małych grup, lub coś podobnego.

9 lipca. Po wyjeździe Tarantogi zostałem sam z Housem, jego asystentem i milionerami, włączającymi się po parku. Hous powiedział mi w cztery oczy, że woli nie ustalać dalszymi badaniami rozmiarów mojej prawej lateralizacji, bo tego, czego nikt nie wie, nikt nie może ukraść. Asystent jest rzeczywiście młodym etnologiem. Zdradził mi to pod przysięgą, dowiedziawszy się, że nie należę do bogaczy. Uprawiał studia polowe. Chce napisać pracę o obyczajach i mentalności milionerów tak, jak się bada wierzenia pierwotnych plemion. Hous wie, że młodzieniec nie ma nic wspólnego z medycyną i bodaj dlatego go przygarnął. Z etnologiem toczyłem wieczorami długie rozmowy w mniejszym laboratorium przy flaszcze Teachers Whisky. Za kieliszki służyły nam próbówki. Poza Adelajdą poznałem paru innych krezusów. Nigdy dotąd nie miałem tak nudnego towarzystwa. Etnolog zgadzał się ze mną. Gnębiło go to, bo zaczynał przypuszczać, że zebranych materiałów nie starczy na tę jego pracę.

- Wie pan co - powiedziałem raz, chcąc mu dopomóc - machnij pan traktat komparatystyczny: Bogacze dawniej a dziś. Mecenat państwowy czy fundacyjny to przecież rzecz bardzo niedawna. Już w starożytnym Rzymie był prywatny mecenas. Opiekun sztuk, Muzy i tak dalej. Także potem różni bogacze i książęta fundowali artystom, rzeźbiarzom, malarzom niezłe życie. Widać interesowali się tym, chociaż nie mieli żadnych studiów. Ci natomiast - wskazałem za siebie kciukiem przez okno w ciemny park, bo zapadła noc - nie interesują się niczym poza cedułami. Nie ustroję się w fałszywe piórka, jeśli powiem, że jestem dość znany. Moim podróżniczym książkom zawdzięczałem masy listów, ale pośród milionów czytelników nie znalazł się ani jeden milioner. Dlaczego? Najwięcej jest ich podobno u was w Teksasie. Tu jest takich trzech. Nudni są nawet jako wariaci. Skąd się to bierze? Latyfundia nie ogłupiały. Co ich ogłupia? Giełda? Kapitał? W jaki sposób?

- Nie, to coś innego. Tamci bywali dajmy na to wierzący. Chcieli się zasłużyć Panu Bogu. Umartwiać im się nie chciało. Co innego - wybudować katedrę, opłacić malarzy, niech machną *Ostatnią Wieczerzę*, *Mojżesza*, coś dużego z kopułą, która zakasuje wszystkie inne. Widzieli w tym swój interes, panie Tichy, tyle że widzieli go tam - wskazał sufit, a więc niebo.

- Skoro już jedni to robili, inni szli za ich przykładem. To było w dobrym tonie. Książę, doża, magnat miał koło siebie ogrodników, stangretów, pisarczyków, malarzy. Ludwik XV miał Bouchera, żeby mu portretował gołe damy. Boucher to trzecia klasa, owszem, ale coś po nim zostało, i po tych innych artystach też, a po tamtych stangretach i ogrodnikach nic.

- Po ogrodnikach został Wersal.

- Ano widzi pan. Co mogło zostać po stangrecie oprócz biczyska? Nie znali się na tym, proszę pana, tylko widzieli w tym swój interes. Teraz, w epoce specjalizacji, nie mieliby z tego nic... co panu jest? Serce pana boli?

- Nie. Zdaje się, że zostałem okradziony. Rzeczywiście trzymałem się za serce, bo wewnętrzna kieszeń mej kurtki była pusta.

- To niemożliwe. Tu nie ma kleptomatów. Pewnie zostawił pan portfel w pokoju.

- Nie. Kiedy tu wszedłem, był jeszcze w kieszeni. Wiem, bo chciałem panu pokazać moje zdjęcie z brodą. Sięgnąłem nawet po portfel, ale go nie wyjąłem.

- Nie może być. Przecież jesteśmy tu sami, a ja nawet nie zbliżyłem się do pana... Coś mi zaczęło świtać.

- Niech mi pan powie dokładnie po kolei, co robiłem, odkąd przyszliśmy tutaj.

- Pan od razu usiadł, a ja wyjąłem flaszkę z szafki. O czym mówiliśmy wtedy? O tym Gramerze. Pan opowiedział o tym ślimaku, ale nie widziałem, co pan robi, bo szukałem czystych próbek. Kiedy się odwróciłem, pan siedział... nie, pan stał. Obok tachistoskopu. Tutaj. Zaglądał pan do środka, ja podałem panu whisky... Tak. Wypiliśmy, i pan wrócił na swoje miejsce.

Wstałem i obejrzałem aparaturę. Z jednej strony krzesło przed pulpitem, czarna ścianka z okularami, za nią boczne lampy, ekran i płaska skrzynka projektora. Poszukałem kontaktu. Pusty ekran zajaśniał. Zajrzałem za przegrodę, wewnątrz było pokryte oksydowanymi czarno płytami. Między czołową ścianką a czarnym blatem ziała szczelina nie szersza od listownika. Usiłowałem wetknąć w nią rękę, ale była zbyt wąska.

- Są tu jakieś szczytce? - spytałem. - Możliwie długie i płaskie...

- Nie wiem. Chyba nie. Prawda, jest sonda. Dać panu?

- Proszę.

Była metalowa, giętka, można ją było wyginać w rozmaity sposób. Zgiąłem ją w rodzaj haka, zapuściłem go w tę szczelinę i wymacałem dość miękki opór. Po kilku nieudanych próbach wynurzył się czarny skórzany rożek. Potrzebowałem drugiej ręki, żeby go chwycić, ale opierała się. Zawołałem studenta. Pomógł mi. To był mój portfel.

- To ona - powiedziałem, podnosząc lewą rękę.

- Ale jak? Nic pan nie zauważył? A przede wszystkim - po co?

- Nie. Nie zauważyłem, chociaż to nie było łatwe. Kieszeń jest z lewej strony. Zręcznie, lekko, jak złodziej kieszonkowy. Ale to jest właśnie specjalność prawego mózgu. Koordynacja ruchów, we wszystkich grach, w sporcie. Po co? Mogę się tylko domyślić. To

nie jest werbalne rozumowanie logiczne, ale dziecinne trochę. Chyba po to, żeby znikła moja identyczność. Kto nie ma żadnych papierów, dowodu osobistego, nie ma i nazwiska dla tych, co go nie znają.

- Ach...po to, żeby pan znikł? Ależ to jest magia. Magiczne myślenie.

- Coś w tym rodzaju. Ale to niedobrze.

- Dlaczego? Chce panu pomóc, jak umie. I nic dziwnego, przecież to w końcu też pan. Tyle że trochę osobny. Wyosobniony.

- Niedobrze, bo skoro chce mi pomóc, to znaczy, że jednak jakoś orientuje się w sytuacji, że coś mi grozi. To było głupstwo, ale następny raz może to już być niedźwiedzia przysługa...

Wieczorem zajął do mnie Hous. Siedziałem na łóżku, już rozebrany, w piżamie, i oglądałem lewą łydkę. Poniżej kolana widniał spory siniak.

- Jak się pan czuje?

- Dobrze, ale... Opowiedziałem mu o portfelu.

- Osobliwe. Naprawdę nic pan nie zauważył?

Opuściwszy oczy, ponownie zobaczyłem ten siniak i nagle przypomniałem sobie krótki ból i przyczynę jego powstania. Kiedy zaglądałem do wnętrza tachistoskopu, uderzyłem lewą nogą o coś twardego, poniżej kolana. Porządnie zabolalo, ale nie zwróciłem na to uwagi. To musiało być wtedy.

- Nader pouczające - zauważył Hous. - Lewa ręka nie może wykonywać skomplikowanych ruchów tak, żeby napięcie mięśniowe nie przenosiło się na prawą stronę ciała. Potrzebne więc było odwrócenie pańskiej uwagi.

- Tym? - pokazałem na siniak.

- Właśnie. Współpraca lewej nogi i ręki. Czując ból, nie czuł pan przez sekundę nic innego. To wystarczyło.

- Często tak bywa?

- Nie, nadzwyczaj rzadko.

- A jakby ktoś chciał się wziąć do mnie na dobre, to też mógłby robić podobne rzeczy? Na przykład kłuć mnie z prawej strony, żeby nie mogła się wtrącać do lewej, wziętej na spytki...?

- Gdyby to był fachowiec, zrobiłby to inaczej. Robi się zastrzyk amyntalu do lewej tętnicy szyjnej. *Carotis*. Lewy mózg ulega wtedy uśpieniu, a czuwa tylko prawy. To trwa parę minut.

- I to wystarczy?

- Jeśli nie wystarczy, wprowadza się do tętnicy małą kaniulkę i podaje amytał kroplowo. Po jakimś czasie zasypia i prawa półkula, bo mózgowe tętnice są połączone tak zwanymi kolateralami. Wtedy trzeba poczekać jakiś czas i znów można zacząć.

Spuściłem nogawkę piżamy i wstałem.

- Nie wiem, jak długo potrafię tak siedzieć tutaj i czekać nie wiadomo na co. To, co się wie, jest lepsze od niczego. Niech mnie pan weźmie w obroty, doktorze.

- A czy pan nie umie tego zrobić sam? Przecież jakoś potrafi się pan już porozumiewać jedną ręką z drugą. Czy dowiedział się pan czegoś w ten sposób?

- Niewiele.

- Odmawia odpowiedzi na pytania?

- Raczej odpowiada w niezrozumiały sposób. Wiem tyle: ona pamięta inaczej niż ja. Może całymi obrazami, całymi scenami. Kiedy chce ująć słowa znakami, powstają łamigłówki. Należałoby to pewno wszystko po kolei utrwalić jakimś zapisem i potraktować go jako swego rodzaju stenogram. Tak mi się zdaje.

- To jest raczej zadanie dla kryptografów niż dla lekarzy. Powiedzmy, że uda się tu zrobić taki zapis. Co pan będzie z tego miał?

- Nie wiem.

- Ja też. Na razie życzę panu dobrej nocy.

Poszedł, a ja zgasiwszy światło położyłem się, ale nie mogłem usnąć. Leżałem na wznak. W pewnej chwili lewa ręka podniosła się i powoli, kilkakrotnie pogładziła mnie po twarzy. Najwyraźniej litowała się nade mną. Wstałem, zaświeciłem lampę, wziąłem tabletkę seconalu i zamroczywszy w ten sposób obu Ijonów Tichych, pogrążyłem się w bez-pamięci.

Moja sytuacja nie była tylko zła. Była idiotyczna. Siedziałem schowany w sanatorium, nie wiedząc nawet przed kim. Czekałem nie wiedzieć na co. Próbowałem dogadać się z sobą przez rękę, ale chociaż odpowiadała nawet żwawiej niż przedtem, nie rozumiałem jej. Grzebałem w bibliotece sanatoryjnej, znosiłem do pokoju podręczniki, monografie, stopy fachowych pism, żeby się wreszcie dowiedzieć, kim albo czym jestem po prawej stronie. Stawiałem ręce pytania, na które odpowiadała z wyraźnym wysiłkiem dobrej woli: co więcej, wyuczyła się nowych zwrotów i nowych słów, co równocześnie zachęcało mnie do dalszego konwersowania i niepokoilo. Bałem się, że dorówna mi, a może nawet mnie obecnego przewyższy i będę musiał nie tylko się z nią liczyć, ale i słuchać jej, albo dojdzie do szamotania i przeciągania w dwie strony, a ja wtedy nie zostanę w środku, ale rozlecę się albo przepołowię do końca i stanę się podobny do żuczka, tak przydepniętego, że jedno jego nogi ciągną do przodu, a inne do tyłu. Śniły mi się rozmaite ucieczki i łażenia po jakichś ciemnych

urwiskach, a nawet nie wiedziałem, którą połową to mi się śniło. To, czego dowiedziałem się przy stertach książek, było zgodne z prawdą. Lewy mózg wyzbyty łączności z prawym ubożeje. Nawet gdy pozostaje gadatliwy, robi się w mowie oschły, i poznać to zwłaszcza po tym, jak często używa posiłkowych czasowników “być” i “mieć”. Robiąc notatki, i odczytując je potem, dostrzegłem, że tak jest ze mną. Ale poza takimi szczegółami nie mogłem się dowiedzieć z fachowych prac niczego ważnego. Była w nich moc hipotez, całkiem sprzecznych, przymierzałem każdą do siebie i kiedy nie pasowały, brała mnie złość na tych uczonych, którzy udawali, że lepiej ode mnie wiedzą, jak to jest być teraz mną. Jednego dnia byłem już gotów cisnąć precz wszelkie ostrożności i jechać do Nowego Jorku, do Lunar Agency. Następnego ranka wydawało mi się to ostatnią rzeczą, którą powinienem zrobić. Tarantoga nie odzywał się, a chociaż sam go prosiłem, żeby czekał na znak ode mnie, jego milczenie też poczynało mnie już irytować. Na koniec postanowiłem wziąć się do siebie po męsku, tak, jak by to zrobił dawny, nie rozkrojony Ijon Tichy. Pojechałem do Derlina, małej miejsciny, o dwie mile od sanatorium. Podobno mieszkańcy chcieli ją nazwać Berlinem, ale coś im się pomyliło w pierwszej literze. Chciałem kupić maszynę do pisania, żeby brać lewą rękę w krzyżowy ogień pytań, spisywać jej odpowiedzi i zgromadzić ich dość, aby stwierdzić, czy składają się w jakiś sens. W końcu, myślałem sobie, mogę być prawostronnym idiotą, i tylko ambicja nie pozwala mi się o tym przekonać. Blair, Goddeck, Shapir, Rosenkrantz, Bombardino, Klosky i Serenghi utrzymywali, że niemota prawej półkuli jest głębią pełną nieznanych talentów, intuicji, przeczuć, bezsłownej orientacji całościowej, rodzajem geniuszu nawet, obszarem źródłowym tych wszystkich dziwów, z jakimi nie chce się pogodzić lewy racjonalizm: telepatii, jasnovidzenia, duchowych przenosin w inne wymiary egzystencji, widzeń, stanów mistycznego zachwyty i rozjaśnienia, lecz Kleis, Zuckerkandel, Pinotti, Yeehold, pani Meyer, Rabaudi, Ottitchkin, Niierlo i osiemdziesięciu innych ekspertów twierdziło, że nic podobnego. Owszem, rezonator, organizator uczuć, układ asocjacyjny, echowa przestrzeń myśli, no i jakaś tam pamięć, ale nie do wysłowienia: prawy mózg to alogiczny dziwotwór, ekscentryk, fantasta, blagier, hermeneutyk, to duch, ale w stanie surowym, to mąka, a też i drożdże, ale chleb umie z tego wypiec dopiero mózg lewy. A innych opinia była taka: prawy to generator, lewy - selektor, tamten jest przez to oddalony od świata, i dlatego prowadzi go, tłumaczy na ludzki język, wyraża, komentuje, bierze w karby, robi z niego człowieka lewy mózg. Hous zaproponował mi, żebym pojechał do miasteczka jego autem. Nie był zaskoczony moim zamiarem ani mi go nie odradzał. Narysował mi na kartce główną ulicę i naznaczył krzyżykiem miejsce, gdzie był miejscowy dom towarowy. Zauważył tylko, że z tym sprawunkiem już dziś nie zdążę, bo jest sobota, a ten dom zamykają

o pierwszej. Całą niedzielę przelazłem więc po parku, unikając jak mogłem Adelajdy. W poniedziałek nie mogłem nigdzie znaleźć Housa, więc pojechałem autobusem, który jeździł co godzinę. Był prawie pusty. Oprócz Murzyna kierowcy tylko dwoje dzieci lizących lody. To miasteczko, położone o jakąś milę od sanatorium, wyglądało jak amerykańskie osady sprzed pół wieku. Jedna szeroka ulica, słupy telegraficzne, domy w ogrodach, niskie żywopłoty, furtki, u każdej skrzynka na listy, a miasto udawało parę większych kamienic u skrzyżowania z szosą stanową. Stał tam listonosz i rozmawiał z grubym, spoconym facetem w kwiecistej koszuli, którego pies, duży kundel w kolczatce, obsikiwał latarnię. Wysiadłem koło nich, a kiedy autobus odjechał, wznosząc chmurę śmierzącego dymu, rozejrzałem się za domem towarowym, jak mi go wskazał doktor Hous. Stał, przeszklony, spory, po przeciwnej stronie ulicy. Dwaj sprzedawcy w kitlach przenosili jakieś pudła z magazynu motorowym podnośnikiem i ładowali je na ciężarówkę. Słońce nieznośnie paliło. Szofer ciężarówki, siedząc w jej otwartych drzwiach, pił piwo z puszki, nie pierwszej, bo puste leżały pod jego nogami. Był to całkiem już siwy Murzyn, choć z twarzy wcale nie stary. Słoneczną stroną ulicy szły dwie kobiety, młoda popychała dziecięcy wózek z postawioną budką, starsza zaglądała do tego wózka i coś mówiła. Mimo gorąca nosiła czarny, wełniany szal, zakrywający głowę i ramiona. Kobiety mijaly właśnie otwarty warsztat samochodowy, błyszczało tam parę umytych aut, słychać było szum wody i syk powietrza. Dostrzegłem to wszystko mimochodem schodząc już na jezdnię, żeby przejść na drugą stronę, do domu towarowego. Przystanąłem, bo duży, ciemnozielony lincoln, który stał kilkadziesiąt kroków dalej, ruszył nagle w moją stronę. Przednią szybę miał zielonkawą, tak że ledwie widziałem sylwetkę kierowcy. Wydało mi się, że ma czarną twarz i pomyślałem, że to Murzyn. Stałem na brzegu chodnika, żeby go przepuścić, ale dość ostro zahamował, tuż przede mną. Pomyślałem, że chce o coś spytać, gdy nagle ktoś objął mnie mocno z tyłu, zaciskając mi usta ręką. Byłem tak zaskoczony, że nawet nie spróbowałem się bronić. Ktoś siedzący z tyłu otworzył drzwi, zacząłem się szamotać, ale nie mogłem wydać nawet głosu, tak mnie dławił. Listonosz rzucił się ku nam i schyliwszy się, chwycił mnie za nogi. Wtedy coś blisko huknęło i w jednym mgnieniu ulica zmieniła wygląd.

Stara kobieta, rzuciwszy szal na chodnik, zwróciła się ku nam. Trzymała oburącz krótki pistolet maszynowy. To ona strzelała, prosto w przód auta, długą serią dziurawiąc chłodnicę, opony, aż podniósł się kurz. Siwowłosy Murzyn nie pił już piwa. Siedział za kierownicą, a jego ciężarówka jednym skretem zagroziła drogę lincolnowi. Kudłaty pies rzucił się na strzelającą i wijąc się padł płasko na asfalt. Listonosz puścił mnie, odskoczył i dobył ze swojej torby coś czarnego, okrągłego, cisnął to w stronę kobiet. Zagrzało, buchnął

biały dym, młoda kobieta padła na kolana za wózkiem dziecięcym, który otworzył się jakoś i ze środka trysnął słup spienionej cieczy jak z ogromnej gaśnicy, zalewając kierowcę lincolna, który właśnie wyskoczył na jezdnię i nim piana zalała go, zobaczyłem, że ma twarz zasłoniętą czymś czarnym, a w rękę rewolwer. Strumień uderzył w przednią szybę limuzyny z taką siłą, że szkło prysło i trafiło listonosza. Gruby, który wciąż trzymał mnie z tyłu, cofał się tak, żeby zasłonić się moim ciałem. Z garażu wyleciało kilku ludzi w kombinezonach. Dopadli do nas i oderwali ode mnie grubego. Wszystko to nie trwało ani pięć sekund. Najbliższe ulicy auto, które stało w warsztacie, tyłem wyjechało przez otwarte wrota, dwaj mężczyźni w kitlach zarzucili na kierowcę lincolna sieć, starając się go nie dotknąć, cały ociekał kleistą pianą. Gruby i listonosz, już skuci, włązili, popychani, do auta z warsztatu. Stałem jak wryty, patrząc, jak ten, kto przedtem otworzył drzwi lincolna, wysiada z podniesionymi rękami, jak posłusznie idzie pod rewolwerem do furgonetki, a siwy Murzyn nakłada mu kajdanki. Nikt mnie nie tknął, nikt się nawet do mnie nie odezwał. Auto odjechało. Półcieżarówka, do której wsadzono rannego, może zastrzelonego kierowcę i jego współnika ruszyła, kobieta podniosła czarny szal, otrzepała go z kurzu, włożyła pistolet maszynowy do wózka, postawiła na powrót budkę i poszła przed siebie, jak gdyby nigdy nic. Zrobiło się znów pusto i cicho. Tylko wielki samochód na spłaszczonych oponach z potrzaskanymi reflektorami i trup psa świadczyły, że mi się to nie przywidziało. Obok domu towarowego stał w ogrodzie, pełnym wysokich słoneczników, drewniany, parterowy domek z werandą. W otwartym oknie, z fajką w ręku, wygodnie rozparty łokciami na parapecie, widniał mężczyzna o mocno opalanej twarzy, blondyn, o prawie białych włosach i patrzył na mnie z wymownym spokojem, jakby chciał powiedzieć: "A widzisz?" Wówczas dopiero uświadomiłem sobie to, co było jeszcze dziwniejsze od próby porwania: chociaż miałem jeszcze w uszach serie strzałów, wybuchy, krzyk, nie otwarło się żadne okno i nikt nie wyjrzał na ulicę, jakby otaczała mnie pusta dekoracja teatralna. Stałem dość długo, nie wiedząc, co począć. Nabycie maszyny do pisania nie wydawało mi się już wskazane.

#### IV. LUNAR AGENCY

- Panie Tichy - powiedział Dyrektor - nasi ludzie wprowadzą pana we wszystkie szczegóły Misji. Ja chcę dać panu tylko ogólny obraz - żebyś pan nie stracił z oczu lasu wśród drzew. Traktat genewski ziścił cztery niemożliwości. Powszechne rozbrojenie razem z dalej trwającym wyścigiem zbrojeń - to raz. Maksymalne tempo zbrojeń przy zerowym koszcie - to dwa. Pełne zabezpieczenie każdego państwa przed atakiem z zaskoczenia, przy zachowanym prawie toczenia wojny, gdyby ktoś chciał ją toczyć. To po trzecie. I wreszcie likwidacja wszystkich armii, które mimo to nadal istnieją. Nie ma żadnych wojsk, ale sztaby zostały i mogą obmyślać, co chcą. Jednym słowem zaprowadziliśmy *pacem in terris*. Uważa pan?

- Owszem - odparłem - ale czytam przecież gazety. Utrzymują, żeśmy przeszli z deszczu pod rynnę. A tu kiedyś wyczytałem, nie pamiętam już gdzie, że Księżyc milczy i pochłania wszystkich zwiadowców, bo Komuś udało się wejść w tajne porozumienie z tamtejszymi robotami. Że jakieś państwo stoi teraz za wszystkim, co zachodzi na Księżycu. I że Agencja o tym wie. Co pan na to?

- To są brednie - rzekł energicznie Dyrektor. Siedzieliśmy w jego gabinecie, wielkim jak sala. Z boku, na podwyższeniu, stał ogromny globus Księżyca, cętkowany ospą kraterów. Sektory poszczególnych państw, pokolorowane zielono, różowo, żółto i pomarańczowo, jak na mapach politycznych, szły od bieguna do bieguna, przez co ten globus przypominał dziecinną zabawkę czy oświetloną szklaną pomarańczę, obraną z łupiny. Na ścianie za Dyrektorem zwisała od sufitu flaga ONZ.

- Takich bredni jest teraz moc - podkreślił Dyrektor, uśmiechając się do mnie z wyrazem politowania na smagłej twarzy. - Nasze biuro prasowe może panu służyć przeglądem tych bająn. Wszystko wyssane z palca.

- Ale ten ruch - tych neopacyfistów - lunofilów, to chyba fakt?

- Tak zwanych lunatyków? Owszem. Czytał pan ich oświadczenia? Ten ich program?

- Czytałem. Domagają się porozumienia z Księżycem...

- "Porozumienia!" - parsknął wzgardliwie Dyrektor. - Nie porozumienia, tylko poddania się. Ale nie wiadomo, komu! Niedowarzone głowy. Wyobrażają sobie, że Księżyc stał się Kimś - że można go uznawać za stronę do układów, do paktów, za stronę potężną i inteligentną. Że nie ma już tam nic oprócz gigantycznego komputera, który pochłonął wszystkie sektory. Strach ma nie tylko wielkie oczy, panie Tichy, ale mały rozum.

- No dobrze - tylko czy można wykluczyć jakiś rodzaj zjednoczenia tych wszystkich

broni, tam - tych armii - jeżeli to są armie - jak można być pewnym, że coś takiego nie zaszło, skoro nic nie wiadomo...?

- Nawet tam, gdzie nic nie wiadomo, pewne rzeczy są niemożliwe. Sektor każdego państwa został urządzony jako ewolucyjny poligon. Proszę spojrzeć. - Miał w ręku małe płaskie pudełko. Poszczególne sektory Księżyca poczęły się zapalać, aż cały zajaśniał jak kolorowy lampion.

- Te najszersze należą do supermocarstw. Oczywiście, wiedzieliśmy, co przewozimy, nasza Agencja pracowała przecież jako przewoźnik. Wykonaliśmy też wstępne prace, ryliśmy wykopy pod *SUPSY*, *Super Symulatory*. W każdym sektorze jest taki symulator, otoczony kompleksem produkcyjnym. Sektory nie mogą z sobą walczyć. To wykluczone. *SUPS* projektuje nowe typy broni, a *SEKS* - *Selekcyjny Symulator* - usiłuje je zwalczać. Jedno i drugie jest symulacją komputerową. W programach tkwi zasada Miecza i Tarczy. To trochę tak, jakby każde państwo osadziło na Księżycu swój dwuczłonowy komputer, który gra sam z sobą w szachy. Ale to są szachy, w których nie ma figur, tylko broń i wszystko może się zmieniać podczas rozgrywki: ruchy figur, siła, z jaką biją, rodzaj szachownicy. Wszystko.

- Jak to - zdziwiłem się. - To tam nie ma nic oprócz komputerów symulujących wyścig zbrojeń? Więc jakież niebezpieczeństwo może grozić Ziemi...? Symulowana broń jest przecież mniej groźna od kartki papieru...

- Ależ nie! Optymalnie wyselekcjonowane projekty idą do realnej produkcji. Inna rzecz, i cały w tym sęk, kiedy idą. To jest tak: *SUPS* projektuje nie jakąś jedną nową broń, ale cały system walki. Są to, rozumie się, systemy bezludne. Żołnierz stanowi jedność z orężem. A jeszcze lepiej można to zrozumieć, myśląc o naturalnej ewolucji. Walka o przetrwanie, uważa pan? Walka o byt. *SUPS* projektuje, powiedzmy obrazowo, jakieś drapieżniki, a *SEKS* szuka ich słabych stron, żeby je zniszczyć. Kiedy mu się uda, *SUPS* wymyśla coś nowego - a tamten znów go kontruje. Zasadniczo taka symulowana walka z ciągłymi doskonaleniami mogłaby trwać i milion lat - ale każdy z tych zespołów po pewnym czasie ma wszcząć rzeczywistą produkcję broni. Po JAKIM czasie - i JAKIEJ skuteczności żąda od prototypów - to już ustalili uprzednio programiści danego państwa. No, bo każde państwo chciało mieć na Księżycu realną składnicę broni, arsenał, a nie tylko symulaty jako plany na papierze czy w komputerze. Tu też tkwi istotny szkopuł, sprzeczność, rozumie pan?

- Nie całkiem. Jaka sprzeczność?

- Symulowana ewolucja biegnie znacznie szybciej od ewolucji realnej. Ten, kto dłużej czeka na efekty symulacji, otrzyma doskonalszą broń. Ale dopóki czeka, pozostaje bezbronny. Ten natomiast, kto akceptuje krótszą symulację, otrzyma ją prędzej. Nazywamy to

współczynnikami hazardu. Każde państwo, lokując na Księżycu swój militarny potencjał, musiało z góry zdecydować, co woli: lepszą broń później, czy gorszą szybciej.

- Jakieś to dziwne - zauważyłem. - A co się dzieje, kiedy prędzej czy później zaczyna się produkcja? Broń idzie do składów?

- Część może iść. Ale tylko część. Bo wtedy zaczyna się już prawdziwa, nie symulowana walka, oczywiście tylko wewnątrz danego sektora.

- Niby manewry?

- Nie, bo na manewrach walka była zawsze udawana, żołnierze nie padali, natomiast tam - Dyrektor wskazał kolorowo świecący Księżyc - toczy się autentyczna walka. W granicach sektora, powtarzam. Nic i nikt nie może zaatakować sąsiedniego...

- Więc najpierw te bronie walczą i niszczą się w komputerach, na niby, a potem naprawę? A co dalej?

- Otóż to! Nie wiadomo, co dalej. W zasadzie są dwie możliwości. Albo wyścig zbrojeń ma granicę, albo nie. Jeżeli ma, to znaczy, że istnieje "broń ostateczna" i wyścig, jako symulowana ewolucja, dociera w końcu do tej broni. Ta broń nie może pokonać samej siebie i powstaje stan trwałej równowagi. Rozwój zamiera. Arsenale księżycowe wypełniają się bronią, co zdała ten ostatni egzamin i nic się już tam więcej nie dzieje. Życzylibyśmy sobie, żeby tak było.

- A tak nie jest?

- Prawie na pewno nie. Po pierwsze, naturalna ewolucja nie ma końca. Nie ma, bo nie istnieją żadne "ostateczne", to znaczy doskonale przeżywające organizmy. Każdy gatunek ma jakąś słabą stronę. Po wtóre, na Księżycu nie ruszyła przecież ewolucja naturalna, lecz sztuczna, i to ewolucja broni. Każdy sektor stara się zapewne obserwować to, co zachodzi w innych i reaguje na to po swojemu. Równowaga militarna jest czymś innym od równowagi biologicznej. Żywe gatunki nie mogą być nazbyt skuteczne w zwalczaniu konkurencyjnych. Dlaczego? Doskonale zjadliwe zarazki pozabijałyby wszystkich żywicieli i przez to zginęłyby razem z nimi. Dlatego równowaga ustala się w Przyrodzie poniżej zagłady. W przeciwnym razie ewolucja byłaby samozgubna. Natomiast rozwój broni zmierza do uzyskania przewagi nad przeciwnikiem. Broń nie ma instynktu samozachowawczego.

- Czekajże pan, Dyrektorze - powiedziałem zaskoczony nagłą myślą. - Przecież każde państwo mogło sobie zbudować po cichu na Ziemi takuteńki zespół jak ten, który umieściło na Księżycu i śledząc jego działanie, dowie się, co tam robi bliźniak...?

- A nie! - zawołał Dyrektor z przekornym uśmiechem. - Właśnie coś takiego nie jest możliwe! Przebiegu ewolucji nie można przewidzieć. Przekonaliśmy się o tym praktycznie.

- Jak?

- Tak, jak pan powiedział. Zaprogramowaliśmy tożsame komputery w naszym ośrodku badawczym tożsamymi programami i puściliśmy je w ruch. Ewolucja aż miło, tyle że rozbieżna. To jest tak, jakbyś pan chciał przewidzieć przebieg szachowego turnieju w Moskwie między stu arcymistrzowskimi komputerami, symulując rozgrywki na stu takich samych komputerach w Nowym Jorku. Czego się pan dowie o moskiewskich rozgrywkach? Absolutnie niczego. Przecież żaden gracz, człowiek czy komputer, nie robi zawsze tych samych ciągów. Owszem, politycy chcieli, aby im dostarczyć takich symulatorów, ale nic im to nie dało.

- Pięknie. Ale skoro nikt dotąd nic nie wskórał i wszyscy wasi zwiadowcy poszli jak kamień w wodę, jak mogę liczyć na to, że mnie się uda?

- Otrzyma pan środki, jakich nie miał jeszcze nikt. O szczegółach dowie się pan od moich podwładnych. Życzę powodzenia...

Przez trzy miesiące umordowałem się setnie na trenażerach w ośrodku Lunar Agency i mogę powiedzieć bez przesady, że telematykę miałem pod koniec w małym palcu. Jest to sztuka powodowania zdalnikiem. Trzeba się rozebrać do rosołu i wciągnąć elastyczny strój, przypominający trochę strój pletwonurka, ale z cieńszego materiału i lśniący jak żywe srebro, bo utkany z przewodów cieńszych od pajęczyny. Są to elektrody. Przylegając do ciała, zbierają przez skórę elektryczne zmiany w mięśniach i przekazują je zdalnikowi, który powtarza przez to każdy wykonany ruch z idealną dokładnością. To zresztą nie takie dziwne. Dziwniejsze, że nie tylko widzi się oczami zdalnika, ale czuje to, co czułoby się na jego miejscu. Biorąc do ręki kamień, wyczuwasz jego kształt i ciężar tak, jakbyś go sam miał w garści. Czuje się każdy krok, każde potknięcie, a kiedy zdalnik potrąci o coś zbyt mocno, czuje się i ból. Uważałem to za błąd, ale szef mego szkolenia, doktor Miguel Lopez, zapewniał mnie, że tak musi być. W przeciwnym razie zdalnik byłby wciąż narażony na uszkodzenia. Jeśli ból jest silny, można wyłączyć ten przesyłowy kanał, lepiej jednak zmniejszyć modulatorem natężenie bólu, aby wciąż wiedzieć, jak ma się zdalnik. Człowiek przeniesiony w sztuczną skórę zatracą poczucie tego, gdzie jest jego własna osoba i przenosi się cały w zdalnika. Trenowałem na rozmaitych modelach. Zasadniczo zdalnik nie musi być wcale człękkształtny, może być też mniejszy od krasnoludka albo większy od Goliata, ale powoduje to różne komplikacje. Jeżeli zamiast nóg ma się, powiedzmy, gaśienice, znika poczucie bezpośredniego kontaktu z gruntem, trochę tak jak przy prowadzeniu auta lub czołgu. Kiedy zdalnik jest olbrzymem dziesięciokrotnie większym od człowieka, trzeba się w nim poruszać bardzo powoli, bo jego kończyny ważą po kilkadziesiąt ton i mają odpowiednią

bezwładność, tę samą na Księżycu, co na Ziemi. Doświadczyłem tego z dwustutonowym zdalnikiem i wrażenie miałem takie, jakbym maszerował pod wodą. Nie woda stawiała mi opór, lecz bezwładność masywnych nóg i całego korpusu. Zresztą zdalnik-olbrzym byłby tylko zawadą, stanowiąc cel rozmiarów wieży. Miałem za to dysponować między innymi serią coraz mniejszych zdalników, zwanych krasnalami. Przypominały zresztą raczej owady. Wcale zabawne, ale z takiej perspektywy każdy kamyk urasta w górę i trudno zorientować się w terenie. Cięższe zdalniki księżycowe przedstawiały się dosyć pokraccznie. Najgrubsze miały nogi, i to krótkie, żeby środek ciężkości leżał możliwie nisko. Taki *LEM - Lunar Efficient Missionary* - utrzymuje równowagę lepiej niż człowiek w skafandrze, bo się nie zatacza, a ręce ma długie jak orangutan. Te ręce okazują się przydatne przy dwudziestometrowych susach. Przede wszystkim chciałem usłyszeć, jakich modeli używano w poprzednich zwiadach i jak im poszło. Żeby mnie wtajemniczyć w te nieudane wyprawy, moi opiekunowie musieli zdobyć specjalną zgodę Dyrektora, bo wszystko, czegom się tknął, było tajne. Tajna była zresztą cała misja jak i to, że szereg poprzednich zwiadów zakończyło się fiaskiem. Szło jakoby o to, by nie powiększać paniki, szerzonej przez prasę najdziwniejszymi wymysłami. *COM, Centralna Ostoja Misji*, podawała mnie za doradcę Agencji Księżycowej, a dziennikarzy musiałem się strzec jak zarazy. W końcu mogłem wypytać obu zwiadowców, którzy wrócili cało, ale nie widziałem ich na oczy, rozmawiając z każdym z osobna przez telefon. Podobno każdy nazywał się teraz całkiem inaczej i tak go przefasonowano, żeby go rodzona matka nie poznała. Pierwszy, imieniem Lon - ale na pewno zwał się nie tak - bez problemów dotarł do strefy Radiowego Milczenia, wszedł na selenostacjonarną orbitę bodaj dwa tysiące mil nad Mare Nibium i posłał w dół pancernego zdalnika, który wylądował w pełnym pustkowiu. Nie przeszedłszy ani stu kroków, został zaatakowany. Usiłowałem wycisnąć z niego jakieś konkretne szczegóły, ale powtarzał wciąż to samo: szedł po równinie Mare Nibium sam jak palec, zresztą zlustrował uprzednio cały teren w promieniu kilkuset kilometrów i nie zauważył nic podejrzanego, aż z boku i to całkiem blisko pojawił się ogromny robot, co najmniej dwukrotnie większy od *LEMa*, i otworzył ogień. Oślepił go bezgłośny błysk i to było wszystko. Potem fotografował to miejsce z orbity, a jakże, obok małego krateru leżały szczątki zdalnika, stopione w grudy metalowego żużlu, a wokół rozpościerała się martwa pustka. Następny zwiadowca miał dwa zdalniki, ale pierwszy zaczął koziołkować tuż po starcie i rozbił się o skały, a drugi był właściwie dwójką, zwaną bliźniakami. Bliźniaki to para telematów, poruszanych równocześnie przez jednego człowieka. Wykonują więc wszystkie ruchy dokładnie tak samo. Jeden miał iść przodem, a drugi za nim w odległości stu metrów, żeby dostrzec, co zaatakuje tego na przedzie. Ponadto

zabezpieczono obu mikropami. Mikropy to skrót od mikroskopijnych cyklopów. Jest to jakby kamera telewizyjna, złożona z całej chmary czujników nie większych od muszki, zaopatrzonych w mikroskopijne obiektywy. Cały obłok mikropów towarzyszy więc bliźniaczym zdalnikom, unosząc się dobrą milę nad powierzchnią Księżyca, żeby mieć ich w polu widzenia razem z otoczeniem. Człowiek powodował zdalnikami, natomiast mikropy przekazywały obraz bezpośrednio na Ziemię, do ośrodka kontroli lotu. Wynik tak dobrze obmyślanej i zabezpieczonej ekspedycji był raczej marny. Oba zdalniki uległy zniszczeniu w tym samym momencie, ledwie stanęły równymi nogami na księżycowym piachu, przy czym mój drugi rozmówca utrzymywał, że zostały zaatakowane przez dwa roboty, bardzo osobliwej budowy, bo niskie, garbate i niezwykle grube; pamiętał, że zjawily się po prostu znikąd i od razu do niego zmierzyły, więc złożył się, ale nie zdążył nawet pociągnąć za spust. Zobaczył białoniebieski rozbłysk, na pewno laserowy, i oprzytomniał z powrotem na pokładzie. Potem sfotografował szczątki zdalników, a ziemską kontrola potwierdziła jego raport tylko w ostatnim punkcie. Zdalniki rzeczywiście rozżarzyły się i rozleciały w okamgnieniu, jak trafione laserem wielkiej mocy, ale źródła tego strzału nie można było wykryć. Obejrzałem sobie cały film, który utrwalił wszystko zaobserwowane przez mikropy, jak również krytyczne zdjęcia z ostatnich chwil pod maksymalnym powiększeniem. Komputer przeanalizował obraz każdego kamyczka w promieniu dwu kilometrów, bo taki jest księżycowy horyzont, a laserem można bić tylko w linii prostej. Wyglądało to w samej rzeczy zagadkowo. Oba zdalniki wylądowały bardzo sprawnie, bo nawet nie zachwiały się stając równymi nogami na gruncie i pomaszerowały jeden za drugim, w zwolnionym tempie, za czym jak jeden mąż tym samym ruchem podniosły swoje ręczne miotacze - jakby dostrzegły jakieś zagrożenie, choć na fotografiach nic go nie wskazywało - i otwarły ogień, równocześnie same zostały trafione, jeden w pierś, drugi odrobinę niżej. Promienny udar rozniósł je na strzępy w obłokach kurzu i płonącego metalu. Choć analizowano te obrazy na dziesiątą stronę i usiłowano namiętnie wykryć miejsce, z którego padła laserowa salwa, nie wykryto nic. Na Saharze nie jest tak pusto, jak było na tych zdjęciach. Niewidzialni okazali się sami atakujący jak i ich broń. Zarazem zwiadowca trwał twardo przy swoim: w momencie ataku zobaczył dwa wielkie, pokraccie zgarbione roboty tam, gdzie przed ułamkiem sekundy na pewno ich nie było. Powstały z niczego, złożyły się, strzeliły i znikły. Tego, jak znikły, nie mógł dojrzeć oczami zdalników, bo już się rozpadły, ale zdążył jeszcze z pokładu zaobserwować kładącą się chmurkę kurzawy w miejscu porażki. Właśnie tu jego oświadczenie pokrywało się z danymi wszystkich mikropów. Na ich przekazanej wizji doskonale było widać rozżarzone strzępy zdalników w kłębach piaszczystego kurzu, ale

więcej nic.

Dowiedziałem się niewiele, ale nie było to pozbawione dla mnie wszelkiego znaczenia, oznaczało bowiem, że z Misji można wrócić cało. W kwestii niezrozumiałego ataku powstały liczne hipotezy, włącznie z taką, że na Księżycu Coś przejęło kontrolę nad oboma zdalnikami i zniszczyły się wzajemnym ogniem. Powiększone zdjęcia ukazywały jednak, że nie mierzyły wcale do siebie, lecz w bok, i że - to ustaliły pomiary najwyższej dokładności - laserowy ogień, który odpowiedział na ich strzały, rozniósł je właściwie równocześnie - bo jedną dziesięciomilionową część sekundy po tym, gdy strzeliły pierwsze. Na podstawie widmowej analizy płonącego pancerza tych zdalników ustalono nawet, że lasery, których użyła strona księżycowa, były tej samej mocy, co lasery bliźniąt, lecz nie tak samo promieniowały.

Na Ziemi nie można symulować słabej grawitacji Księżyca, więc po wstępnej zaprawie na poligonie latałem kilka razy tygodniowo na orbitalną stację Agencji, gdzie urządzono specjalną platformę z ciężeniem sześciokrotnie słabszym od ziemskiego. Kiedy już poruszałem się w skórze zdalnika z zupełną swobodą, przyszło do następnej fazy prób, wielce realistycznych, choć całkiem bezpiecznych. Nie powiem jednak, aby były szczególnie miłe. Maszerowałem po fałszywym Księżycu wśród małych i dużych kraterów ani wiedząc, co i kiedy nagle mnie zaskoczy.

Ponieważ moi poprzednicy nic nie wskórali uzbrojeni, sztab misji zdecydował, że będzie lepiej, jeśli wyruszę bez broni. Miałem przetrwać w zdalniku jak długo się da, bo każda sekunda oznaczała mnóstwo obserwacji rejestrowanych przez mikropy, ciągnące za mną jak rój pszczół. O skutecznej obronie i tak nie może być mowy, perswadował mi Tottentanz, toż miałem wkroczyć w najeżony śmiercią martwy ostęp i niechybnie ponieść klęskę, a całą nadzieję pokładano w tym, że będzie to klęska pouczająca. Pierwsi zwiadowcy upierali się przy posiadaniu broni z łatwo zrozumiałych powodów psychologicznych. Zawsze rażniej mieć w opresji palec na jakimś cynglu. Wśród moich mentorów, których nazywałem męczycielami, byli też psychologowie. Dbali o to, abym przywykł do wszelkiego rodzaju przykrych niespodzianek. Choć wiedziałem, że nic mi naprawdę nie grozi, stąpałem po sztucznym Księżycu jak po rozżarzonej płycie, rozglądając się na wszystkie strony. Jedna rzecz, szukać przeciwnika o znanym wyglądzie, a całkiem inna nie mieć pojęcia, czy pobliski głaz, bardziej martwy od nieboszczyka, naraz nie rozewrze się, żeby chlusnąć we mnie ogniem. Aczkolwiek była to wciąż symulacja, moment każdego takiego zaskoczenia był raczej paskudny. Samoczynne wyłączniki rozrywały wprawdzie łączność między mną i zdalnikiem przy trafieniu, działały jednak z ułamkowym opóźnieniem i wiele razy przeżyłem uczucie nie

do opisania: jak to jest, kiedy rozlatujesz się na kawałki i odrąbaną głową widzisz, jej oczami, nim zgasną, patrochy, wylatujące ci z rozprutego brzucha. Pocieszało nieco to, że były z krzemu i porcelany. Przeżyłem kilkadziesiąt takich agonii, dzięki czemu mogłem sobie uzmysłwić, jakie atrakcje czekają mnie na Księżycu. Rozerwany na sztuki już nie wiem który raz, poszedłem do głównego teletronika Sultzera i wyłożyłem na stół moje wątpliwości. Być może wrócę z Księżycy w jednym kawałku, zostawiwszy tam szczątki rozstrutowanych *LEMów*, ale co to właściwie da? Czego można się dowiedzieć o nieznanym systemach broni w paru ułamkach sekundy? Po co w ogóle ma tam lecieć człowiek, skoro i tak nie może wylądować?

- Przecież pan wie, Tichy, dlaczego - powiedział, częstując mnie szklaneczką sherry. Był mały, chudy i łysy jak kolano. - Nie można tego robić z Ziemi. Czteryście tysięcy kilometrów to prawie trzysekundowe opóźnienie sterowania. Zejdzie pan możliwie nisko. Na półtora tysiąca kilometrów jeszcze można. To jest dolny pułap Strefy Milczenia.

- Kiedy nie o to chodzi. Jeśli zakładamy z góry, że zdalnik nie przetrwa nawet minuty, można go posłać stąd, z mikropami, które zarejestrują jego koniec.

- Robiliśmy to już.

- I co?

- I nic.

- A mikropy?

- Pokazywały trochę kurzu.

- A czy nie można byłoby posłać zamiast zdalnika czegoś w porządnym pancерzu?

- Co pan nazywa porządnym pancерzem?

- No - bo ja wiem - dajmy na to kulę, taką jakich się używało dawniej do sondowania oceanicznych głębin. Z odpowiednimi wyziorami, czujnikami i tak dalej.

- Zrobiło się coś w tym guście. Nie całkiem tak jak pan mówi, ale podobnie.

- I co?

- Ani zipią.

- Co się z nią stało?

- Nic. Leży tam jeszcze do dzisiaj. Łączność wysiadła.

- Dlaczego?

- To jest pytanie za sześćdziesiąt cztery tysiące dolarów. Gdybyśmy wiedzieli, nie musielibyśmy pana fatywować. Takie rozmowy powtórzyły się w owym czasie parokrotnie.

Po zakończeniu drugiej fazy treningu dostałem wolne. Już od trzech miesięcy mieszkałem na pilnie strzeżonym terenie bazy i chciałem choć na jeden wieczór umknąć z

tego skoszarowania. Poszedłem więc do Kierownika Osłony (KO - tak się nazywał) po przepustkę. Nigdy go dotąd nie widziałem. Przyjął mnie wyblakły smutny cywil w koszuli z krótkimi rękawami, wysłuchał, zrobił współczującą minę i powiedział:

- Bardzo mi przykro, ale nie mogę pana wypuścić.
- Co? Dlaczego?
- Takie mam rozkazy. Oficjalnie nic więcej nie wiem.
- A nieoficjalnie?
- Nieoficjalnie też nic. Pewno boją się o pana.
- Na Księżycu - rozumiem, ale TU?
- Tu bardziej.
- Czy to znaczy, że do startu nie mogę się stąd ruszyć?
- Niestety tak.

- W takim razie - powiedziałem bardzo cicho i grzecznie, jak zwykle, kiedy mnie diabli biorą - nigdzie nie polecę. O czymś takim w ogóle nigdy nie było mowy. Zobowiązałem się do nadstawiania karku, ale nie do siedzenia w kryminale. Lecieć miałem z własnej ochoty. Właśnie ją tracę. Siłą wsadzicie mnie do rakiety, czy jak?

- Ależ co pan mówi?

Uparłem się przy swoim i w końcu dostałem tę przepustkę. Chciałem poczuć się zwyczajnym przechodniem, zanurzyć w wielkowiejskim tłumie, pójść może do kina, a najbardziej zjeść kolację w przyzwoitym lokalu, a nie w kantynie z facetami, którzy sekunda po sekundzie omawiali ostatnie chwile Ijona Tichego w zdalniku, trzaskającym jak fajerwerek. Doktor Lopez dał mi do dyspozycji swoje auto i wyjechałem z bazy, kiedy już zmierchało. Na zjeździe z highwayu w świetle reflektorów ujrzałem postać z podniesioną ręką przy małym aucie z włączonymi awaryjnie migaczami. Zatrzymałem się. Była to młoda kobieta w białych spodniach i w białym swetrze, blondynka, z twarzą umazaną smarem. Przypuszczała, że zatarł się jej silnik. Rzeczywiście nie dał się nawet obrócić starterem, więc zaproponowałem, że podwiozę ją do miasta. Kiedy wyjmowała ze swego auta płaszcz, zauważyłem na siedzeniu obok kierownicy wielkiego mężczyznę. Był nieruchomy jak z drewna. Przyjrzałem mu się bliżej.

- To mój zdalnik - wyjaśniła. - Zepsuł się. Wszystko mi się psuje. Chciałam go zawieźć do warsztatu.

Głos miała matowy, odrobinę ochryply, prawie dziecinny. Ten głos musiałem już kiedyś słyszeć. Byłem tego prawie pewny. Otwarłem prawe drzwiczki, żeby wsiadła i nim zgasła lampka nad wsteczym lusterkiem, z bliska dostrzegłem jej twarz. Zdębiałem, tak była

podobna do Marylin Monroe, zeszłowieczej gwiazdy filmowej. Ta sama twarz, ten sam niby bezświadomy, naiwny wyraz ust i oczu. Chciała, żebyśmy stanęli gdzieś, w jakiejś restauracji, żeby się mogła umyć. Zwolniłem więc i jechaliśmy w małym ruchu, mijając rozświetlone reklamy.

- Zaraz będzie mała włoska restauracja, całkiem przyzwoita - powiedziała.

Rzeczywiście błyskał już ku nam neon: *Ristorante*. Zjechałem na parking. Weszliśmy do ciemnej sali. Na nielicznych stolikach płonęły świece. Dziewczyna poszła do toalety, a jaostałem przez chwilę niezdecydowany, aż wreszcie usiadłem w zakątku między drewnianymi przepierzeniami. Oddzielały stoliki, objęte z trzech stron drewnianymi ławkami. Było prawie pusto. Na zwykłym tle kolorowych butelek rudy barman mył szklanki, obok wiodły do kuchni wahadłowe drzwi obite polerowanym mosiądzem. W sąsiedniej niszy siedział ktoś przy talerzu z resztką jedzenia i schylony pisał w notatniku. Dziewczyna wróciła.

- Głodna jestem - oświadczyła. - Stałam przeszło godzinę. Nikt nie chciał się zatrzymać. Zjemy coś? Zapraszam pana.

- Dobrze - odparłem.

Gruby mężczyzna, siedzący tyłem do nas przy ladzie, zaglądał do swojej szklanki. Między nogami trzymał duży czarny parasol. Kelner zjawiał się, przyjął zamówienie trzymając tacę z brudnymi talerzami, i kopnąwszy wahadłowe drzwi, znikł w kuchni. Blondynka nie odzywała się. Wyjęła z kieszeni spodni zmiętą paczkę papierosów, zapaliła jednego od świcy, podała mi paczkę, podziękowałem ruchem głowy. Usiłowałem, bez zbytniego wpatrywania się, wykryć, czym różni się jednak od tamtej. Nie różniła się niczym. Było to tym dziwniejsze, że moc kobiet usiłowała się upodobnić do Monroe, ale żadnej się to nie udało.

Tamta była niepowtarzalna, chociaż nie odznaczała się ani wielką, ani egzotyczną urodą. Napisano o niej wiele książek, ale żadna nie pochwyciła tego pomieszania dziecinności z kobiecością, którym się różniła od wszystkich. Oglądając jej zdjęcia, jeszcze w Europie, pomyślałem raz, że nie można by jej nazwać dziewczyną. Była kobietą dziewczynkowatą, zawsze jakby zdziwioną czy zaskoczoną, wesołą jak kapryśne dziecko i ukrywającą jakąś rozpacz czy strach, jak ktoś, kto nie ma komu powierzyć swojej złej tajemnicy. Zaciągała się głęboko dymem i wypuszczała go z ust, ku świcy, która filowała między nami. Nie, to nie było podobieństwo, lecz tożsamość. Czulem, że jeśli zacznę teraz za wiele myśleć, najdą mnie rozmaite podejrzenia, boż nie jestem ślepy i mogło zastanowić, czemu nosiła papierosy w kieszeni: kobiety nigdy tego nie robią. A przecież miała torebkę, i to sporą, wypchaną, którą powiesiła na poręczy. Kelner przyniósł pizzę, zapomniał o chianti, przeprosił i wybiegł z sali.

Wino przyniósł inny kelner. Zauważyłem to, bo w tej restauracji panował fason tawerny i kelnerzy chodzili przepasani serwetami jak fartuchami do kolan. Ten inny kelner trzymał swoją serwetę w zgiętym łokciu. Napelniwszy nam kieliszki nie odszedł, lecz cofnął się o krok i stanął tuż za przepierzeniem. Dojrzałem go tam, bo jak w lustrze odbijał się w mosiężnym obiciu wahadłowych drzwi. Blondynka, siedząc głębiej, bodaj nie mogła go widzieć. Pizza była taka sobie, ciasto dość twarde. Jedliśmy milcząc. Odsunawszy talerz, znów sięgnęła po camele.

- Jak się pani nazywa? - spytałem. Chciałem usłyszeć obce nazwisko, aby osłabić wrażenie, że to tamta.

- Wypijmy najpierw - powiedziała tym niemal schrypniętym głosikiem. Wzięła oba nasze kieliszki i zamieniła je.

- Czy to coś znaczy? - spytałem.

- Taki mój przesąd. Nie uśmiechała się.

- Za nasze powodzenie!

Z tymi słowami zbliżyła kieliszek do ust. Ja też. Pizza była pieprzna i wychyliłbym wino jednym haustem, ale coś nagle z traskiem furknęło wybijając mi kieliszek z ręki. Chianti oblało dziewczynę, rozlewając się po białym swetrze jak krew. To zrobił ten kelner. Chciałem się zerwać, ale nie mogłem.

Miałem nogi głęboko pod drewnianą ławką, a nim je wyplątałem, wszystko wokół poszło w ruch. Kelner bez fartucha skoczył do przodu i chwycił ją za ramię. Wyrwała mu się i podniosła oburącz torebkę, jakby chciała zakryć nią twarz. Barman wybiegł zza lady. Senny, gruby łysoń podstawił mu nogę. Barman upadł z łomotem. Dziewczyna zrobiła coś z torebką. Jak z gaśnicy trysnął z niej strumień białej piany. Kelner, który był już przy niej, odskoczył i chwycił się za twarz, całą w białej mazi, ściekającej na kamizelkę. Blondynka strzeliła białym strumieniem w drugiego kelnera, który wpadł przez wahadłowe drzwi i krzyknął, trafiony. Obaj rozpaczliwie tarli sobie oczy i twarze, oblepione białą pianą, jak u aktorów, co obrzucają się tortami z kremem w *slap-stick comedy*. Staliśmy już w białawej mgle, bo ta piana o ostrej, gryzącej woni momentalnie parowała, roznosząc się mętnymi kłębamii po całej sali. Blondynka spojrzawszy błyskawicznie w lewo i w prawo, na obu unieszkodliwionych kelnerów, skierowała torebkę we mnie. Rozumiałem, że to moja kolej. Do dziś jestem ciekaw, czemu nie próbowałem się zasłonić. Coś wielkiego zaczerniało przede mną. Czarny materiał huknął jak uderzony bęben. To był ten gruby. Zasłonił mnie otwartym parasolem. Torebka poleciała na środek sali i prawie bezgłośnie rozbłysła. Buchnął z niej ciemny, gęsty dym i zmieszał się z białą mgłą. Barman zerwał się z podłogi i gnał wzdłuż lady ku drzwiom

kuchennym. Wciąż się jeszcze chwiała. Blondynka znikła w nich. Gruby rzucił barmanowi pod nogi otwarty parasol. Tamten przeskoczył go, stracił równowagę, zatoczył się na ladę, z gruchotem strącił z niej całe szkło i wpadł do kuchni. Stałem i patrzyłem na pobojuwisko. Zwęglona torebka wciąż dymiała między stolikami. Biała mgła rozpraszała się, gryząc w oczy. Wokół otwartego parasola walały się na podłodze odłamki talerzy, szklanek, pizzy, kieliszków, oblepione kleistą mazią i zalane winem. Wszystko trwało tak krótko, że butelka chianti wciąż jeszcze toczyła się w swoim koszyczku, aż dotarła do ściany. Zza przepierzenia, oddzielającego mój stolik od sąsiedniego, podniósł się ktoś - ten, kto pisał tam w notesie i pił piwo. Poznałem go od razu. Był to ów wyblakły cywil, z którym przed dwiema godzinami spierałem się w bazie. Podniósł melancholijnie brwi i zauważył:

- I czy warto było, panie Tichy, tak walczyć o tę przepustkę?

- Twardo zwinięta serweta jest na krótki dystans skuteczna przeciw krótkiej broni - rzekł z namysłem Leon Griin, szef osłony, zwany pospolicie Lohengrinem. - Każdy flik francuski znał ten sposób, kiedy nosili jeszcze pelerynki. Parabellum ani beretta nie zmieściłyby się w torebce. Pewno, mogła mieć i podróżną torbę, ale wyjąć większy gnac, to wymaga porządnej chwili. Mimo to poradziłem Trufli, żeby wziął parasol. Widać miałem natchnienie. To była salpektyna, doktorze, co? - Spytany chemik podrapał się za uchem. Siedzieliśmy w bazie, w zadymionym pokoju pełnym ludzi, dobrze po północy.

- Bo ja wiem? Salpektyna albo inny zol w sprayu, z wolnymi rodnikami. Rodniki amonu plus emulgator i dodatki zmniejszające napięcie powierzchniowe. Pod ucziwym ciśnieniem - minimum pięćdziesiąt atmosfer. Sporo zmieściło się w tej torebce. Mają widać doskonałych fachowców.

- Kto? - spytałem, ale jakby nikt tego nie słyszał.

- Jaki był cel? Po co to było? - odezwałem się powtórnie, głośniejsz.

- Unieszkodliwić pana. Oślepić - rzekł przyjemnie uśmiechnięty Lohengrin. Zapalił papierosa i natychmiast zdusił go z obrzydzeniem w popielniczce. - Dajcie mi coś pić. Przepalony jestem jak komin. Kupę zdrowia kosztuje pan nas, Tichy. Zorganizować taką obstawę w pół godziny - to nie w kij dmuchał.

- Oślepnąć miałem? Czasowo czy na zawsze?

- Trudno powiedzieć. To paskudnie żrące, wie pan. Może wylazłby pan z tego po przeszczepach rogowki.

- A ci dwaj? Kelnerzy?

- Nasz człowiek zamknął oczy. Zdążył. To dobry odruch. Torebka była jednak pewną nowością.

- Ale dlaczego ten - ten fałszywy kelner wybił mi kieliszek z ręki?

- Nie rozmawiałem z nim. Nie nadaje się do rozmowy. Przypuszczam, że dlatego, bo się z panem zamieniła.

- W kieliszku było coś?

- Na dziewięćdziesiąt pięć procent tak. Po co by to inaczej robiła?

- W winie nie mogło być nic. Ona też piła - zauważyłem.

- W winie nie. W kieliszku. Czy nie bawiła się kieliszkiem, nim przyszedł kelner, Tichy?

- Nie jestem całkiem pewien. Ach, tak. Obracała go w palcach.

- Ano właśnie. Na wynik analizy przyjdzie poczekać. Tylko chromatografią da się coś wykryć, bo wszystko poszło w drobny mak.

- Trucizna?

- Tak bym sądził. Miał pan zostać utracony. Unieszkodliwiony, ale niekoniecznie zabity. Raczej nie przypuszczam. Trzeba się ustawić na ich miejscu. Trup nie jest korzystny. Hałas, podejrzenia, prasa, sekcja, gadanina. Po co to komu? Natomiast solidna psychoza to coś innego. Bardziej eleganckie jako wynik. Tych preparatów jest dziś moc. Stany depresyjne, pomrocne, halucynacje. Myślę, że po wypiciu tego winka nie czułby pan nic. Dopiero jutro, albo i później. Im dłuższy okres latencji, tym bardziej to podobne do autentycznej psychozy. Kto dziś nie może zwariować? Każdy może. Ja pierwszy, panie Tichy.

- No a ta piana? Ten spray?

- Spray był ostatnim odwodem. Piąte koło w kufrze. Użyła go, bo musiała.

- A kto są ci "oni", o których wciąż mówicie?

Lohengrin uśmiechał się pogodnie. Wytarł sobie spocone czoło chustką nie pierwszej czystości, spojrzął na nią niechętnie, wetknął do kieszeni i rzekł:

- Z pana to prawdziwa małaletnia osoba. Nie wszyscy są tak zachwyceni pana kandydaturą jak my, panie Tichy.

- Czy mam zmiennika? Nigdy nie pytałem...czy ktoś jest w rezerwie? Podług niego można by może ustalić, kto...?

- Nie. Teraz nie ma jednego zmiennika. Kupa jest - z podobną punktacją i przyszłoby dopiero rozpocząć nowe badania. Selekcję. Wtedy moglibyśmy się czegoś domyślić, ale teraz nie.

- Jeszcze jedno chciałbym usłyszeć - rzekłem nie bez ociągania.

- Skąd ona się taka wzięła?

- To częściowo wiemy. - Lohengrin znów się uśmiechał.

- Pana mieszkancko europejskie zostało przed paru tygodniami przetrząśnięte. Nic nie zginęło, ale wszystko obejrzano. To stąd.

- Nie rozumiem...?

- Biblioteka. Ma pan książkę o Monroe i dwa albumy. Widać feblik.

- Przewróciliście mi mieszkanie i nie powiedzieliście słowa?

- Wszystko stoi, jak stało, nawet odkurzone, a co do odwiedzin, nie byliśmy pierwsi. Sam pan widział, jak to dobrze, że nasi ludzie rozejrzeli się i po książkach jak należy. Nie mówiliśmy panu nic, żeby pana nie denerwować. I bez tego ma pan dość na głowie. Maksymalna koncentracja to niezbędny warunek. Jesteśmy pańską zbiorową nianią - zatoczył ręką koło, ogarniając gestem wszystkich obecnych - grubego, już bez parasola, chemika, i trzech milczących mężczyzn, którzy podpierali ściany.

- Dlatego, kiedy pan żądał przepustki, uznałem, że lepiej ją panu dać, niż plotkować o pana mieszkaniu, bo to by pana nie osadziło. Prawda, że nie?

- Nie wiem. Chyba nie.

- A widzi pan.

- Dobrze. Ale pytając miałem na myśli podobieństwo - mój Boże. Czy ona była - człowiekiem?

- O tyle, o ile. Bezpośrednio nie. Chce pan ją zobaczyć? Mamy ją tu, leży w tamtym pokoju - wskazał na drzwi za sobą. Chociaż go rozumiałem, przez ułamek sekundy tłuła mi się w głowie myśl, że Marilyn Monroe umarła po raz drugi.

- Produkt Gynandroics? - zapytałem powoli. - Tak zwana playmate...?

- Tylko firma się nie zgadza. Jest ich więcej. Chce pan ją obejrzeć?

- Nie - powiedziałem zdecydowanie. - Ale wobec tego ktoś musiał nią przecież... poruszać?

- Naturalnie. Zwiął. To musiała być zresztą kobieta z dużym talentem aktorskim. Charakterystyka ruchów - uważa pan - mimika - była najwyższej klasy. Amator by tego nie potrafił. Nadać takie podobieństwo - jak by to powiedzieć - tchnąć tego ducha - to wymagało studiów. No i treningu. Po Monroe zostały filmy. To trochę pomogło... ale i tak... - Wzruszył ramionami. On jeden wciąż mówił. Za wszystkich.

- Aż tak się postarali...? - powiedziałem. - Po co?

- A wzięłyby pan do auta staruszkę?

- Wziąłbym.

- Ale na pizzę by pan z nią nie poszedł. W każdym razie nie na pewno, a potrzebna była pewność. Żeby pana zaintrygować. Pan musi to sam doskonale wiedzieć, kochany.

Zamknijmy już ten rozdział.

- Coście jej... zrobili?

Właściwie chciałem spytać “czy zabiliście ją...?” - choć pojmowałem bezsensowność takiego pytania. Zrozumiał mnie.

- Nic. Zdalnik z odciętą łącznością wali się sam jak kłoda. Przecież to lalka.

- To czemu uciekała?

- Ponieważ badając produkt, można się czegoś dowiedzieć o wytwórcach. W tym przypadku raczej nie, ale chcieli zwinąć wszystkie żagle. Żeby nie zostało żadnego śladu. Już dochodzi trzecia. Trzeba się oszczędzać, panie Tichy. Pan ma za pozwoleniem zeszlówieczne sentymenty. Życzę dobrej nocy i miłych snów.

Następnym dniem była niedziela. W niedzielę nie pracowaliśmy. Goliłem się, kiedy goniec przyniósł mi list. Profesor Lax-Gugliborc chciał się ze mną zobaczyć. Słyszałem już o nim. Był to specjalista od łączności, telematyk. Miał osobną pracownię na terenie bazy. Ubrałem się i równo o dziesiątej poszedłem do niego. Na odwrocie listu narysował, jak mam do niego iść. Wśród parterowych zabudowań stał długi pawilon, otoczony ogrodem z wysoką siatką. Nacisnąłem raz i drugi przycisk dzwonka. Najpierw zapalił się nad nim napis NIE MA MNIE DLA NIKOGO. Potem w żarniku zabrzęczało i furtka się otwarła. Wąska, wysypana żwirem ścieżka prowadziła do metalowych drzwi. Były zamknięte. Bez klamki. Zapukałem. Wewnątrz panowała cisza. Zastukałem znów. Jużem miał odejść, kiedy skrzydło drzwi uchyliło się i wyjrzał zzań wysoki chudy człowiek w niebieskim kitlu, pokrytym plamami i zaciekami. Prawie łysy, z krótko przystrzyżoną siwizną u skroni, w grubych pomniejszających szklach. Może przez te dwuogniskowe okulary wyglądał, jakby wciąż się dziwił okrągłymi, rybimi oczami. Długi wężący nos, masywne czoło.

Cofnął się bez słowa. Gdy wszedłem, zamknął drzwi, i to nie na jeden zamek. Korytarz tonął w ciemności. Szedł pierwszy, a ja za nim, wiodąc ręką po ścianie. Jakieś to było konspiracyjne i dziwaczne. W suchym gorącym powietrzu wisiała woń chemikaliów. Następne drzwi rozsunęły się w bok. Wpuścił mnie pierwszego.

Stałem w dużej pracowni, zagraconej wprost niesamowicie. Zewsząd wznosiły się poustawiane jeden na drugim aparaty z oksydowanego czarno metalu, połączone kablami. Ich płatanina wlokła się po podłodze. Pośrodku laboratoryjny stół, zavalony też aparaturą, papierami, narzędziami. Obok stała klatka, istna klatka papugi z cienkiego drutu, tak wielka, że pomieściłaby goryla. Najosobliwsze były kukły leżące rzędami wzdłuż trzech ścian. Nagie, podobne do manekinów wystawowych, bez głów albo z otwartymi czerepami, z piersiami rozwartymi jak drzwiczki, w środku pełne jakichś złączy, upakowanych szeregami płytek, a

pod stołem osobną kupą leżały liczne nogi i ręce. Ten zagracony pokój nie miał żadnych okien. Profesor zrzucił na podłogę zwoje kabli i elektronicznych części, leżących na krześle, krzątając się ze zwinnością, o jaką bym go nie posądził, wlaźł na czworakach pod stół, wyciągnął stamtąd magnetofon i włączył go. Patrząc mi z dołu w oczy, bo kuczał, przyłożył palec do ust, a równocześnie z magnetofonu popłynął jego skrzeczący głos.

- Prosiłem pana na lekcję, Tichy. Już czas, żeby się pan dowiedział czego trzeba o łączności. Proszę się i słuchać. Żadnych notatek nie może pan robić...

Gdy jego głos wciąż gadał z magnetofonu, profesor podniósł ową wielką drucianą klatkę i wskazał mi gestem, że mam do niej wejść. Zawahałem się. Bezceremonialnie wpechnął mnie do środka, wszedł tam za mną, wziął mnie za rękę i pociągnął, dając znak, bym usiadł przy nim na podłodze. Sam usiadł naprzeciw mnie, ze skrzyżowanymi nogami, których spiczaste kolana sterczały spod kitla. Usłuchałem go. Wszystko razem przypominało scenę z kiepskiego filmu o zwariowanym uczonym. W klatce też wiły się na różne strony przewody, połączył dwa, i rozległo się ciche, monotonne brzęczenie. Tymczasem jego głos wciąż biegł z magnetofonu leżącego na zewnątrz obok krzesła. Lax sięgnął za siebie po dwa grube, czarne, podobne do obróżek naszyjniki, jeden założył sobie przez głowę na szyję, drugi dał mi pokazując, abym uczynił to samo, wetknął sobie do ucha kabelek zakończony wtyczką kształtu małej oliwki i wciąż na migi dał mi znać, abym postąpił tak samo. Magnetofon gadał głośno dalej, ale usłyszałem w uchu to, co mówił do mnie.

- Teraz porozmawiamy. Może pan zadawać pytania, ale tylko inteligentne. Nikt nas nie usłyszy. Jesteśmy ekranowani. Dziwi się pan? Nie ma się co dziwić. Zaufanym też nie ufają, i to słusznie.

- Mogę mówić? - spytałem. Siedzieliśmy na podłodze w tej klatce tak blisko, że nasze kolana prawie się stykały. Magnetofon wciąż gadał.

- Może pan. Na każdą elektronikę jest inna elektronika. Znam pana z książek. Te wszystkie śmiecie tutaj to dekoracje. Dostał pan awans na herosa. Misja księżycowego zwiadu. Poleci pan.

- Polecę - powiedziałem. Mówił nie poruszając prawie ustami. Słyszałem go doskonale, przez ten mikrofon w uchu. Było to dziwaczne, ani słowa, ale postanowiłem przyjąć narzucone reguły gry.

- Wiadomo, że pan poleci. Tysiąc ludzi będzie pana wspierało z Ziemi. Niezawodna Lunar Agency. Tyle że jest rozrywana od środka.

- Agencja?

- Tak. Wyposażą pana w serię nowych zdalników. Ale naprawdę jest coś wart tylko

jeden. Mój. Zupełnie nowa technologia. Z prochuś powstał, w proch się obrócisz i znowu powstaniesz. Pokażę go panu później. Miałem to panu zademonstrować. Ale przedtem otrzyma pan ode mnie wiatyk. Zbawienne wskazówki na drogę. - Podniósł palec. Jego oczy, małe i okrągłe za grubymi szklami, uśmiechały się do mnie z dobroduszną chytrą.

- Usłysz pan to, co chcieli, ale najpierw to, czego nie chcieli. Zrobię to, bo tak chcę. Jestem człowiekiem staroświeckich zasad. Proszę słuchać. Agencja jest instytucją międzynarodową, ale nie mogła zaangażować aniołów. Na dalekim perymetrze, na jakimś Marsie dajmy na to, musiałby pan działać sam. Sam przeciw Tebom. Natomiast na Księżycu będzie pan tylko koniuszkiem piramidy. Z ziemskim zespołem strategicznego wsparcia. Wie pan, kto będzie w tym zespole?

- Nie ze wszystkim. Większość tych ludzi znam. Cybbilkisów, Tottentanza. Poza tym jest tam doktor Lopez. No i Sultzer i reszta - a co? O co chodzi?

Pokiwał melancholijnie głową. Musieliśmy wyglądać raczej śmiesznie pod tą wysoką drucianą klatką, w nieustającym, jakby owadziim brzęczeniu, z którym mieszał się jego głos na zewnątrz - z magnetofonu.

- Ci wszyscy faceci reprezentują rozmaite sprzeczne interesy. Inaczej nie może być.

- Mogę mówić wszystko? - spytałem, przeczuwając już, do czego zmierza ten dziwak.

- Może pan. Podług tego, co pan ode mnie usłyszysz, nie powinien pan dowierzać nikomu. To znaczy mnie też nie. Ale komuś musi pan jednak zawierzyć. Cały pomysł z przeprowadzką - wskazał palcem sufit - i z regułą ignorancji był, rzecz jasna, wyzbyty sensu. To musiało się tak skończyć. O ile to jest koniec. Sami nawarzyli sobie tego piwa. Co prawda inaczej nie mogło być. Dyrektor mówił panu o czterech zniszczonych niemożliwościach. Co?

- Mówił.

- Jest i piąta. Chcą się dowiedzieć prawdy i nie chcą. To znaczy, nie każdej prawdy. I nie wszyscy tak samo. Rozumie pan?

- Nie.

Rozmawialiśmy tak siedząc na podłodze naprzeciw siebie, ale słyszałem go jak przez telefon. On mnie też. Prąd brzęczał, magnetofon wciąż gadał, a on, mrugając często za szklami, oparłszy ręce na kolanach, mówił bez pośpiechu:

- Urządziłem się tak, żeby zatkać podsłuch. Wszystko jedno, czyj i dla kogo. Chcę zrobić, co mogę, bo uważam, że tak należy. Zwykła przyzwoitość. Podziękowania są zbędne. Będą pana wspierali. Ale zdrowiej będzie zatrzymać dla siebie pewne fakty. To nie ma być spowiedź. Nie wiemy, co zaszło na Księżycu. Sibelius i inni tacy jak on sądzą, że ewolucja poszła tam wstecznym biegiem. Rozwój instynktów zamiast rozwoju inteligencji. Broń

inteligentna nie jest bronią optymalną. Może się, dajmy na to, przestraszyć. Może się jej odechcieć być bronią. Może wpaść na rozmaite koncepty. Żołnierz, żywy czy martwy, nie powinien mieć żadnych własnych konceptów.

Inteligencja to wielowymiarowość czynu, to znaczy wolność. Ale nic z tego. Tam jest zupełnie inaczej. Poziom ludzkiej inteligencji został przekroczony.

- Skąd pan to wie?

- Stąd, że kto sieje ewolucję, ten zbiera rozum. A rozum nie chce nikomu służyć. Chyba że musi. A tam nie musi. Ale nie mam zamiaru mówić o tym, co jest tam, bo nie wiem. Chodzi o to, co jest tutaj.

- To znaczy?

- Lunar Agency miała uniemożliwić zdobycie informacji z Księżyca. Skończyło się tym, że to właśnie ma zrobić. Po to pan poleci. Albo wróci pan z niczym, albo z wiadomościami bardziej niszczącymi od bomb atomowych. Co pan woli?

- Zaraz. Proszę nie mówić aluzjami. Uważa pan swoich kolegów za przedstawicieli jakichś wywiadów? Za agentów? Tak?

- Nie. Ale pan może do tego doprowadzić.

- Ja?

- Tak. Równowaga trwająca od traktatu genewskiego jest chwiejna. Wróciwszy, może pan stare zagrożenie zmienić na nowe. Nie może pan zostać zbawcą świata. Zwiastunem pokoju.

- Dlaczego?

- Program księżycowych przenosin ziemskich konfliktów był w zarodku skażony. Inaczej nie mogło być. Kontrola zbrojeń została uniemożliwiona ich mikrominiaturyzacyjnym zwrotem. Można policzyć rakiety i sztuczne satelity, ale nie można policzyć sztucznych bakterii. Ani sztucznych klęsk żywiołowych, ani tego, co spowodowało spadek naturalnego przyrostu ludności w Trzecim Świecie. Ten spadek był konieczny. Tyle że po dobru nie dało się go urzeczywistnić. Można wziąć pod pachę parę osób i wytłumaczyć im, co jest dla nich korzystne, a co zgubne. Ale ludzkości nie weźmie pan pod rękę i nie wytłumaczy jej tego, prawda?

- Jaki to ma związek z Księżycem?

- Taki, że zagłada nie została zlikwidowana, tylko przemieszczona w przestrzeni i w czasie. To nie mogło trwać wiecznie. Stworzyłem nową technologię, którą można zastosować w telematyce. Do budowy dyspersantów. Zdalników zdolnych do odwracalnej dyspersji. Nie chciałem, żeby posłużyła Agencji, ale stało się. - Podniósł obie ręce, jakby się poddawał.

- Ktoś z moich pracowników przekazał im to. Nie wiem na pewno który i nie uważam tego za specjalnie ważne. Pod wielkim ciśnieniem musi nastąpić przeciek. Każda lojalność ma granicę. - Powiódł ręką po błyszczącej łysinie. Magnetofon wciąż gadał. - Mogę zrobić jedną rzecz: Mogę udowodnić, że dyspersyjna telematyka jeszcze nie jest zdatna do użytku. To mogę. Na jakiś rok, powiedzmy. Potem zorientują się, że ich oszukałem. Co pan chce, żebym zrobił?

- Czemu ja mam decydować? I po co?

- Jeżeli wróci pan z niczym, nikt nie będzie się panem interesował. Jasne?

- Chyba tak.

- Ale jeśli pan wróci z wiadomościami, konsekwencje będą nieobliczalne.

- Dla mnie? To mnie pan chce ratować? Z sympatii?

- Nie. Żeby uzyskać zwłokę.

- W rozpoznaniu Księżyca? To pan uważa za wykluczone tę szykowaną tam inwazję Ziemi? Sądzi pan, że to tylko zbiorowa histeria?

- Oczywiście. Zbiorowa histeria czy nie histeria, ale pogłoski i ruchy, wywołane z pełnym rozmysłem - przez pewne państwo lub państwa.

- Po co?

- Żeby rozsadzić doktrynę ignorancji i wrócić do polityki prowadzonej po staremu. Podług Clausewitza.

Milczałem, bo nie wiedziałem, co powiedzieć - ani co myśleć o jego słowach.

- Ale to tylko pańskie przypuszczenie - odezwałem się wreszcie.

- Tak. List, który Einstein napisał do Roosevelta, też był oparty tylko na przypuszczeniu, że można zbudować bombę atomową. Żałował go do końca życia.

- Aha, rozumiem - a pan nie chce żałować?

- Bomba atomowa powstałaby i bez Einsteina. Moja technologia też. Im później jednak, tym lepiej.

- *Après nous le deluge!*

- Nie, to coś innego. Strach przed Księżycem został rozbudzony umyślnie. Tego jestem pewien. Wracając po udanym zwiadzie, jeden strach zamieni pan na inny. Ten inny może być gorszy, bo bardziej realny.

- Wreszcie zrozumiałem. Pan chce, żeby mi się n i e powiodło

- Tak. Ale tylko z pańską zgodą.

- Dlaczego?

Jego wiewiórcza, złośliwa małymi oczkami brzydota nagle znikła. Zaśmiał się

bezgłośnie z otwartymi ustami.

- Już powiedziałem panu, dlaczego. Jestem człowiekiem staroświeckich zasad, a to *znaczy fair play*. Musi pan mi zaraz odpowiedzieć, bo już mnie nogi bolą.

- Trzeba było położyć tu ze dwie poduszki - zauważyłem. - A co do tej - tej techniki z dyspersją, proszę mi ją ofiarować.

- Nie wierzy pan w to, co mówiłem?

- Wierzę i właśnie dlatego tak chcę.

- Zostać Herostratesem?

- Postaram się nie podpalić świątyni. Czy możemy już wyjść z tej klatki?

## V. LUNAR EFFICIENT MISSIONARY

Start przesuwano osiem razy. Podczas odliczania ujawniały się awarie. Raz wysiadła klimatyzacja, raz rezerwowy komputer zameldował zwarcie, którego nie było, raz było zwarcie, którego nie przekazał kontroli główny komputer, a przy dziesiątym *count-down*, kiedy już wyglądało na to, że polecę, odmówił posłuszeństwa *LEM* numer siedem. Leżałem opatulony i obandażowany czepliwymi taśmami z tysiącem sensorów jak mumia faraona w sarkofagu, w zamkniętym hełmie, z laryngofonem u krtani i z rurką pojemnika soku pomarańczowego w ustach, z jedną dłonią na dźwigni awaryjnego wyrzutnika a z drugą na rękojeści sterów, usiłując myśleć o rzeczach miłych i odległych, żeby nie tłukło mi się serce, obserwowane przez ośmiu kontrolerów na ekranach wraz z ciśnieniem krwi, napięciem mięśni, wydzielaniem potu, ruchami gałek ocznych oraz elektryczną przewodliwością ciała, które zdradza, w jakim strachu przebywa dzielny astronauta, czekając na sakramentalne ZERO i na grzmot, co ma mnie pchnąć w górę, lecz za każdym razem dochodził mnie, poprzedzony soczystym przekleństwem, głos Wivitcha, głównego koordynatora, powtarzający STOP! STOP! STOP! Nie wiem, czy winne były moje uszy, czy coś nie grało w mikrofonach, ale jego głos dudnił jak w pustej beczce, lecz nawet o tym nie wspomniałem wiedząc, że jeśli pisnę słowo, wezmą się do badania akustyki hełmu, przyciągnąwszy speców od rezonansu i będzie to trwało w nieskończoność.

Ostatnia awaria, nazwana przez techników obsługi buntem *LEMa*, była rzeczywiście zaskakująca i idiotyczna, bo pod wpływem impulsów kontroli, które miały tylko sprawdzić jego wszystkie agregaty, zaczął się ruszać i zamiast zamrzeć po wyłączeniu, zadygotał i zebrało mu się na wstawanie. Jak nieprzytomny bałwan zaczął się szamotać z mocującymi pasami, omal nie rozerwał tej upręży, chociaż po kolei wyłączali wszystkie przewody zasilania i nie wiedzieli, skąd mu się to bierze. Był to ponoć jakiś uciek czy przeciek prądów. Impedancja, pojemność, rezystancja. Kiedy technicy nie wiedzą, co się dzieje, bogactwem słownictwa dorównują lekarzom przy konsylium nad beznadziejnym przypadkiem. Jak wiadomo, jeśli cokolwiek może się zepsuć, na pewno się kiedyś zepsuje, a w systemie złożonym z dwustu dziewięćdziesięciu ośmiu tysięcy głównych obwodów i scalonych bloków żadne dublowanie nie daje stuprocentowej pewności. Stuprocentową pewność, powiedział Halevala, starszy technik obsługi, daje tylko nieboszczyk, tę mianowicie, że nie wstanie. Halevala lubił mówić, że Pan Bóg, stwarzając świat, nie wziął pod uwagę statystyki i dlatego, kiedy zaczęły się awarie, i to już w raju, użył cudów, ale było za późno, bo nawet cuda nie

pomogły. Zirytowany Wivitch żądał, żeby Dyrektor usunął Halewałę, który przynosi nam pecha. Dyrektor wierzył w pecha, ale rada naukowa, do której odwołał się Finlandczyk, nie wierzyła, więc został na swoim stanowisku. W takiej atmosferze szykowałem się do misji księżycowej.

Nie wątpiłem, że i nad Księżycem coś nawali, choć symulacje, kontrole i obliczenia powtarzano do upadłego. Byłem tylko ciekaw, kiedy to nastąpi i w jaki kompot wówczas wpadnę. Gdy wszystko grało raz jak złoto, sam przerwałem *count-down*, bo zbyt silnie zabandażowana lewa noga zaczęła mi mrowić, i jak zmartwychwstały w grobowcu faraon przez fonię klóciłem się z Wivitchem, który twierdził, że samo zaraz mi przejdzie i że nie można zbyt poluzować tych bandaży. Uparłem się jednak i musieli mnie przez półtorej godziny wypakowywać i wyłuskiwać ze wszystkich kokonów. Okazało się, że ktoś - ale naturalnie nikt się nie przyznał - pomógł sobie przy zaciąganiu zaczepów dzyndzołkiem, którego używa się do nabijania i czyszczenia fajki i zostawił go pod taśmą opasującą moje podkolanie. Z litości poprosiłem, żeby nie wszczęli dochodzenia, chociaż domyślałem się, kto był winien, bo wiedziałem kto z moich opiekunów pali fajkę. W niezwykle sensacyjnych opowieściach o podróżach do gwiazd nigdy się takie rzeczy nie zdarzają. Nigdy się w nich nie przytrafia, żeby choć napchany odpowiednimi środkami, astronauta pojechał do Rygi albo żeby obsunęła mu się nasadka pojemnika służącego folgowaniu naturalnym potrzebom fizjologicznym, przez co człowiek może nie tylko się obsusiać, ale i napełnić siuškami skafander. To właśnie zdarzyło się pierwszemu amerykańskiemu astronautcie podczas lotu suborbitalnego, lecz ze zrozumiałych historyczno-patriotycznych względów NASA przemilczała ów fakt przed prasą, a gdy się do niej na koniec dostał, nikogo już astronautyka nie interesowała.

Im bardziej się starają, im bardziej dbają o człowieka, tym bardziej prawdopodobne, że jakiś zaplątany kabelek będzie pił pod pachą, sprzączka wciśnie się gdzie nie trzeba i można zwariować od łaskotek. Kiedy zaproponowałem raz, aby w skafandrze umieszczono sterowane odpowiednio z zewnątrz drapaczki, wszyscy uznali to za kawał i śmiali się oprócz rutynowanych astronautów, ci bowiem wiedzieli, o czy mówię. To ja wykryłem Prawo Tichego, powiadające, że jako pierwsza zaczyna świerzbić i łaskotać ta część ciała, w którą żadnym sposobem nie można się podrapać. Łaskotki te ustają dopiero, gdy następuje jakaś poważniejsza awaria, wtedy bowiem włosy stają dęba, mrowie leci po skórze, a resztę robią zimne poty, co biją na człowieka. Jest to najświętsza prawda, lecz Autorytety uznały, że nie wolno o tym mówić, bo to się źle rymuje z Wielkimi Krokami Człowieka Zmierzającego do Gwiazd. Ładnie by Armstrong wyglądał, gdyby schodząc po szczebelkach tego pierwszego

*LEMa* zamiast o tych Wielkich Krokach zauważył, że łaskoczą go gacie, bo się obsunęły. Zawsze uważałem, że panowie kontrolerzy lotu, którzy siedzą wygodnie rozwaleni w fotelach i popijając piwo z puszek, dają zrobionemu w mumię astronautcie dobre rady, jako też użyczają mu słów zachęty i pokrzepienia, powinni najpierw sami położyć się na jego miejscu.

Ostatnie dwa tygodnie spędzone w bazie były przykre. Doszło do nowych zamachów na Ijona Tichego. Nawet po przygodzie z fałszywą Marylin Monroe nie powiedziano mi, że przychodzące do mnie listy bada uprzednio specjalna aparatura do rozbrajania korespondencji. Balistyka epistolarna, jak ją zwą specjaliści, jest już tak rozwinięta, że ładunek, zdolny rozerwać adresata na kawałki, może tkwić między kartkami złożonych we dwoje pozdrowień gwiazdkowych lub, żeby było zabawniej, urodzinowych życzeń szczęścia i zdrowia. Dopiero po śmiertcionośnym liście profesora Tarantogi, który omal nie wyprawił mnie na tamten świat, i po awanturze, jaką wtedy zrobiłem, pokazano mi tę maszynę, w pancernym pomieszczeniu ze specjalnymi, skośnie ustawionymi blokami stali, co mają gasić udar eksplozji. Listy otwiera się zdalnymi chwytnikami i to po uprzednim prześwietleniu promieniami Roentgena oraz ultradźwiękiem, żeby urządzenie splotkowe wybuchło, jeśli jest w kopercie. Ten list wcale jednak nie wybuchnął i naprawdę napisał go Tarantoga, więc mi go przynieśli, a uszedłem cało dzięki subtelnemu zmysłowi powonienia. List pachniał bowiem jakby rezedą czy lawendą, co wydało mi się dziwne, wręcz podejrzanе, Tarantoga jest bowiem ostatnim człowiekiem, gotowym słać wonną korespondencję. Kiedy więc rzuciwszy okiem na słowa "Kochany Ijonie", zacząłem się śmiać, pojąłem w lot, iż śmieję się, chociaż wcale nie jest mi wesoło, a posiadając nadzwyczaj wysoką inteligencję, nie śmieję się nigdy jak idiota bez powodu, mój śmiech nie jest zatem naturalny. Zrobiłem na wszelki wypadek nader roztropną rzecz, wepchnąłem mianowicie list pod szklaną płytę, przykrywającą moje biurko, żeby czytać przez szkło. Dzięki Bogu miałem też właśnie katar. Wysiąkałem więc nos. Rada Naukowa rozważała potem, czy siąkałem odruchowo, czy przez momentalną konkluzję detektywistyczną, bo sam nie byłem pewien co i jak. W każdym razie tylko przez to wchłonałem niezwykle małą dawkę preparatu, jakim nasycono ów list. Był to całkiem nowy preparat. Śmiech jaki wzbudzał, stanowił tylko uverturę do czkawki tak uporczywej, że ustawała dopiero pod głęboką narkozą. Od razu zatelefonowałem do Lohengrina, który sądził zrazu, że robię jakieś głupie kawały, bo mówiąc do niego zrywałem boki ze śmiechu. Z neurologicznego stanowiska śmiech jest pierwszym stopniem czkawki. W końcu rzecz się wyjaśniła, list zabrało dwu facetów w maskach do laboratorium, a doktor Lopez i jego koledzy zaczęli mnie ratować czystym tlenem i kiedy już tylko chichotałem, zmusili mnie do czytania wszystkich wstępnych artykułów w gazetach tego i poprzedniego dnia. Nie miałem

najmniejszego pojęcia, że pod moją nieobecność prasa, podobnie jak telewizja, rozpadła się na dwoje. Są gazety oraz programy nadające wszystko jak leci i są takie, co przynoszą wyłącznie dobre wiadomości. Mnie karmiono dotąd tymi drugimi i dlatego odnosiłem w bazie wrażenie, że świat naprawdę wypiękniał po zawarciu traktatów genewskich. Można było wszak sądzić, że przynajmniej pacyfiści czują się już w pełni usatysfakcjonowani, ale gdzie tam. O duchu nowych czasów mogła zaświadczyć książka, którą pożyczył mi raz doktor Lopez. Autor dowodził, że Jezus był dywersantem, nasłanym, żeby przez miłość bliźniego doprowadzić do rozpadu żydowskiej jedności podług reguły *divide et impera*, co się udało, oraz do zagłady rzymskiego cesarstwa, co też się powiodło, tyle że trochę później. Sam Jezus nie miał najbledszego wyobrażenia o tym, że jest dywersantem i apostołowie też nic nie wiedzieli, działając w najlepszych intencjach, wszelako wiadomo, co jest wybrukowane takimi właśnie intencjami. Ten autor, którego nazwisko niestety zapomniałem, utrzymywał, że każdego, kto głosi miłość bliźniego i pokój ludziom dobrej woli, trzeba od razu zaprowadzić na najbliższy komisariat policji, żeby ustalić, kto się za tym naprawdę ukrywa. Nic zatem dziwnego, że pacyfiści już się przekwalifikowali. Część objęła akcją protestacyjną straszny los smacznych zwierząt. Mimo to konsumpcja kotletów ani wędlin nie spadła. Inni głosili potrzebę bratania się ze wszystkim, co żyje, a w niemieckim Bundestagu zdobyła osiemnaście miejsc partia probakteryjna głosząca, że mikroby mają akurat takie samo prawo do istnienia jak my, więc nie wolno ich mordować lekarskimi, trzeba je natomiast przestrajac genetycznie, czyli obłaskawiac, żeby zaczęły się żywić zamiast ludźmi czymś innym. Powszechna życzliwość wprost szalała. Nie było jedynie zgody w kwestii, kto stoi na przeszkodzie jej rozprzestrzenianiu się, oprócz zgody na to, że wrogów życzliwości i dobroci należy wykańczać. U Tarantogi widziałem ciekawą nową encyklopedię, mianowicie *Leksykon strachu*. Dawniej, jak wyjaśniała ta księga, strach miał źródło w Nadprzyrodzonym: w czarach, urokach, jędzach z Łysej Góry, w heretykach, ateistach, czarnych magiach, demonach, duszach pokutujących, w rozwiązłym życiu, w abstrakcyjnej sztuce, w wieprzowinie, natomiast w epoce przemysłowej przeprowadził się do jej produktów. Nowy strach oskarżał o zgubne działanie pomidory (wywołują raka), aspirynę (wypala dziury w żołądku), kawę (rodzą się po niej garbate dzieci), masło (wiadomo - skleroza), herbatę, cukier, auta, telewizję, dyskoteki, pornografię, ascezę, środki antykoncepcyjne, naukę, papierosy, elektrownie atomowe oraz wyższe wykształcenie. Wcalem się nie dziwił powodzeniu tej encyklopedii. Profesor Tarantoga uważa, że ludziom trzeba dwóch *rzeczy*. Po pierwsze odpowiedzi na pytanie KTO, a po drugie na pytanie CO. Przy pierwszym pytaniu chodzi o to, KTO jest wszystkiemu winien. Odpowiedź ma być krótka, wskazująca, jasna i wyraźna. Po

wtóre, ludziom potrzebne jest to, CO stanowi tajemnicę. Już od dwustu lat uczeni irytowali wszystkich tym, że wiedzieli zawsze więcej i lepiej. Jakże miło ich ujrzyć bezradnych wobec trójkąta bermudzkiego, latających talerzy, duchowego życia roślin. Czy to nie satysfakcjonuje, gdy prosta paryżanka w klimakterze zna całą przyszłość polityczną świata, natomiast profesorowie są w tym ciemni jak tabaka w rogu.

Ludzie, powiada Tarantoga, wierzą w to, w co chcą wierzyć. Wziąć choćby taki rozkwit astrologii. Astronomowie, którzy na zdrowy rozum powinni o gwiazdach wiedzieć więcej niż wszyscy inni ludzie razem wzięci, twierdzą, że gwiazdy mają nas gdzieś. Są to olbrzymie kule rozżarzonych gazów, kręcące się od początku świata i związek ich z naszym losem jest na pewno znacznie mniejszy niż skórki od banana, na której można się pośliznąć i złamać nogę. Jednakowoż nikt nie interesuje się skórkami bananów, natomiast poważne pisma ogłaszają astrologiczne horoskopy i są nawet kieszonkowe komputerki, które można przed dokonaniem giełdowej transakcji spytać, czy gwiazdy jej sprzyjają. Ten, kto głosi, że łupina owocu może wywrzeć większy wpływ na los człowieka aniżeli wszystkie planety z gwiazdami razem wzięte, nie będzie wysłuchany. Facet przyszedł na świat, ponieważ jego rodziciel nie wycofał się, aby tak rzec, w porę, i przez to właśnie został jego rodzicielem. Jego rodzicielka, widząc co się stało, brała chininę, skakała równymi nogami z szafy na podłogę, ale to jakoś nie pomogło. Facet pojawia się więc, kończy jakąś szkołę i pracuje w sklepie z szelkami, na poczcie lub w biurze meldunkowym. Naraz dowiaduje się, że jest całkiem inaczej. Planety tworzyły specjalną koniunkcję, znaki zodiaku układały się z uwagą i wytrwałością w taki szczególny wzór, jedna połowa niebiosów zmawiała się z drugą po to, żeby on mógł powstać i stać za ladą bądź siedzieć za biurkiem. To podnosi na duchu. Cały wszechświat kręci się wokół niego i nawet jeśli mu nie sprzyja, nawet jeżeli gwiazdy ułożą się tak, że producent szelek robi plajtę, a on traci przez to posadę, przecież jest to miłsze, niż wiedzieć, gdzie gwiazdy mają go naprawdę i w jakiej mierze się o niego troszczą. Wybij mu to z głowy, razem z wiadomością o sympatii, jaką darzy go jego kaktus w doniczce pod oknem, i co zostanie? Bosa, biedna, goła pustka i beznadziejna rozpacz. Tako rzecze profesor Tarantoga, ale widzę, że zbyt daleko odskoczył od tematu.

Wystrzelili mnie na okołoziemską orbitę 27 października i spowity czujnikową bielizną jak niemowlę powijakami obserwowałem ojczysty glob z wysokości dwustu sześćdziesięciu kilometrów, słysząc, jak technicy w bazie wydają okrzyki satysfakcji i zaskoczenia, że jednak się tym razem udało. Mój pierwszy stopień - mam na myśli główny *booster* - odłączył się jak należało co do ułamka sekundy nad Pacyfikiem, ale drugi nie chciał i musiałem mu pomóc. Spadł gdzieś bodaj w Andach. Po sakramentalnych życzeniach

szerokiej drogi wziąłem się sam za stery i pomknąłem przez najniebezpieczniejszą strefę ku Księżycowi. Nie macie pojęcia, ile żelastwa różnych starych sputników cywilnych i wojskowych okrąży Ziemię. Jest ich coś osiemnaście tysięcy, nie licząc tych, które po trochu rozleciały się i są najgroźniejsze, bo małe, że ledwie je widać w radarze. Ponadto pełno w próżni zwyczajnego śmiecia, odkąd wszelkie szkodliwe odpadki z radioaktywnymi na czele wywozi się z Ziemi śmietnikowcami. Leciałem więc z zachowaniem najwyższej ostrożności, aż zrobiło się rzeczywiście pusto. Dopiero wówczas odpiąłem wszystkie pasy i zacząłem sprawdzać stan moich *LEMów*.

Włączałem kolejno każdego, ażeby się w nim poczuć i oglądałem wewnątrz ładowni jego krystalicznymi oczami. Tych zdalników miałem naprawdę dziewiętnaście, lecz ostatni mieścił się osobno, w pojemniku zawierającym podług napisów puszki z sokiem owocowym, a to dla zmylenia niepowołanych osób. Kamuflaż ów nie wydawał mi się zbyt chytry, bo podług rozmiarów tego kontenera można by uznać, że będę się w tych sokach kąpał. Wewnątrz tkwił hermetycznie opieczętowany cylinder jasnoniebieskiego koloru, oznaczony literami ITEM, czyli INSTANT ELECTRONIC MODULE. Był to zdalnik w proszku, *Top Secret*, dzieło Laxa, a użyć miałem go jedynie w wypadku najwyższej konieczności. Znałem zasadę jego działania, ale nie wiem jeszcze, czy zdradzić ją już teraz. Nie chciałbym obrócić mej opowieści w katalog produktów Gynandroics oraz teleferycznej komórki Lunar Agency. *Lunar Excursion Missionary* numer pięć zaraz po włączeniu dostał lekkich drgawek. Ponieważ był sprzężony ze mną zwrotnie, zacząłem trząść się cały jak w febrze i szczękać zębami. Podług informacji winienem był natychmiast zawiadomić bazę o tym defekcie, lecz wolałem tego nie robić, wiedząc z praktyki, co będzie. Natychmiast wezwą całe gremium konstruktorów, projektantów, inżynierów i znawców elektronicznej patologii, ci zaś, żli przede wszystkim na mnie, żem podniósł hałas o takie głupstwo jak lekka konwulsja, która sama przecież może minąć, poczną dawać mi przez radio sprzeczne zalecenia, co z czym połączyć, a co rozłączyć, jakim amperażem huknąć w tego biedaka, bo szok elektryczny pomaga czasem, i to nie tylko ludziom, zebrać zmysły do kupy. Jeśli usłucham ich, wywoła to jego nowe, niespodziewane reakcje, więc każą mi spokojnie czekać, a sami wezmą się do analogowego lub cyfrowego modelowania tego *LEMa*, oraz ewentualnie mnie, na głównym symulatorze, i będą się przy nim spierali do upadłego, od czasu do czasu namawiając mnie do zachowania zimnych nerwów. Zespół rozpadnie się na dwa lub trzy obozy, podobnie jak to zachodzi z wybitnymi lekarzami podczas konsylium. Być może każą mi zleźć do ładowni przez wewnętrzną klapę z podręcznymi narzędziami, otworzyć *LEMowi* brzuch i skierować nań przenośną kamerę telewizyjną, bo całą elektronikę ma zdalnik w brzuchu: w głowie nie

starczy dla niej miejsca. Będę więc operował pod batutą znawców i jeśli przypadkiem coś z tego będzie, zasługę przypiszą sobie, jeśli natomiast nic nie uda się zrobić, wina spadnie na mnie za nieudolność. Kiedy jeszcze nie było żadnych robotów ani zdalników i nadzwyczajnym zbiegiem okoliczności nie psuły się pokładowe komputery, psuło się coś prostszego, na przykład klozet w Kolumbii podczas próbnego lotu.

Tymczasem oddaliłem się już od Ziemi o 150 000 kilometrów i byłem coraz bardziej rad z przemilczenia defektu *LEMa*. Przemierzony szlak oznaczałby ponad sekundę zwłoki przy rozmowach z bazą, prędzej czy później coś trzasłoby mi pod palcami, w stanie nieważkości trudno o subtelne ruchy, błysnęłyby maluśki ogienek na znak, że zrobiłem krótkie zwarcie i po sekundzie usłyszałbym chór głosów z odpowiednimi komentarzami. Teraz, orzekliby, skoro Tichy wszystko spaprał, nic się już nie da zrobić. Zaoszczędziłem więc irytacji zarówno im, jak i sobie.

Im bardziej zbliżałem się do Księżyca, tym więcej zbędnych rad i przestróg otrzymywałem drogą radiową, aż wreszcie oświadczyłem, że jeśli nie przestaną zawracać mi głowy, wyłączę radio. Księżyc znam jak własną kieszeń z dawnych lat, kiedy był jeszcze aktualny projekt przerobienia go na ekspozyturę Disneylandu. Okrążyłem go trzy razy na wysokiej orbicie i zacząłem nad Oceanus Procellarum powolutku schodzić w dół. Z jednej strony widziałem Mare Imbrium, a z drugiej krater Erathostenesa, dalej Murchisona i Sinus Medii aż po Mare Nibium. Byłem już tak nisko, że dalszą część ostatecznej powierzchni Księżyca zasłonił mi jego biegun. Znajdowałem się przy dolnym pułapie Strefy Milczenia. Do tej pory nie zaszło nic nieoczekiwanego, jeśli nie liczyć dwu pustych puszek po piwie, które nabrały życia podczas moich manewrów. Kiedy przyhamowałem, puszki te, porzucone, jak zwykle, przez techników w pośpiechu, wydostały się skądś i zaczęły latać po całej kabinie, od czasu do czasu zderzając się z blaszanym grzechotem to po kątach, to nad moją głową. Greenhorn próbowałby je łapać, ale ani mi to postało w głowie. Zmieniłem orbitę i przeleciałem nad Taurusem. Gdy rozpostarło się przede mną wielkie Mare Serenitatis, dostałem z tyłu w hełm coś tak nagle, ażem podskoczył. Było to blaszane pudełko po keksach, widać służyły obsłudze statku za przekąskę do piwa. W bazie usłyszano ów trzask i zaraz posypały się pytania, wyjaśniłem jednak kłami, że chciałem jedynie podrapać się w głowę, a mając ją w hełmie uderzyłem w tę banię rękawicą. Zawsze staram się być ludzki i pojmuję, że technicy muszą zostawiać w rakiecie różne rzeczy. Tak było, tak jest i tak będzie. Przeleciałem przez strefę wewnętrznej kontroli bez kłopotu, bo jej satelitom rozkazano z Ziemi, żeby mnie przepuściły. Chociaż program tego nie przewidywał, parę razy włączyłem dość ostro hamownicę, a to, ażeby wytrząsnąć zewsząd dalsze pozostałości montażu i

przeгляdu rakiety. Jak ogromna ćma zatrzepotał zeszyt komiksu, wepchnięty pod szafę rezerwowego układu selenograficznego. Zrobiwszy błyskawicznie inwentarz: dwa razy piwo, raz keksy, raz komiks - uznałem, że dalszych niespodzianek powinienem oczekiwać już z napięciem.

Księżyc widziałem jak na dłoni. Nawet przez dwudziestokrotną lunetę wydawał się martwy, bezludny i pusty. Wiedziałem, że komputerowe zakłady poszczególnych sektorów spoczywają dobrych kilkadziesiąt metrów pod powierzchnią mórz, to znaczy tych wielkich równin utworzonych ongiś przez rozlewiska lawy, a wkopano je tak głęboko, żeby nie mogły zostać uszkodzone upadkiem meteorów. Mimo to ze szczególną uwagą przepatrzyłem Mare Yaporum, Mare Tranquilitatis i Fecunditatis (ci dawni astronomowie, którzy tak wdzięcznie ochrzcili owe rozległe skamieliny, odznaczali się niezgorszą fantazją), a potem za drugim okążeniem Mare Crisium i Frigoris, myśląc sobie, że jakiś chociaż drobny ruch uda mi się tam dostrzec. Szkła miałem najwyższej klasy, na skłonach kraterów mógłbym liczyć przez nie żwir, a przynajmniej kamienie wielkości głowy ludzkiej, ale nic nie ruszało się tam i to właśnie najmocniej mnie intrygowało.

Gdzież były te legiony zbrojnych automatów, te roje pancernych pełzaków, te kolosy i nie mniej od nich śmiertcionośne liliputy, od tylu lat już bezustannie rodzące się w księżycowych podziemiach?

Nic, tylko osypiska głazów i kratery od największych po małe jak talerz, bruzdy promieniście lśniącej starej magmy wokół Kopernika, uskoki Huygensa, bardziej ku biegunowi Archimedes, Cassini, na horyzoncie Plato, a wszędzie ta sama martwota, wprost nie do pojęcia. Wzdłuż południka, wyznaczonego przez Flamsteeda, Herodotusa, Rumkera przez Sinus Roris biegło najszersze pasmo ziemi niczyjej i tam właśnie miałem wylądować pierwszym zdalnikiem, po usadowieniu pojazdu na stacjonarnej orbicie. Miejsca tego lądowania nie wyznaczyli mi dokładnie.

Miałem sam o nim zdecydować po wstępnym rozpoznaniu całego południka ziemi niczyjej, a więc prawie na pewno bezpiecznej. O żadnym rozpoznaniu, które dostarczyłoby mi jakichkolwiek taktycznych wskazówek, nie było jednak mowy.

Żeby osiąść na stacjonarnej orbicie, musiałem wzbic się wysoko i po trochu manewrowałem, aż ogromna, cała w słońcu tarcza Księżyca poczęła przesuwać się pode mną coraz wolniej i wolniej. Gdy znieruchomiała na dobre, miałem dokładnie pod sobą Flamsteeda, krater bardzo stary, płaski i płytki, niemal po brzegi zasypany tufem. Wisiałem tak długo, chyba z pół godziny, rozważając, co począć, wciąż wpatrzony w księżycowe rumowiska. Żaden zdalnik nie potrzebował do lądowania rakiety. Miał po prostu w nogach

tulejki hamowniczych dysz, sterowane żyroskopowo i mogłem zjechać nim w dół z pożądaną szybkością, regulując tylko siłę odrzutu. Te dysze były przytwierdzone do nóg tak, aby można je było jednym ruchem odrzucić po miękkim wylądowaniu, razem z pustym zbiornikiem paliwa. Odtąd zdalnik pod moją kontrolą zdany był na księżycowy los, boż wrócić już nie mógł. Nie był to ani robot, ani android, bo nie miał w ogóle własnego pomysłu, był niejako moim narzędziem, przedłużeniem, niezdolnym do najmniejszej inicjatywy, a jednak nieprzyjemnie przychodziło pomyśleć, że bez względu na wynik rekonesansu jest skazany na zagładę, skoro muszę go porzucić w tym trupim pustkowiu. Przyszło mi nawet do głowy, że numer szósty tylko symulował awarię, po to żeby wyjść cało z opresji, skoro on jeden miał wrócić razem ze mną na Ziemię. Refleksja bez sensu, wiedziałem bowiem, że jest to jak każdy inny *LEM*, tylko człekokształtna skorupa, ale świadczyła o moim stanie psychicznym. Nie było jednak na co dłużej czekać. Raz jeszcze przyjrzałem się uważnie szaremu płaskowyzowi, wybranemu za lądowisko, oceniając z grubsza odległość od sterczących nad gruz północnych skał Flamsteeda, po czym przestawiłem stery na automatykę i wcisnąłem klawisz numer jeden. Przeskok wszystkich mych doznań, choć spodziewany i tyle już razy doświadczony, był gwałtowny. Nie siedziałem już w głębokim fotelu przed mrugającymi miarowo światłkami pokładowych komputerów, u lunety, lecz spoczywałem na wznak w koi ciasnej jak trumna, otwartej tylko z jednej strony. Wysunąłem się z niej powoli i w tym pochyleniu zobaczyłem szary, matowy pancierz tułowia, stalowe uda i podudzia z przytroczonymi do nich olstrami hamownic. Powoli wyprostowałem się, czując, jak magnetyczne podeszwy przywierają do metalu podłogi. Dokoła, w podobnych do piętrowych łóżek kojach, takich samych jak ta, w której przed chwilą leżałem, spoczywały nieruchomo korpusy innych zdalników. Słyszałem zarazem własny oddech, ale nie wyczuwałem ruchów klatki piersiowej. Nie bez trudu odrywając na przemian to lewą, to prawą nogę od stalowego dna ładowni, podszedłem do poręczy okalającej wyłaź, ustawiłem się na klapie i objąwszy się ramionami, aby nie zawadzić o obrzeże, kiedy pchnięty z góry łapą wyrzutnika runę w dół, czekałem na odliczanie. Jakoż po kilku sekundach rozległ się bezduszny głos urządzenia, które uprzednio nastawiłem przy sterach. “20 do zera... 19 do zera...” liczyłem razem z owym głosem, teraz już zupełnie spokojny, bo nie było odwrotu. Napiąłem jednak odruchowo mięśnie, słysząc “ZERO” i jednocześnie coś miękko, ale z ogromną siłą, pchnęło mnie tak, że przez studnię otwartą w dnie ładowni poleciałem jak kamień i podniósłszy głowę zdążyłem jeszcze przez chwilę widzieć ciemny kształt statku na ciemniejszym tle nieba z nielicznymi punkcikami słabo tlejących gwiazd. Nim statek zlał się w jedno z czarnym nieboskłonem, poczułem silne pchnięcie u nóg i owiał mnie równocześnie błądy płomień. Rakiетки

hamownic odpaliły i spadałem teraz wolniej, chociaż wciąż jeszcze na tyle szybko, że powierzchnia Księżyca powiększała się, jakby usiłowała mnie przyciągnąć i pochłonać. Płomienie były gorące i czułem to, chociaż tylko jako nierównomierne falowanie ciepła przez gruby pancerz. Wciąż obejmowałem się wpół ramionami i zgiąwszy szyję w karku, ile się dało, patrzyłem na szarozielonkawę teraz gruzowiska i piaszczyste łąchy rosnącego w oczach Flamsteeda. Kiedy nie więcej niż jakichś sto metrów dzieliło mnie od powierzchni zasypanego krateru, sięgnąłem do pasa, po manewrową rękojeść, aby starannie wydozować odrzut przy coraz wolniejszym opadaniu. Poszybowałem w bok, chcąc ominąć wielki chropowaty głaz i opaść równo obiema nogami na piach, ale coś zajaśniało od góry. Dostrzegłszy to, choć na samym skraju pola widzenia, podniosłem głowę i zbaraniałem. Bielejąc na tle czarnego nieba w ciężkim skafandrze, nie więcej niż dziesięć metrów nade mną, opadał pionowo człowiek, od stóp wyżej pasa owiewany bladym płomieniem hamownic, z ręką na ich rękojeści u pasa, coraz wolniej, wyprostowany, wielki, aż zrównał się ze mną i stanął na gruncie w tej samej chwili, kiedy poczułem go pod nogami. Staliśmy o jakieś pięć czy sześć kroków od siebie, nieruchomi jak dwa posągi, całkiem jakby on również osłupiał, że nie jest sam. Był dokładnie mego wzrostu. Hamownice u kolan już wygasły, okręwały jego ogromne księżycowe buty ostatnimi porcjami siwego dymu. Zastygły, zdawał się patrzeć mi prosto w oczy, choć nie widziałem jego twarzy za przeciwsłonecznym szkliwem białego hełmu. W głowie miałem kompletny zamęt. Najpierw pomyślałem, że to zdalnik numer dwa, który został wyrzucony z ładowni w ślad za mną przez jakąś awarię aparatury, lecz nim ta myśl trochę mnie otrzeźwiła, ujrzałem na piersiowej pokrywie jego skafandra wielką czarną jedynekę. Ale ten numer widniał na moim skafandrze i innej jedyńki na pewno nie było w ładowni. Mogłem na to przysiąc. Całkiem bezwiednie ruszyłem więc z miejsca, żeby z bliska zajrzeć mu przez szkła hełmu w twarz, a on uczynił jednocześnie krok w moją stronę i kiedy nie dzieliły nas już ani dwa kroki, zdrętwiałem. Gdyby nie przywierająca do czaszki otulina, włosy wstałyby mi chyba na głowie, bo zajrzałem przez szybę w głąb hełmu. Nie było tam nikogo. Jakby dwa małe, czarne, wcelowane we mnie pręty ciemniały wewnątrz hełmu, nic więcej. Cofnąłem się odruchowo, tak gwałtownie, że omal nie upadł na plecy, tracąc równowagę, bo zapomniałem o niezbędnej powolności ruchów przy słabym ciężeniu, a on też się tak cofnął i wtedy coś mnie oświeciło. Wciąż jeszcze, jak on, trzymałem rączkę regulacji odrzutu prawą ręką. On trzymał ją lewą. Podniosłem wolno rękę, uczynił to samo, poruszyłem nogą on też i już zacząłem rozumieć (choć właściwie nic nie rozumiałem), że jest moim zwierciadlanym odbiciem. Żeby się w tym upewnić, pokonując wewnętrzny opór, podszedłem do niego, a on do mnie, tak że omal zetknęliśmy się

piersiowymi wybrzuszeniami skafandrów. Powoli, jakbym miał dotknąć rozpalonego żelaza, sięgnąłem do jego piersi, a on do mojej, ja prawą ręką, on lewą. Moja pięciopalczysta masywna rękawica zagłębiła się w nim bez śladu - po prostu znikła i zarazem jego ręka znikła po nadgarstek, pograżywszy się w moim skafandrze. Teraz nie miałem już prawie wątpliwości, że jestem sam i stoję przed lustrzanym odbiciem, chociaż nie widziałem ani śladu jakiegokolwiek lustra. Staliśmy tak znieruchomiawszy, a ja już nie na niebo patrzałem, ale na jego najbliższe otoczenie i z boku za jego plecami dostrzegłem ów sterczący z szarawego gruntu głaz, który wyminąłem przed chwilą lądując. Ten głaz znajdował się jednak za mną, byłem tego najzupełniej pewien, a zatem nie tylko widziałem swoje odbicie, lecz i wszystkiego naokoło. Teraz zacząłem szukać oczami miejsca, w którym zwierciadlany obraz kończył się, boż musiał się gdzieś skończyć, przechodząc w nierówności płytkich księżycowych wydm, ale tego szwu, tej granicy nie zdołałem rozpoznać. Nie wiedząc, jak mam postąpić dalej, począłem cofać się i on też poszedł tyłem niby rak, aż oddaliliśmy się od siebie na tyle, że trochę zmalął mi we wzroku, a wtedy nie wiem czemu, jak gdyby nigdy nic odwróciłem się i ruszyłem przed siebie, prosto w dość niskie słońce, które mimo osłony mocno mnie oślepiało. Zrobiwszy kilkadziesiąt kroków tym kaczkowatym, chwiejnym chodem, którego nie można uniknąć na Księżycu, zatrzymałem się, by popatrzeć za siebie. On też stał na szczycie niewielkiej wydmy i zwrócony bokiem patrzył w moją stronę.

Dalsze eksperymenty były już właściwie zbędne. Stałem więc jak słup, ale w głowie aż huczało mi od gorączkowego myślenia.

Uzmysłowiłem sobie naraz, dopiero w tej chwili, że nigdy nie pytałem, czy automaty zwiadowcze, wysłane dotąd na Księżyc przez Lunar Agency, były uzbrojone. Nikt mi nic o tym nie mówił, a ja osioł nie stawiałem takich pytań, bo mi do głowy jakoś nie przyszły. Jeśli były uzbrojone, ich milczenie po lądowaniu, ich nagłe znikanie ujawniało swoją prostą przyczynę, pod warunkiem że były wyposażone w lasery. Należało się w tym upewnić, ale jak? Nie miałem bezpośredniej łączności z ziemską bazą, tylko ze statkiem, wiszącym wysoko nade mną, bo poruszał się z tą samą kątową prędkością co powierzchnia Księżyca, na orbicie stacjonarnej. Naprawdę, to znaczy moją cielesną osobą, znajdowałem się na pokładzie, a w kraterze Flamsteeda stałem jako zdalnik. Żeby porozumieć się z Ziemią, musiałem włączyć nadajnik, to znaczy wewnętrzny przekaźnik w skafandrze, który wyłączyłem rozmyślnie tuż przed opuszczeniem statku, żeby ziemscy opiekunowie nie mogli przeszkodzić mi w koncentracji podczas lądowania radami, a na pewno nie szczędziliby mi ich, gdybym zgodnie z instrukcją został z nimi w radiowym kontakcie.

Przekręciłem więc dobrze uchwytną gałkę na piersi i zacząłem wzywać Ziemię.

Wiedziałem, że odpowiedź przyjdzie z trzy-sekundowym opóźnieniem, ale te sekundy zdawały mi się wiekami. Nareszcie usłyszałem głos Wivitcha. Zasypał mnie pytaniami, ale kazałem mu milczeć, powiedziawszy tylko, że wylądowałem bez szwanku i że jestem w celu numer zero zero, zero, że nic mnie nie atakowało, ale o drugim zdalniku ani pisałem.

- Proszę mi odpowiedzieć, to bardzo ważne, na jedno pytanie - powiedziałem, starając się mówić powoli i flegmatycznie. - Te ZDALNIKI, które wysyłaliście tutaj przede mną, były wyposażone w laser. Jaki to był laser? Neodymowy?

- Znalazł pan ich szczątki? Czy są spalone? Leżą tam, gdzie?

- Proszę nie odpowiadać pytaniami na pytanie - przerwałem mu. - Skoro to jest moje pierwsze słowo z Księżyca, widocznie jest ważne. Jakie lasery mieli obaj zwiadowcy? Lon i ten drugi? Takie same?

Krótką chwilą ciszy. Stojąc bez ruchu, pod czarnym, ciężkim niebem, obok płytkiego krateru, wypełnionego zakrzepłym piachem, widziałem sznurek własnych śladów, ciągnących się przez trzy połogie wydmy ku czwartej u której stało moje odbicie. Nie spuszczałem go z oczu, słysząc zarazem niewyraźne głosy w hełmie. Wivitch zasięgał informacji.

- Automaty miały takie same lasery jak ludzie - zabrzmiał naraz głos Wivitcha, aż drgnąłem. - Model E-M-dziewięć. Dziewięć procent emisji w zakresie rentgenowskim i gamma, reszta niebieska.

- Światło widzialne? Ultrafiolet też?

- Też. Widmo nie może urwać się nagle. A co?

- Zaraz. Maksimum emisji w pasmach nadświatlnych?

- Tak.

- Ile procent?

Znów cisza. Czekałem cierpliwie, czując jak skafander z lewej strony, gdzie oświecało go słońce, powoli się nagrzewa.

- Dziewięćdziesiąt jeden procent w pasmach nadświatlnych. Halo, Tichy. Co się tam dzieje?

- Proszę czekać.

Wiadomość zbiła mnie w pierwszej chwili z pantałyku, bo pamiętałem, że emisyjna charakterystyka laserowych udarów, które zniszczyły naszych zwiadowców, była inna. Przesunięta ku czerwieni. Czyżby to nie było jednak lustro? Nagle uprzytomniłem sobie, że promień odbity nie musi być taki sam jak padający. Nawet przy zwyczajnym szkłe. Zresztą o szkłe nie mogło tu być mowy. To, co odbijało promienie laserowe, mogło przesunąć je spektralnie w stronę czerwieni. Nie mogłem żądać teraz konsultacji z fizykami. Odłożyłem ją

na później, szukając w głowie szczątków zapamiętanej optyki. Przemiana promieni wysokoenergetycznych, jak rentgenowskie czy gamma, w światło widzialne nie wymaga dodatkowego wkładu energii. Jest więc łatwiejsza. Dlatego promień trafiający w to zwierciadło był inny niż promień odbity. Mogłem pozostać przy hipotezie lustrzanej bez odwoływania się do cudów. To mnie uspokoiło. Zacząłem sobie ustalać własne położenie względem gwiazd, jakbym stał na poligonie. Jakies pięć mil na wschód rozpościerał się sektor francuski, a znacznie bliżej, bo o niecałą milę, za plecami miałem granice amerykańskiego. Stałem więc na ziemi niczyjej.

- Wivitch? Słyszysz mnie? Tu Księżyc.

- Tak. Tichy! Nie było żadnych rozbłysków - dlaczego pytał pan o te lasery?

- Nagrywacie mnie?

- Jasne. Każde słowo.

Po głosie poznałem jaki jest zdenerwowany.

- Uwaga. To, co powiem, jest ważne. Stoję w kraterze Flamsteeda. Patrzę na wschód w stronę francuskiego sektora. Przed sobą mam lustro. Powtarzam: lustro. Nie żadne zwyczajne lustro, ale coś, w czym odbijam się razem z moim otoczeniem. Nie wiem, co to jest. Widzę dokładnie własne odbicie, to znaczy widzę zdalnika numer jeden w odległości dwustu czterdziestu kroków. Odbicie to lądowało razem ze mną. Nie wiem, jak wysoko sięga ta odbijająca strefa, bo lądując patrzyłem w dół, pod nogi. Sobowtóra dostrzegłem tuż nad samym kraterem, bardzo blisko. Nie znajdował się na tej samej wysokości co ja, ale trochę wyżej. Był też większy, to znaczy wyższy i grubszy ode mnie. Potem gdy stanął przede mną, był już dokładnie taki jak ja. Uważam za możliwe, że to lustro potrafi powiększać odbijany obraz. I że dlatego te tak zwane księżycowe roboty, które wykończyły zdalniki, wydawały się pokracznie grube.

Usiłowałem dotknąć mego sobowtóra. Ręka przechodzi na wylot. Nie ma żadnego oporu. Gdybym miał laser i strzelił, byłoby już po mnie, bo dostałbym całym odbitym ładunkiem. Nie wiem, co będzie dalej. Nie jestem w stanie rozpoznać miejsc, w których tak zwane lustro się kończy i przechodzi w normalne otoczenie. To na razie wszystko. Powiedziałem, co wiem. Teraz nie dowiedcie się ode mnie więcej. Jeżeli będziecie siedzieli cicho, nie wyłączę radia, ale jeżeli zbiera się wam na rozmowy, wyłączę się, żeby mi nikt nie przeszkadzał. Mam się wyłączyć czy nie?

- Nie. Nie. Proszę skontrolować...

- Proszę milczeć.

Słyszałem wyraźnie, jak dyszał tam i sapał z trzysekundowym opóźnieniem, czterysta

tysięcy kilometrów nade mną. Powiadam nade mną, bo Ziemia stała wysoko na czarnym niebie, prawie w zenicie, łagodnie błękitna wśród gwiazd, natomiast Słońce było niskie i patrząc wciąż ku memu sobowtórowi w białym skafandrze widziałem długi, własny cień, jak kładł się sfaldowany na wydmach. W słuchawkach trochę trzeszczało, zresztą panowała cisza. Słyszałem w niej własny oddech pojmując, że oddycham na pokładzie statku, ale słyszę tu, jakbym we własnym ciele stał, obok Flamsteeda. Spodziewaliśmy się różnych zaskoczeń, ale raczej nie na ziemi niczyjej. Wyglądało na to, że używają triku z lustrem, aby każdy, żywy czy martwy, sam wykończył się natychmiast po lądowaniu, nawet nie powąchawszy ich księżycowego prochu. Zmyślne. Chytre. Więcej, inteligentne, ale co się tyczy dalszych szans mego zwiadu, raczej niezdrowe. Niespodzianek przyszykowali na pewno więcej. Mówiąc prawdę najchętniej wróciłbym na pokład, ażeby przemyśleć położenie i obgadać je z bazą, ale natychmiast odrzuciłem taki wariant. Oczywiście mogłem porzucić zdalnika jednym ruchem głównego pokrętła, strzaskawszy zabezpieczającą szybkę na piersi, za nic jednak bym tego nie zrobił. W zdalniku nie narażałem się bardziej niż na pokładzie. Szukać źródeł tego lustra? Powiedzmy, że są, że je znajdę, ale co mi z tego przyjdzie? Odbicie zniknie. Więcej nic. Czyż nie jest tak, że roztropne myśli przychodzą człowiekowi podczas małej przechadzki dla zdrowia? Ruszyłem przed siebie, nie całkiem spacerowym krokiem, ale tym trochę pijanym, księżycowym, najpierw przestawiając nogi jak na Ziemi, a potem już całkiem po księżycowemu, trzymając obie razem i skacząc jak wróbel. A raczej jak wielka, solidna piłka, która odbija się i między jednym a drugim susem szybuje długo nad piaszczystym gruntem. Oddalwszy się w ten sposób dobry szmat drogi od miejsca lądowania, przystanąłem, by zerknąć za siebie. Niemal na horyzoncie zobaczyłem małą figurkę i zbaraniałem po raz drugi. Mimo sporej odległości spostrzegłem, że to już nie postać w białym skafandrze, ale ktoś całkiem inny. Ktoś wiotki, smukły, z błyszczącą w słońcu głową. Ludzka postać bez skafandra na Księżycu! I to zupełnie naga. Robinson Crusoe nie obrócił się tak w słup, kiedy ujrzał Piętaszka, jak ja. Podniosłem szybko oba ramiona, ale ta istota wcale nie powtórzyła mego ruchu. Nie była moim odbiciem. Miała złote włosy, spadające na ramiona, białe ciało, długie nogi i szła ku mnie bez szczególnego pośpiechu, tak jakoś od niechcienia, a poruszała się nie kaczkowatym, zataczającym się chodem, lecz zgrabnie jak na plaży. Gdy pomyślałem o plaży, jednocześnie rozpoznałem, że to jest kobieta. Dokładniej młoda dziewczyna, blondynka, goła jak w klubie nudystów. Trzymała w ręku coś różnokolorowego, sporego i osłaniając tym piersi, zbliżała się, ale nie szła prosto w moją stronę, lecz trochę na ukos, jakby chciała minąć mnie w przyzwoitej odległości. Jużem omal wezwał Wivitcha, ale w ostatniej sekundzie ugryzłem się w język. Nie uwierzyłby mi. Pomyślałby, że mam halucynacje.

Stałem bez drgnienia, usiłując rozpoznać rysy jej twarzy, myśląc rozpaczliwie, że gdybym tak wiedział, co począc, jak nie wiem, byłoby wprost doskonale. Kwestie prawdopodobieństwa, wiarygodności zmysłów i tak dalej odrzuciłem już, bo jeśli byłem w ogóle czegoś całkiem pewien, to tego, że nie oglądam własnych zwidzeń. Nie wiem czemu bez słów wydało mi się, że wszystko zależy od jej twarzy. Gdyby była taka sama jak tej fałszywej Marilyn Monroe z przygody we włoskiej restauracji, zwątpiłbym jednak w stan moich zmysłów, bo niby jakim sposobem jakiegokolwiek prądy, fale, siły, diabli wiedzą co mogły się wdrzeć do mojej pamięci i wyłowić właśnie ten obraz? Przecież nie stałem nawet na tym martwym gruncie we własnej osobie. Naprawdę siedziałem wciąż na statku, przypięty pasami do głębokiego fotela u sterów, a zresztą gdybym tu był sam, cóż wdarłoby mi się tak skutecznie i trafnie do mózgu? Okazuje się, pomyślałem, że istnieją niemożliwości różnego rodzaju, większe i mniejsze.

Była to Syrena z wysp, które wyminął Odyseusz. Śmiertelna przynęta. Czemu tak myślałem, nie wiem. Stałem, a ona wciąż szła przed siebie, pochylając niekiedy okoloną rozsypanymi włosami twarz, żeby zanurzyć ją w trzymany kwiaty (na Księżycu, gdzie nikt niczego nie powącha). Nie zwracała na mnie najmniejszej uwagi. Bez względu na to, jak wyglądały i działały urządzenia tej fatamorgany, musiały funkcjonować logicznie, ponieważ powstały z logicznych programów. To mógł być punkt oparcia. Czegoś musiałem się przecież trzymać. Niewidzialne zwierciadło miało unieszkodliwić każdego zwiadowcę, który był uzbrojony. Widząc przeciwnika, złożyłby się do niego, zrazu tylko dla samoobrony, nie do strzału, bo jego zadaniem był rekonesans, a nie atak. Lecz gdyby tamten tak samo się do niego złożył, strzeliłby, żeby się ocalić, bo dając się bezpowrotnie unicestwić, tym samym nie wykonałby ani ździebełka zaprogramowanego zwiadu. Ja jednak tego nie uczyniłem. Nie użyłem broni. Wezwałem natomiast Ziemię i powiedziałem Wivitchowi, co widzę. Czy podsłuchano moje słowa? Prawie na pewno tak. Choć teraz, kiedy o tym myślę, wydaje mi się to horrendalną pomyłką, wręcz katastrofalnym przeoczeniem całego projektu zwiadowczego, nikt nie pomyślał o tym, żeby łączność Tichego z bazą zabezpieczyć przed podsłuchem, co przecież nie jest specjalnie trudne. Odpowiedni przetwornik, wbudowany w moje radio, przekazywałby to, co mówię, tak jak to, co słyszę z bazy, w postaci strumienia przekodowanych niezrozumiałych sygnałów. Toż te komputerowe podziemne zbrojownie musiały znać ludzką mowę, a jeżeli jej nawet pierwotnie nie znały, jakże łatwo mogły się jej wyuczyć, zwracając się nasłuchem ku Ziemi z dziesiątkiem tysięcy radiostacji. A jeśli tak, to równie prosto odbierały programy telewizyjne i z nich właśnie, jak Wenus z piany morskiej, wzięła się ta naga dziewczyna. Logiczne to było, ani słowa. Jeśli nie robot, bo nie strzela i nie próbuje nawet dokładnie zbadać własnego sobowtóra, a chyba każdy zacząłby od tego

natychmiast po lądowaniu, to człowiek. Jeżeli człowiek, to ze stuprocentową pewnością mężczyzna, bo ludzie na taki zwiad nie wysłaliby jako pierwszej kobiety. Jeżeli mężczyzna, jego achillesową piętę zdradza każdy telewizyjny program. Jest nią druga płeć. Cokolwiek zatem winienem był uczynić, nie należało się zbliżać do kusicielskiej Syreny, bo mogło mnie to drogo kosztować. Jak drogo, nie wiedziałem, ale wolałem nie ustalać doświadczalnie ceny. O poprawności tego rozumowania miał zaświadczyć jej wygląd, twarz Syreny, bo historii z tamtą, choć też blondynką, nie mógł nikt znać. Okryła ją przecież całkowita tajemność. Mieliby ci jacyś księżycowi zbrojmistrze sojuszników wewnątrz Lunar Agency? Uznałem to na razie za wykluczone.

Szła powoli i dlatego miałem tyle czasu na intensywne rozmyślenia, ale już nie dzieliło nas więcej niż kilkadziesiąt kroków. Ani raz nie spojrzała w moją stronę. Starłem się dostrzec, czy jej białe stopy pozostawiają ślady na piasku, toż moje buty odciskały w nim każde stąpienie, ale nie mogłem tego zobaczyć. Gdyby zostawiała ślady, byłoby gorzej, to znaczy jeszcze gorzej, bo oznaczałoby to perfekcję fatamorgany wprost przerażającą. Widziałem natomiast jej twarz, odetchnąłem. To nie była Marylin Monroe, chociaż jej rysy wydawały mi się znajome, chyba wzięte z jakiegoś filmu. Tę twarz ukradli pewno jakiejś aktorce czy innej piękności, bo była nie tylko młoda, lecz urodziwa. Szła coraz wolniej, jakby się wahała, czy nie przystanąć, a może usiąść albo i położyć się w słońcu jak na plaży. Nie osłaniała już piersi kwiatami. Trzymała bukiet w opuszczonej ręce. Rozglądała się, aż znalazłszy duży, lekko pochylony głaz o gładkiej powierzchni, przysiadła na nim, a kwiaty wypuściła z ręki. Bardzo dziwnie wyglądały, czerwone, żółte i niebieskie w tym martwym, szarobiałym pejzażu. Siedziała bokiem, a ja z takim wyteżeniem, jakby mi się miało zaraz w mózgu zagotować, myślałem, czego jej stwórcy czy sprawcy spodziewają się teraz po mnie, jako człowieku, i czego przez to właśnie za nic nie powinienem uczynić. Gdybym powiadomił Wivitcha, kogo spotkałem, byłoby to bodajże po ich myśli, bo nie dałby mi wiary ani on, ani nikt inny w centrali, czego by mi jednak rozumie się nie powiedzieli. Uznawszy, że halucynuję, kazaliby mi porzucić zdalnika numer jeden jak martwą skorupę i tym samym wrócić na pokład, abym nasterował cel numer zero zero dwa albo trzy, na drugiej półkuli Księżyca, i powtórzył całą procedurę lądowania od początku, a przedtem urządziliby pośpiesznie psychiatryczne konsylium, żeby ustalić, co ten pomyłony Ijon Tichy powinien zażyć z pokładowej apteki. Była pełna, alem nawet do niej nie zajrzał. Tracąc wiarygodność wobec mocodawców ziemskich, tym samym w dziewięćdziesięciu procentach zlikwidowałbym szansę mego zwiadu, a to na pewno odpowiadało twórcom fatamorgany, bo osłaniało ich działalność przed Ziemią tak samo skutecznie, jak uprzednie zlikwidowanie

satelitarnej kontroli Księżyca. A zatem nie powinienem był się odezwać do bazy. Flirt też nie wchodził raczej w rachubę. Musieli chyba wiedzieć o ludziach dość, aby się nie spodziewać, że żywy zwiadowca pocznie smalić koperczaki do gołego dziewczęcia w księżycowym kraterze. Niechybnie jednak miałby ochotę zbliżyć się do niej, żeby ją obejrzeć z bliska, żeby się przekonać, czy jest cielesna. Mogła w końcu być jak najbardziej cielesna, a więc nie stanowić tylko holograficznej projekcji, lecz materialne stworzenie. Pewno, że nie była prawdziwą dziewczyną, ale dotknąwszy jej, mogłem już dotknięcia nie przeżyć. Mina udoskonalona w myśl rozpoznanych cech właściwego ludziom seksualnego pociągu. Byłem w niezłych opałach. Powiedzieć bazie, co zaszło, źle, nie powiedzieć też kiepsko, a bliżej zając się księżycową Syreną i niebezpiecznie i głupio. Należało zatem zrobić to, czego żaden mężczyzna, czy na Ziemi, czy na Księżycu, na pewno nie zrobiłby, ujrawszy młodą ładną blondynkę na golasa. Zrobić to, czego nie przewidywały programy tej zasadzki. Rozejrzawszy się dokoła, odnalazłem spory kamień, właściwie rozpękły na dwoje głaz, za którym mogłem się cały ukryć, nie dalej niż o kilkanaście kroków, i patrząc zapamiętałe w dziewczynę, niby to nie wiedząc, dokąd zmierzam, podszedłem do tego głazu, a gdy znalazłem się za nim, moje ruchy stały się błyskawiczne. Podniosłem spory kamień, taki, który na Ziemi ważyłby z pięć kilogramów, istny chropawy bochen i zważyłem go w ręce. Był twardy i lekki jak skamieniała gąbka. Rzucić w nią czy nie rzucić, oto jest pytanie, myślałem, patrząc na siedzącą. Oparta plecami o pochyłość głazu, zdawała się brać kąpiel słoneczną. Widziałem doskonale różowe koniuszki jej piersi i to, że były bielsze od brzucha, jak u kobiety, która zazwyczaj opala się w dwuczęściowym kostiumie kąpielowym. W głowie mi się wprost kotłowało. Czemu służyło to zjawisko, rozumiałem. Wyobraźcie sobie reakcję dowódcy, któremu obserwator artyleryjski donosi przez telefon polowy, że na jego oczach działa nieprzyjacielskiej baterii zamieniają się w niemowlęta czy w kołyski. Gdyby po prostu przecięli mi łączność radiową, w bazie wiedziano by przynajmniej, że Tichy jest w opałach, ale gdybym oświadczył, że chowam się przed gołą blondynką, oznaczałoby to moje pomieszanie umysłowe przy zachowanej łączności. Przykre. Nie wymyśliwszy nic lepszego, rzuciłem w nią kamieniem. Szybował wolno, jakby bez końca, trafił ją w ramię, przebił je na wylot i zarył się w piachu u jej bosych stóp. Oczekiwałem eksplozji, ale nie nastąpiła. Zamrugałem oczami i przy jednym takim mrugnięciu znikła. Przed sekundą jeszcze siedziała, kręcąc w palcach kosmyk jasnych włosów, z łokciem wspartym o podniesione kolano, a w następnej chwili nie było tam nic. Nawet śladu jej ciała. Tylko rzucony kamień przewrócił się wolno, nim znieruchomiał, a maleńka chmurka wzbitego piasku spadła na szarawą skałę. Znowu byłem sam jak palec. Podniosłem się, wstając najpierw na kolana, a potem na całą

wysokość. Tu odezwał się Wivitch. Widać nie potrafił już ścierpieć mego milczenia. Jego głos uświadomił mi, że musieli oglądać tę całą scenę na wizji. Przecież chmara mikropów wisiała gdzieś nade mną.

- Tichy! Nie mamy obrazu! Co się stało?

- Nie macie o b r a z u...? - spytałem powoli.

- Nie, przez czterdzieści sekund mieliśmy zakłócenia. Technicy myśleli, że to coś w naszej aparaturze, ale już sprawdzili. Tu wszystko gra. Patrz dokładnie, powinienes je zobaczyć.

Miał na myśli mikropy. Są małe jak muszki, ale w słońcu widać je rzeczywiście na dużą odległość, bo błyszczą wtedy jak iskierki. Powiodłem oczami po całej przeciwsłonecznej polaci czarnego nieba, ale nie dostrzegłem najmniejszego błysnięcia. Zauważyłem za to coś innego, dziwniejszego. Zaczął padać deszcz. Rzadkie, małe, ciemne kropelki pojawiały się to bliżej, to dalej na piasku. Jedna oślizgnęła się po helmie i nim spadła, zdążyłem ją chwycić. Był to mikrop, poczerniały, jak żarem stopiony w drobną grudkę metalu. Ten deszczyk wciąż padał, choć coraz rzadszy, kiedy powiedziałem o tym Wivitchowi. Po trzech sekundach usłyszałem przekleństwo.

- Stopione?

- Tak wyglądają.

To było logiczne. Jeśli manewr z dziewczyną miał się powieść jako podważenie wiarygodności moich meldunków, Ziemia nie mogła nic widzieć.

- Co z rezerwą? - spytałem.

Mikropy znajdowały się pod bezpośrednią kontrolą teletroników. Ich ruchy nie zależały ode mnie. Na statku były cztery dodatkowe odwody mikropów.

- Drugi rzut już wysłany, czekaj!

Wivitch mówił tam do kogoś, odwróciwszy się od mikrofonu, słyszałem tylko dalekie głosy.

- Wyrzucone dwie minuty temu - powiedział. Dyszał.

- Wizja wróciła?

- Tak. Hej tam, ile na telemetrach? Widzimy już Flamsteeda, Tichy, schodzą w dół. Zaraz i ciebie będziemy... co to jest?

Pytanie to nie było wprawdzie skierowane do mnie, ale mogłem mu odpowiedzieć, bo znów zaczął padać deszcz stopionych mikropów.

- Radar! - krzyczał Wivitch, nie do mnie, ale tak głośno, że doskonale go słyszałem. - Co? Rozdzielczość nie wystarczy? Ach tak...

- Tichy. Słuchaj! Widzieliśmy ciebie przez jedenaście sekund, z góry. Teraz już znowu nic. Mówisz, że są stopione?

- Tak. Jak na patelni. Ale ta patelnia musi być dobrze podgrzewana, bo to czarny żużel.

- Spróbujemy jeszcze raz! Teraz z trenem.

Znaczyło to, że za mikropami pierwszego rzutu posła następne, aby obserwowały los lecących przodem. Niczego się po tych wysiłkach nie spodziewałem. Znali już mikropy z poprzednich zwiadów i wiedzieli, jak się do nich wziąć. Jakimś indukcyjnym podgrzaniem, strefą, w której każda metalowa cząsteczka rozpałała się od wirowych prądów Foucaulta. O ile pamiętam jeszcze moją szkolną fizykę. Zresztą mechanizm destrukcji nie był mi najważniejszy. Mikropy okazały się na nic, chociaż tak świetnie chronione przed radarowym wykryciem. Nowy, udoskonalony typ. Zbudowane na zasadzie owadziego oka, rozstrzelonego tak, że jego pojedyncze ommatidia - pryzmatyczne oczka - lecąc, zajmowały ponad osiemset metrów kwadratowych przestrzeni.

Uzyskiwany obraz był holograficzny, trójwymiarowy, barwny i ostry nawet, gdyby trzy czwarte rzutu uległo oślepieniu. Widać Księżyc znał się doskonale na tych sztuczkach. Rewelacja niezbyt korzystna, chociaż można się jej było spodziewać. Jeśli w ogóle cokolwiek stanowiło dla mnie zagadkę, to tylko okoliczność, że wciąż poruszam się cały i nietknięty. Skoro tak łatwo przyszło im zdmuchnięcie mikropów, czemu i mnie nie mogli zdmuchnąć po wylądowaniu, kiedy nie udała się lustrzana zasadzka? Czemu nie przecięli mi łączności ze zdalnikiem? Telematycy twierdzili, że to praktycznie niemożliwe, bo kanał sterowania mieścił się cały w zakresie najtwardszych promieni kosmicznych. Była to niewidzialna igła, sięgająca od statku do zdalnika, tak "twarda", jak się wyrażali, że wrażliwa chyba jedynie na grawitacyjne przyciąganie "czarnej dziury". Pole magnetyczne, które potrafiło zgiąć czy rozerwać tę "igłę", wymagało dopływu mocy liczonej w biliony dżuli. Inaczej mówiąc, w przestrzeń między statkiem i zdalnikiem musieliby pompować jakieś mega - czy gigatony, utrzymywać niejako nad Księżycem rozpięty jak parasol ekran termojądrowej plazmy. Albo nie mogli, albo na razie nie chcieli tego zrobić.

Być może ta powściągliwość nie wynikała z braku mocy, ale z rachuby strategicznej. W gruncie rzeczy nic dotąd nie zaatakowało na Księżycu zwiadowców, czy to automatów, czy ludzi. Zniszczyli się sami, skoro pierwsi użyli broni, strzelając do swego odbicia. Tak, jakby martwa ludność Księżyca postanowiła trwać w defensywie. Taktyka owa mogła przez pewien czas popłacać. Przeciwnik zdeorientowany to w strategicznej ocenie przeciwnik w gorszej sytuacji niż taki, który już wie, że go atakują. Z takim trudem obmyślona doktryna ignorancji

jako gwarancji pokoju obracała się szyderczo i groźnie przeciw jej wynalazcom.

Naraz Wivitch odezwał się. Trzeci rzut mikropów dotarł do mnie cało. Znow mieli mnie na swoich ekranach. Być może, pomyślałem, chcieli oślepić bazę tylko na czas fatamorgany z dziewczyną. Zresztą gubiłem się w domysłach. Choćby przez nasłuch radiowy musiały dochodzić na Księżyc wieści o rosnącym na Ziemi poczuciu zagrożenia. Nastroje paniki, wzniecane przez znaczną część prasy, udzielały się nie tylko opinii publicznej, ale i rządowi. Wszyscy jednak pojmowali, że jeśli wznowią budowę termojądrowych rakiet dla uderzenia w Księżyc, będzie to zarazem oznaczało kres pokoju na Ziemi. Tak zatem albo bliski był atak skierowany w ludzkość, albo działo się na Księżycu coś zupełnie niezrozumiałego. Wivitch wywołał mnie znów, by zapowiedzieć istne bombardowania mikropami. Miały przylatywać w kolejnych rzutach, fala za falą, nie tylko z mego statku, ale ze wszystkich czterech stron świata, bo postanowili uruchomić rezerwy zmagazynowane pod Strefą Milczenia. Nie wiedziałem dotąd, że tam są. Usiadłem w tej martwej pustyni i pochyliwszy się trochę do tyłu patrzałem w czarne niebo. Nie mogłem dostrzec statku, ale zobaczyłem mikropy jak małe roziskrzane chmurki, mknące i z góry, i od horyzontów. Część zawisa nade mną, wzdymając się, falując i błyszcząc niby rojowisko złotych muszek, igrających beztrąsko w słońcu. Inne, tworzące odwody, mogłem zauważyć tylko chwilami, kiedy któraś z nieruchomo świecących gwiazd mrugała i gasła na mgnienie, przesłonięta obłokiem moich mikroskopijnych stróżów. Mieli mnie na wszystkich ekranach, z góry, *en face* i z profilu. Należało wstać i ruszyć w pochód, ale ogarnął mnie pełen zniechęcenia bezwład. Powolny, niezgrabny w ciężkim skafandrze, w przeciwieństwie do mikropów stanowiłem znakomity cel nawet dla strzelca z bielmem. Dlaczego właściwie miałem być czołem zwiadu, maszerując w tak nędznym tempie? Dlaczego mikropy nie miały stać się moimi lotnymi zwiadowcami? Baza zgodziła się na to. Zaszła zmiana taktyki. Roje złotych komarów popłynęły nade mną szerokim frontem ku księżycowemu Uralowi.

Szedłem rozglądając się uważnie na wszystkie strony. Znajdowałem się na płasko pofałdowanej równinie, wśród mrowia małych kraterów, zasypanych niemal po brzegi. W jednym sterczało w piasku coś podobnego do zeschniętej, grubej gałęzi. Wziąłem ułomek w garść i pociągnąłem, jakbym wrywał z gruntu głęboko wrośnięty korzeń. Pomogłem sobie małą składaną saperką, którą nosiłem przytroczoną do boku, i spod sypkiego miazgu wyłoniło się zetlone gorące żelastwo. Mógł to być szczątek jakiegś z niezliczonych, prymitywnych rakiet, które roztrzaskiwały się o skały Księżyca w początkach jego zdobywania. Nie wzywałem bazy, wiedząc, że dzięki mikropom widzą tam moje znalezisko. Ciągnąłem i ciągnąłem pozginane dziwacznie pręty, aż ukazała się grubsza szypuła, a pod nią zaświecił

jaśniejszy metal. Nie wyglądało to zbyt obiecująco, ale skorom się już wziął do tego karczowania, ciągnąłem coraz mocniej, bez obawy, że któryś z ostrych drutów przetnie mi skafander, boż obywałem się bez powietrza, więc dehermetyzacja niczym mi nie groziła. Coś się jednak zmieniło. W pierwszej chwili nie zorientowałem się, czemu trudno mi utrzymać równowagę, aż poczułem, że mój lewy but tkwi w uchwycie spłaszczonych i wygiętych trzpieni jak w kleszczach. Usiłowałem go wyrwać, myśląc, że sam się tak zaplątałem, ale trzymały mi nogę mocno i nawet przy pomocy ostrza łopatki nie udało mi się ich rozgiąć

- Jest tam Wivitch? - spytałem. Zgłosił się po trzech sekundach.

- Zdaje się, że wzięli mnie jak borsuka - powiedziałem. - To mi wygląda na potrzask.

Było to wprost idiotyczne. Dostałem się w żelezce, w prymitywną pułapkę! Nie mogłem się z niej wydostać. Mikropy jak podniecone muchy okręzały mnie szamocącego się do siódmych potów z szczękami, w których but tkwił jak w imadle.

- Wróc na pokład - zaproponował Wivitch. Może był to któryś z jego asystentów, głos był jakby inny.

- Jeżeli przez T O mam stracić zdalnika, to niedaleko się posuniemy - powiedziałem. - Muszę to przeciąć!

- Masz karborundową tarczówkę.

Odpiąłem przypasany do uda płaski futerał. Rzeczywiście tkwiła tam zgrabna tarczówka. Włączyłem jej kabelek do zasilacza w skafandrze i pochyliłem się. Spod wirującego ostrza trysnęły iskry. Wnyki, trzymające mój but w kostce, rozchyłały się już, przecięte prawie do końca, kiedy poczułem stopą, tkwiącą w bucie, narastający żar. Wszystkimi siłami wyszarpnąłem nogę z potrzasku i zobaczyłem, że metalowa bulwa, podobna do wielkiego kartofla, z której dobywały się te korzeniaste pręty, rozpała się jak od niewidzialnego płomienia. Biały plastik buta czerniał już i łuszczył się od żaru. Uczyniłem ostatni wysiłek i nagle wyswobodzony zatoczyłem się w tył. Oślepił mnie krzaczasty błysk, poczułem gwałtowne uderzenie w pierś, usłyszałem trzask prutego skafandra i na mgnienie zapadłem w nieprzeniknioną ciemność. Nie straciłem przytomności, po prostu otoczył mnie mrok. Po chwili usłyszałem głos Wivitcha:

- Tichy, jesteś na pokładzie. Odezwij się! Już po pierwszym zdalniku.

Zamrugałem oczami. Siedziałem w fotelu, oparty o zagłówek, z dziwacznie podgiętymi nogami, trzymając się za pierś, tam gdzie przed chwilą poczułem ostre uderzenie. Właściwie ból, jak dopiero teraz sobie uświadomiłem.

- Czy to była mina...? - powiedziałem ze zdziwieniem. - Mina połączona z samotrzaskiem? To już nic doskonalszego nie umieli wymyślić?

Słyszałem głosy, ale nikt nie mówił do mnie: ktoś pytał o mikropy.

- Nie ma wizji - powiedział jakiś inny głos.

- Jak to, wszystkie zniszczył ten jeden wybuch?

- To niemożliwe.

- Nie wiem, czy możliwe, czy nie, ale nie ma wizji.

Oddychałem wciąż głęboko, jak po długim biegu, patrząc w tarczę Księżyca. Cały krater Flamsteeda i równinę, na której tak głupio utraciłem zdalnika, mogłem przykryć opuszką palca.

- Co z mikropami? - odezwałem się wreszcie.

- Nie wiemy.

Spojrzałem na zegarek i zdziwiłem się: prawie cztery godziny spędziłem na Księżycu. Dochodziła północ czasu pokładowego.

- Nie wiem, co uważacie - powiedziałem nie ukrywając ziewnięcia - ale na dzisiaj mam dość. Idę spać.

## VI. DRUGI ZWIAD

Zbudziłem się wypoczęty i natychmiast przypomniałem sobie zajścia poprzedniego dnia. Po uczciwym prysznicu myśli się zawsze najlepiej, nastawałem więc na to, żeby mieć na pokładzie łazienkę z bieżącą wodą, a nie te wilgotne ręczniki, które nędznie zastępują wannę. O wannie nie mogło być mowy; łazienką był pojemnik wielki jak beczka, woda była strumieniami z jednej strony, a z przeciwnej wsysał ją silny prąd powietrza. Żeby się nie udusić, bo woda przy nieważkości rozlewa się grubnącą warstwą po całym ciele i twarzy, musiałem przed ablucjami nałożyć maseczkę tlenową. Było to porządnie kłopotliwe, ale wolałem taki prysznic od żadnego. Jak wiadomo, kiedy już inżynierowie mieli budowanie rakiet w małym palcu, astronautów nękały awarie klozetów i myśl techniczna długo musiała się wysilać, zanim znalazła rozwiązanie tej szarady. Anatomia człowieka fatalnie przystaje do kosmicznych warunków. Ten tak twardy do zgryzienia orzech spędzał sen z oczu astrotechników, ale nie kłopotał autorów *Science Fiction*, bo jako wyniosłe duchy po prostu go omijali. Z mniejszą potrzebą pół biedy, chociaż tylko u mężczyzn. Większą natomiast dało się szczęśliwie rozwiązać dopiero dzięki odpowiednio zaprogramowanym komputerom, tak zwanym defekatorom, które mają tylko jedną słabą stronę, mianowicie kiedy się psują, powstaje dramatyczna sytuacja i wtedy każdy musi sobie radzić, jak umie. W moim księżycowym module był to wszakżeomal jedyny komputer, który do końca działał jak zegarek szwajcarski, jeśli wolno użyć takiej pochwalnej metafory. Umyty i odświeżony wypilem kawę z plastikowej gruszki, przekazując ją babką z rodzynkami pod lejem silnego ekshaustora, nastawionego na pełny ciąg, bo wolałem, żeby mi prąd powietrza wyrwał okruszki z palców, aniżeli udławić się czy zakrztusić rodzynkiem. Nie jestem z tych, którzy rezygnują z przyzwyczajień dla byle powodu. Posiliwszy się jak należy, zasiadłem w fotelu przed selenografem, i patrząc na globus symulowanego Księżyca, nuż rozmyślać z miłym poczuciem, że nikt nie będzie mi się narzucał z radami, bo nie zawiadomiłem bazy o przebudzeniu, więc sądziła, że jeszcze śpię. Zwierciadlany fenomen oraz gołe dziewczę stanowiły niechybnie dwie kolejne fazy rozpoznania, KTO wylądował i bodaj zadowolili tego albo to, co zgotowało mi owo przyjęcie, skoro mogłem potem łaźnić po Flamstedzie nie mamiony ani nie atakowany. Potrzask, który okazał się miną, tkwił jednak w tym obrazie jak Piłat w kreda. Z jednej strony zadają sobie tyle trudu, żeby wywołać miraże na ziemi niczyjej, działając z dystansu, bo tego wymaga jej nietykalność, a z drugiej zakopują tam miny pułapki, co razem wyglądało, jakbym stał wobec armii wyposażonej w radary dalekiego ostrzeżenia i

w maczugi. Mina mogła wszakże pochodzić z dawniejszych czasów, toż nie miałem pojęcia, jak zresztą nikt, co działo się na Księżycu przez tyle lat hermetycznej izolacji. Nie rozwiązawszy zagadki wziąłem się do przygotowań następnego zwiadu. *LEM 2*, w pełni sprawny, był dziełem firmy General Teletronics, modelem odmiennym od biedaka, którego tak niespodziewanie utraciłem, więc zszedłem do ładowni, żeby go obejrzyć, zanim się nim stanę. Musiał to być siłacz nad siłacz, takie grube miał nogi i ramiona, odpowiednio szerokie bary, potrójny pancerz, który zadudnił głucho, kiedy postukałem weń palcem, a prócz wizjerów w hełmie miał sześcioro dodatkowych oczu, na plecach, na biodrach i na kolanach. Żeby dać bobu konkurencji, która zaprojektowała pierwszego *LEM*a, General Teletronics wyposażyła swój model w dwa systemy osobistych układów rakietowych: oprócz hamowniczych, odrzucanych po lądowaniu, miał pancerny atleta zamocowane na stałe dysze w piętach, w podkolanach, a nawet jedną w siedzeniu, co winno - jakem wyczytał w instrukcji, pełnej samochwalstwa - wspomagać utrzymanie równowagi i umożliwiała ponadto wykonywanie skoków osiemdziesięcio- lub stuścisześcioletowych. Do tego wszystkiego pancerz lśnił jak czysta rtęć: żeby się promień każdego świetlnego lasera po nim ześlizgnął. Pamiętałem z grubsza, jaki wspaniały jest ten *LEM*, ale nie powiem, żeby mnie zachwycała lustracja, boż im więcej wizjerów, oczu, indykatorów, dysz, urządzeń pomocniczych, tym bardziej zajmują uwagę, a będąc standardowym człowiekiem, miałem tyle samo kończyn i zmysłów co każdy. Wróciwszy do kabiny, włączyłem się próbnie w tego zdalnika i stanąwszy nim, a właściwie już sobą, na równych nogach, zapoznałem się z jego sterowaniem paskudnie skomplikowanym. Przycisk umożliwiający dawanie wielkich susów miał postać małego ciasteczka, z którego biegły odpowiednie przewody, a wziąć go należało w zęby. Jakże więc miałem rozmawiać z bazą z takim przyciskiem w gębie? Otóż to elastyczne ciasteczko można było urobić w palcach jak plastelinę i włożyć sobie do wewnętrznej kieszonki policzka, a wydobyć i nagryźć trzonowymi zębami w razie potrzeby. Jeżeli jednak sytuacja była szczególnie napięta, mogłem, tłumaczyła instrukcja obsługi, trzymać przycisk cały czas między zębami, zważając tylko na to, żeby ich zbyt mocno nie zacisnąć. O szczękaniu zębami, wskutek nagłego podniecenia, nie było tam ani słowa. Polizałem ów przycisk, a smak miał taki, że go od razu wyplułem. Zdaje mi się, chociaż nie przysięgnę, że na poligonie ziemskim czymś go smarowano, bodajże pastą pomarańczową albo miętową. Wyłączywszy na powrót zdalnika, wzbiłem się na wyższą orbitę i pomknąłem wokół Księżyca, aby nasterować cel numer *zero zero dwa*, między Mare Spumans a Mare Smythii, już w miarę grzecznie gwarząc z ziemską bazą. Leciąłem spokojnie jak nakarmione dziecko w kołysce, aż tu coś dziwnego poczęło się dziać w selenografie. Jest to urządzenie

znakomite, dopóki działa bez zarzutu. Nie ma sensu wozić się z rzeczywistym globusem Księżyca, toteż zastępuje go trójwymiarowy obraz, tworzony holograficznie, a efekt jest taki, jakby cały duży Księżyc wirował ci pomału przed oczami, wisząc w powietrzu o metr, przy czym widać doskonale zarówno całą rzeźbę powierzchni, jak granice sektorów i nazwy ich posiadaczy, więc kolejno przepływały przede mną te międzynarodowo przyjęte skróty, jakimi oznacza się auta: US, G, I, F, SU, S, N, i tak dalej. Coś się jednak w pewnej chwili popsulo, bo sektory zaczęły się najpierw mienić wszystkimi barwami tęczy, potem ospa większych i mniejszych kraterów zmętniała, obraz zadygotał, a gdy rzuciłem się do regulatorów, powrócił jako biała, gładka, niczym nie tknięta kula. Zmieniałem ostrość fokalizacji, zwiększałem i zmniejszałem kontrast, z takim skutkiem, że przez krótką chwilę pojawił się Księżyc do góry nogami, a potem znikł na dobre i żadna siła nie mogła już zmusić selenografu do normalnego działania. Powiedziałem więc o tym Wivitchowi, i naturalnie usłyszałem, że coś pokręcił. Po moim sakramentalnym, powtórzonym dobrych dziesięć razy oświadczeniu, że “mam tu poważny problem”, bo tak się mówi od czasów Armstronga, fachowcy zajęli się moim holografem, co trwało pół dnia. Najpierw kazano mi powiększyć orbitę tak, abym wyszedł nad Strefę Milczenia, a to, by wykluczyć zakłócające działanie jakichś niewiadomych sił czy fal skierowanych we mnie z Księżyca. Gdy to nic nie dało, wzięli się do sprawdzania wszystkich obwodów scalonych i niescalonych w holografie, bezpośrednio z Ziemi, a ja w tym czasie przyrządziłem sobie drugie śniadanie, a potem i obiad. Ponieważ dobre zrobienie omletu w nieważkości jest trudne, zdjąłem hełm i słuchawki, aby kłótnie informatyków z teletronikami i specjalnie wezwanym sztabem profesorskim nie rozpraszały mej uwagi. Po wszystkich debatach okazało się, że holograf JEST zepsuty i że wiadomo wprawdzie, który mikrozespół wysiadł, ale właśnie tego jednego nie mam w rezerwie, więc nic się nie da zrobić. Pouczono mnie, abym poszukał zwyczajnych, drukowanych na papierze map księżycowych, które miałem przykleić lepka taśmą do ekranów i tak wyjść z opresji. Otóż mapy znalazłem, ale nie wszystkie. Miałem cztery egzemplarze pierwszej ćwiartki Księżyca, tej właśnie, na której zażyłem już niejaki przygód, ale pozostałych ani śladu. Konsternacja była spora. Zachęcano mnie, żebym szukał dokładniej. Przewróciłem rakietę do góry nogami, ale prócz małego pornokomiksu, porzuconego przez techników obsługi podczas ostatnich przygotowań przed startem, znalazłem tylko słownik slangu używanego przez amerykańskich gangsterów piątej generacji. Wówczas baza podzieliła się na dwa obozy. Jeden uznał, że nie mogę w tych warunkach kontynuować misji i mam wracać, drugi natomiast chciał poddać decyzję mojej woli. Opowiedziałem się przy drugim i postanowiłem wylądować tam, gdzie to było przewidziane. W końcu mogli mi przekazywać obraz Księżyca wizją. Nie był najgorszy,

ale nie mogli jakoś zsynchronizować z moją prędkością orbitalną i pokazywali mi raz powierzchnię Księżyca gnającą na łeb na szyję albo prawie znieruchomiałą. Co gorsza, lądować miałem na samym brzegu tarczy, widocznym z Ziemi, ale ruszyć potem na drugą stronę, i tu pojawił się nowy problem. Nie mogli mi przekazać obrazu telewizyjnego wprost, kiedy statek wisiał nad odwrotną półkulą, lecz miała to być fraszka, bo przekazać obraz winny mi były satelity wewnętrznego układu kontroli, ale nie chciały. Nie chciały zaś dlatego, ponieważ o takiej ewentualności jakoś nikt przedtem nie pomyślał, a owe satelity były zaprogramowane zgodnie z dyrektywą ignorancji, tak że nie wolno im było niczego przekazywać ani z Ziemi, ani na Ziemię. Niczego. Mając na uwadze utrzymanie łączności ze mną i moimi mikropami, wprowadzono wprawdzie na wysoką równikową orbitę Księżyca tak zwane trojańskie satelity, ale nie były przystosowane do przekazywania obrazów telewizyjnych. To znaczy były, lecz tylko do wysyłanych przez mikropy. Strasznie dużo się o tym mówiło, aż w sytuacji bez wyjścia ktoś rzucił myśl, żeby urządzić w bazie *brain storming*. Mówiąc uczenie, *brain storming* to improwizowane obrady, kiedy każdy może wygłaszać najśmielsze, najbardziej zuchwałe hipotezy i koncepcje, a inni go w tym przelicytowują. Bardziej przyziemnie chodzi o to, by pleść, co komu ślina na język przyniesie. Jakoż ów *brain storming* trwał cztery godziny. Nagadali się uczeni do upadłego i okropnie mnie wynudzili, aż jakoś ześlizgnęli się po trosze z tematu i już nie o to im szło, jak mi pomóc, lecz o to, kto zawinił, nie pomyślawszy o porządnym zdublowaniu symulacji holograficznej. Jak zwykle, gdy działa się zbiorowo ramię w ramię, winnego nie było, zarzuty przerzucali sobie jak piłkę i w końcu wtrąciłem swoje trzy grosze, oświadczając, że będę sobie radził sam. Nie widziałem w tym wcale zbytniego ryzyka, boż było już tak wielkie, że jeszcze jedna drobinka nie robiła jakoś dodatku różnicy, a ponadto rozeznanie, czy będę lądował w sektorze US, SU, F, G, E, I, C, CH, czy pod inną literą alfabetu, miało wysoce akademicki charakter. Samo pojęcie narodowej czy państwowej przynależności robotów, niewiadomym pokoleniem zaludniających Księżyc, stanowiło pusty dźwięk. Jak wiecie, albo nie, najtrudniejszym zadaniem militarnej automatyzacji okazało się takie programowanie samoobrony, żeby atakowała wyłącznie przeciwnika. Na Ziemi nie było z tym nigdy chyba kłopotów; po to są mundury, barwne znaki na skrzydłach samolotów, flagi, krój hełmów, a zresztą nie trudno ustalić, czy żołnierz wzięty do niewoli mówi po holendersku, czy po chińsku. Z automatami co innego. Powstały więc dwie doktryny, pod różnicowym hasłem *FORF*, czyli *Friend Or Foe*. Pierwsza zalecała użycia mnóstwa czujników, filtrów analitycznych, selektorów różnicowych i podobnych urządzeń diagnostycznych, druga natomiast odznaczała się korzystną prostotą: wrogiem miał być Ktoś Inny, i tym samym

wszystko, co na rzucone hasło nie umiało odpowiedzieć właściwym odzewem, należało atakować. Nikt jednak nie wiedział, jaki bieg wzięła samoczynna ewolucja broni na Księżycu, a tym samym, co czynią tam taktyczno-strategiczne programy, żeby odróżnić sojusznika od wroga. Zresztą są to jak wiadomo z historii pojęcia nader względne. Jeżeli komuś na tym szczególnie zależy, może grzebiąc w księgach metrykalnych i innych dokumentach ustalić, czy pewna osoba miała aryjską babkę, ale nie może już stwierdzić, czy jej przodkiem z eocenu był sinantrop, czy raczej paleopitek. Automatyzacja wszystkich armii zlikwidowała ponadto kwestie ideologiczne. Robot usiłuje zniszczyć to, w co go wycelował program, i robi to zgodnie z metodą fokalizacyjnej optymalizacji, dyferencjalnego diagnozowania oraz matematycznych reguł teorii gier i konfliktów, a nie z patriotyzmu. Tak zwana militarna matematyka, powstała w związku z automatyzacją wszystkich rodzajów broni, ma swych wybitnych twórców i rzeczników, ale ma też heretyków i kacerzy. Pierwsi twierdzili, że są programy, zapewniające stuprocentową lojalność bitewnych robotów i nie ma takiej siły, która mogłaby ich przekabacić, aby popadli w stan zdrady głównej, drudzy natomiast zapewniali, że gwarancji takich nie ma. Jak zwykle wobec przerastających mnie problemów kierowałem się i tu zdrowym rozsądkiem. Nie ma szyfru, którego nie można rozgryźć, ani kodu aż tak tajnego, żeby nikt nie zdołał go obrócić na własną korzyść, jak o tym świadczą dzieje zbrodni komputerowej. Stu czternastu programistów zabezpieczyło Manhattan Chase Bank przed wtargnięciem w jego obliczeniowe ośrodki niepowołanych, a potem bystry młodzieniec z ręcznym kalkulatorkiem w ręku, posługując się zwyczajnym telefonem dla czystej igraszki wdarł się w głąb najsekretniej szych programów i poprzestawiał bilanse na trzecią stronę. Jak wytrawny kasiarz, który zostawia w pewien nader drastyczny sposób na miejscu występku ślad swej identyczności, aby rozwścieczyć organa śledcze, tak ów student wstawił do supertajnego programu bankowego jako wizytówkę rozkaz, że kiedy audytorzy poczną sprawdzać bilans, przed każdym MA i WINIEN komputer ma najpierw wystukać A KU KU. Teoretycy programowania nie dali się oczywiście zakukać, lecz wymyślili od razu inny jeszcze lepszy, jeszcze bardziej skomplikowany program nie do rozłamania. Nie pomnę już, kto dał mu radę. Nie ma to zresztą znaczenia dla drugiego etapu mej straceńczej misji.

Nie wiem, jak się zwał krater, w którym wylądowałem. Był od północy trochę podobny do Helwecjusza, ale od południa jakby inny. Obejrzałem sobie to drugie lądowisko z orbity, a wybrałem je na chybił trafił. Może była to kiedyś ziemia niczyja, a może nie. Mogłem ustalić koordynaty, zabawiając się astrografem i namierzając gwiazdy, różne inklinacje i tak dalej, ale wolałem to zostawić sobie na deser, i dobrze zrobiłem. *LEM* numer dwa był o wiele sprawniejszy, niż przypuszczałem z właściwą sobie podjerzliwością,

szukającą dziur w całym, ale miał jeden niewątpliwy minus. Oto klimatyzację można w nim było nastawić albo całą naprzód, albo całą wstecz. Dałbym sobie pewno radę z ciągłym przeskakiwaniem z piekarnika do lodówki i na odwrót, gdyby szło o samą klimatyzację skafandra, ale defekt nie miał z nią nic wspólnego. Siedziałem przecież dalej na statku i powinienem był pławić się w jego umiarkowanej temperaturze, lecz w sensorach tego *LEMa* było coś nie w porządku i raz drażnił moją skórę udawanym ciepłem, a raz chłodem. Nie widząc innej rady, przestawiałem co parę chwil przełącznik. Gdyby nie to, że statek wysterylizowano mi przed startem, na pewno dostałbym grypy. Dostałem tylko kataru, jego wirusy każdy bowiem ma w nosie przez całe życie. Sam nie wiedziałem zrazu, czemu tak długo marudziłem z lądowaniem, bo nie przez strach, ażem pojął naraz prawdziwą przyczynę. Nie znałem mianowicie nazwy mojego lądowiska. Jak gdyby ta nazwa mogła mieć jakiegokolwiek znaczenie, ale tak już jest. Stąd poszła niechybnie gorliwość, z jaką astronomowie chrzcili każdy krater Księżyca i Marsa i popadli w rozterkę, kiedy odkryli na innych planetach tyle gór i wądołów, że już, im dobrze brzmiących nazw nie stało.

Okolica leżała płaska, tylko na horyzoncie od północy odcinały się od czarnego nieba zręby obłych skał bladopopielatej barwy. Piachu było tam co niemiara i szedłem brnąc w nim ciężko, od czasu do czasu sprawdzając, czy mikropy mi towarzyszą. Unosiły się nade mną tak wysoko, że tylko niekiedy pobłyskiwały jak iskry, żwawym ruchem odróżniające się od gwiazd. Znajdowałem się blisko terminatora, granicy dnia i nocy, ale ciemną połowę tarczy księżycowej miałem przed sobą, gdzieś za horyzontem, odległym tu o jakieś dwie mile. Słońce bardzo niskie, dotykając ogromną tarczą widnokregu za moimi plecami, cięło ten płaskowyż długimi równoległymi cieniami. Każde zagłębienie gruntu, nawet niewielkie, wypełniał taki mrok, że wchodziłem weń jak w wodę. Na przemian oblewany chłodem i gorącym szedłem uparcie przed siebie, prosto na własny, olbrzymi cień, który czynił ze mnie istnego olbrzyma. Mogłem rozmawiać z bazą, ale nie było o czym. Wivitch pytał mnie co parę chwil, jak się mam i co widzę, a ja odpowiadałem, że w porządku i że nic. Na szczycie połogie wydmy spoczywały stertą płaskie, dość duże kamienie, a skierowałem się w ich stronę, bo błysnęło tam coś metalicznego. Była to masywna, pusta łuska jakiejś starej rakiety, ani chybi jeszcze z epoki pierwszych strzałów w Księżyc. Podniosłem ją i obejrzawszy, porzuciłem. Poszedłem dalej. Na samym szczycie wzniesienia, gdzie nie było prawie tego miążskiego piasku, który tak czepia się butów, leżał osobno kamień podobny do płaskiego, źle wypieczonego bochenka chleba i nie wiem czemu zachciało mi się go trącić nogą. Może z nudów, a może dlatego, bo tak osobno leżał. Kopnąłem go więc, zamiast potoczyć się z pochyłości, pękł, ale tak, że tylko kawałek rozmiaru pięści odskoczył i powierzchnia rozłamu

zaśniła jak czysty kwarc. Włożono mi wprawdzie do głowy masę wiadomości o chemicznym składzie księżycowej skorupy, ale nie mogłem sobie przypomnieć, czy występuje w niej krystaliczny kwarc, więc schyliłem się po ten odłamek. Jak na Księżyc był porządnie ciężki. Potrzymałem go w ręku przed oczami, aż nie wiedząc, co z nim zrobić, cisnąłem, żeby iść dalej, ale nie ruszyłem z miejsca, bo w ostatnim momencie, kiedy wypuszczałem go już z garści, jakoś tak dziwnie zabłysnął w Słońcu, zamrowił, jakby we wklęsłej powierzchni, tej odpeklej, coś mikroskopijnego zadrgało. Nie podniosłem go jednak powtórnie, a tylko schyliwszy się patrzyłem nań dość długo, mrugając oczami, w przekonaniu, że to chyba złudzenie wzroku, bo z tym kamieniem doprawdy działo się coś dziwnego. Szczerby, wywołane pęknięciem, traciły blask, i to tak szybko, że bo kilkunastu sekundach zmatowiały, a potem zaczęły się wypełniać, jakby z wnętrza kamienia dobywało się coś, i nie rozumiałem, jak to może być; ten kamień zdawał się broczyć półpłynną mazią jak nacięte drzewo żywicą. Ostrożnie dotknąłem go palcem, ale to nie było lepkie, raczej mułowate, jak gips, nim zakrzepnie. Popatrzyłem więc na tę drugą, większą część kamienia i zdziwiłem się jeszcze bardziej. Nie tylko zmatowiała, ale jakby wybrzuszyła się trochę w miejscu rozłamania. Nic jednak nie powiedziałem Wivitchowi, tylko stałem w rozkroku, czując obecność Słońca za plecami jako gorący ucisk, kilka metrów nad łagodnie pofałdowaną równiną, całą w białych pasmach i plamach cienia, nie spuszczać wzroku z tego, co działo się z kamieniem. Rósł, a właściwie zarastał. Po prostu zarastał, tak że po paru minutach obie części, ta wielka i mała, którą miałem w ręku, przestały do siebie pasować, bo obie się wypukliły, aż każda z nich stała się nieregularną bryłą bez płaszczyzn pęknięcia. Czekałem, co będzie dalej, ale już nic więcej się nie działo, jakby tu i tam powstałe blizny zasklepiły jakąś ranę. Było to niemożliwe i wyzbyte wszelkiego sensu, ale było. Uzmysłowiwszy sobie naraz, jak lekko pękł ten kamień, chociaż wcale mocno go nie kopnąłem, rozejrzałem się za innymi. Kilka mniejszych leżało na podświetlonym stoku, więc wzięwszy saperkę, zeszedłem i jej ostrzem jak siekierą uderzyłem każdy po kolei. Każdy pękł jak przejrzały owoc kasztana, łyskając rozłamem wnętrza, aż trafiłem na kamień zwyczajniejszy, bo saperka odskoczyła od niego zostawiając na powierzchni tylko białawą rysę. Wróciłem więc do tych rozpadłych na dwoje. Zbliźniały się, nie mogłem już w to wątpić. Miałem w workowatej kieszeni na prawym udzie mały licznik Geigera. Ani drgnął zbliżony do tych kamieni. Odkrycie mogło być ważne, bo kamienie tak się nie zachowują, więc nie były naturalne, stanowiły bodaj produkt miejscowej technologii i powinienem był je pozbierać. Już sięgałem po jeden, aż przypomniałem sobie, że przecież nie mogę wrócić na pokład, bo tego projekt nie przewidywał. Chemicznych analiz też nie mogłem zrobić na miejscu, nie mając żadnych odczynników. Gdybym zawiadomił o tym

fenomenie Wivitcha, zaczęłyby się sąziste rozmowy, konsultacje, podekscytowani lunologowie kazaliby mi sterczeć na tej wydmie, tłuc ile się da inne kamienie jak jaja, obserwować, co się z nimi dzieje, wysuwać coraz śmielsze domniemania. Ale czułem we wszystkich kościach, że nic z tego nie będzie, bo pierwszej wypada zrozumieć, po co takie zjawisko występuje, co się za nim kryje, aż usłyszałem Wivitcha, który widział, że coś tłukę saperką, ale nie widział dobrze co. Obraz przekazywany przez mikropy nie był widać dostatecznie ostry. Powiedziałem, że nic takiego i poszedłem prędko dalej z głową pełną myśli.

Zdolność zablizniania odniesionych w walce uszkodzeń mogła być nader potrzebna jakimś bitewnym robotom, gdyby tu były, ale przecież nie kamieniom. Cóż, miałyżby się miejscowe zbrojenia pod komputerowym zarządem rozpocząć od fazy procy i pocisku? A gdyby nawet tak, po kiego licha potrzebne kamiennym pociskom zarastanie? Naraz, nie wiem skąd mi się to wzięło, pomyślałem, że przecież nie jestem tu jako człowiek, lecz jako zdalnik, więc nie w żywej, ale w martwej postaci. Czy nie mogło być tak, że rozwój księżycowych zbrojeń szedł w dwu niezależnych od siebie kierunkach: jako tworzenie broni, atakujących to, co wrogie i martwe oraz oddzielnie to, co wrogie a żywe? Powiedzmy, że tak było. Powiedzimy - fantazjowałem już - że środki rażące martwą broń nie mogą jednocześnie czy z taką samą skutecznością razić żywych nieprzyjaciół, a ja natrafiłem akurat na te drugie, przygotowane na wypadek lądowania człowieka. Ponieważ nim nie byłem, te jakieś miny - dajmy na to, że były to miny - nie wyczuwając żywego ciała wewnątrz skafandra, nie zrobiły mi nic złego, i cała ich aktywność ograniczyła się do zasklepienia szczyby. Gdyby jakiś ziemski robot zwiadowczy trącił je nogą, nie zwróciłby najmniejszej uwagi na ich bliznowacenie, bo na pewno nie mógł być tak zaprogramowany, żeby uwzględnić równie zaskakujące i nieprzewidziane zjawisko. Ja natomiast nie byłem ani robotem, ani człowiekiem i dlatego je zauważyłem. Co dalej? Tego już nie wiedziałem, ale jeśli w moim domyśle tkwił chociaż atom prawdy, należało się spodziewać innych min, czatujących już nie na ludzi, lecz na automaty. Szedłem więc trochę wolniej i bardzo ostrożnie stawiałem każdy krok, mijając wydnię po wydmie, z nieruchomym Słońcem za plecami, od czasu do czasu napotykając większe i mniejsze kamienie, których już nie rozlupywałem saperką i nie kopałem, bo gdyby rzeczywiście były dwu rodzajów, mogło się to źle skończyć. Przeszedłem tak dobre trzy mile, może trochę więcej, ale nie chciało mi się wyciągać krokomierza, bo tkwił głęboko w zewnętrznej kieszeni podudzia, a była tak wąska, że tylko z największym trudem mogłem wepchnąć w nią rękawicę, aż patrząc ku południowi dostrzegłem jakieś ruiny. Nie zrobiło to na mnie zbytniego wrażenia, bo na Księżycu jest wiele rumowisk z tak spiętrzonymi

przypadkiem skalnymi okruchami, że wyglądają z daleka na ruiny zabudowań, ale podchodząc do nich bliżej człowiek konstatuje, że uległ złudzeniu. Mimo to zmieniłem kierunek i brnąc przez coraz głębszy piach czekałem, kiedy ta grupa skał objawi swój rzeczywisty, chaotyczny wygląd, ale nie chciała. Przeciwnie, im bardziej tam się zbliżałem, tym wyraźniej ukazywały się częściowo potrzaskane i osmalone fasady niskich zabudowań. Czarne plamy nie były zwykłymi cieniami, lecz ziały, co prawda nie tak regularne, jak otwory okienne, ale równie wielkich dziur w żadnych księżycowych skałach, i to jeszcze tworzących niemal regularny szereg, nikt dotychczas nie odkrył. Piasek przestał mi się naraz zapadać pod nogami. Buty uderzały w chropawe, grube szkliwo, jakby w zakrzepłą lawę, ale nie była to lawa, lecz bodaj stopiony i zastygły piach, poddany działaniu bardzo wysokiej temperatury. Nie myliłem się, skoro ta skorupa błyszcząca mocno w Słońcu i pokrywała całe łagodne zbocze, po którym wznosiłem się w stronę ruin. Dzielili mnie od nich dość wysoka wydma, górująca nad całą okolicą, tak że znalazłszy się na jej szczycie, mogłem objąć dziwne ruiny spojrzeniem i pojąłem wtedy, czemu nie można ich było dostrzec z orbity. Tkwiły głęboko w gruzie. Gdyby to naprawdę były ostatki rozpękłych domów, powiedziałbym, że gruz podchodził aż po okna. Z odległości jakichś trzystu metrów przypominały znany dobrze z fotografii widok: osady zbudowanej z kamienia i rozpadłej przy trzęsieniu ziemi. Bodajże w Persji są takie osady. Z orbitalnego lotu można by je rozpoznać tylko w pobliżu terminatora, kiedy bardzo niskie Słońce świeciło na wylot przez te ich przestrelone czy na wpół zapadłe i jakby eksplozją zniekształcone otwory okienne. Wciąż nie byłem jednak pewny, czy to nie jest tylko szczególna formacja skał, więc poszedłem ku nim, ale już tak mi się nie podobały, że wziąłem w rękę licznik Geigera i popatrywałem na jego tarczkę. Było to niewygodne. Schodząc ze stoku wywróciłem się nawet jak długi, więc włączyłem przewód Geigera do wtyczki w skafandrze, przez co mogłem słyszeć jego tykot, gdyby teren okazał się radioaktywny. Był, a jakże, ale dopiero od połowy przeciwstoku. Ledwie wstąpiłem na gruzowiska, okalające te przysadkowate domy bez dachów, ze szczerbatymi murami (teraz już pewny, że to nie jest twór naturalnych sił Księżyca), usłyszałem gęsty, drobny tykot. Co więcej, gruz nie rozjechał mi się pod stąpanieniami, jakby to uczynił zwykły gruz, gdyż był spojony w nieruchomy masyw. Było to tak, jakby tę dziwną osadę trafił w sam środek wybuch, który promieniował żarem dość długo, żeby rumowisko, w jakie się obróciła, uległo nadtopieniu i utworzyło zeskaloną całość. Znajdowałem się już u pierwszych ruin, ale nie przyglądałem się im jak należy, bo musiałem zważać na każdy krok, stawiając ostrożnie ciężkie buty na kończystych występkach tej wielkiej hałdy, żeby się nie obśliznąć między głazy, o co nie było trudno. Dopiero wyżej, już na wprost bliskiej ruiny, dość stromy gruz

przeszedł w szklistą polewę, pokrytą czarniawymi smugami niby sadzą. Iść stało się łatwiej, przyspieszyłem więc, aż stanąłem u pierwszego okna. Był to nieregularny otwór, wgnieciony od góry nawisłymi kamieniami. Zajrzałem do środka i nie od razu, bo panował tam gęsty mrok, dostrzegłem jakieś podłużne przedmioty leżące w bezładzie. Nie chciało mi się wczołgiwać przez rozwalone okno, bo mogłem w nim łatwo uwięznąć, zważywszy masowość mego zdalnika, szukałem więc drzwi. Skoro były tu okna, to i drzwi też powinny gdzieś się przecie znajdować. Nie znalazłem jednak żadnych, obszedłem więc to domostwo, wgniezione taką olbrzymią siłą w grunt, aż całe wykoślawiło się i rozplaszczyło, by odkryć w bocznej ścianie dość szeroką wyrwę, przez którą mogłem schylając się wejść do środka. Tam, gdzie światło słoneczne sąsiaduje na Księżycu bezpośrednio z cieniem, kontrasty jasności są tak ogromne, że oko nie może im podolać; musiałem więc zejść w kąt tego wnętrza, sunąc rozłożonymi rękami po ścianie, i przycisnąwszy do tęgiego muru plecy, zacisnąłem powieki, aby przyzwyczaić wzrok do ciemności. Policzywszy w duchu do stu, rozejrzałem się.

Wnętrze przypominało jaskinię bez sklepienia, co zresztą nie rozjaśniało go z góry ani trochę, boż niebo Księżyca jest czarne jak noc. Także światło słoneczne nie daje się tam dostrzec jako jasny słup, gdy pada przez jakiś otwór, bo nic go nie rozprasza jak powietrze i pył na Ziemi. Słońce zostało na zewnątrz i oświetlało tylko białą pałającą plamą ścianę naprzeciw kąta, w którym stałem. W jej odbłasku spoczywały u moich stóp trzy trupy. Tak pomyślałem w pierwszym momencie, bo choć szerniałe i zniekształcone, miały przecież nogi, ręce, korpusy, a jeden miał nawet głowę. Mrużąc oczy i osłaniając się od słonecznej plamy, żeby mnie nie oślepiła, przykucnąłem nad najbliższym. Nie były to zwłoki ludzkie, co więcej, nie były to niczyje szczątki śmiertelne, bo to, co od powstania martwe, nie może umrzeć. Nawet nie dotknąwszy jeszcze zewłoku na wznak rozkraczonego u moich stóp, poznałem, że to rodzaj manekina, ale chyba nie robota, bo jego rozpruty szeroko kadłub był całkiem pusty. Tkwiło tam tylko trochę odłamków gruzu i piasku. Ostrożnie pociągnąłem go za ramię. Był niezwykle lekki, jak ze styropianu, czarny jak węgiel, bez głowy, ale dostrzegłem ją u ściany. Stała na odszarpiętym karku i patrzyła na mnie trzema pustymi oczodołami. Oczywiście zdziwiłem się, czemu właściwie trzema, a nie dwoma. Trzecie oko jako okrągła jamka ziało poniżej czoła, tam gdzie u człowieka znajduje się nasada kości nosowej, ale ten dziwny manekin nigdy chyba nie miał nosa, co zrozumiałe, bo na Księżycu nie może się na nic przydać. Pozostałe manekiny też były tylko z grubsza człekokształtne. Choć zagłada tych zabudowań mocno je zniekształciła, widziało się na pierwszy rzut oka, że ich człekokształtność i przedtem była tylko przybliżeniem, a nie dokładną kopią ludzkiej anatomii. Miały zbyt długie nogi, bodaj półtora raza dłuższe od tułowi, zbyt cienkie ręce i do

tę wychodziły im nie z barków, lecz dziwacznie, jedna z piersi, a druga z pleców. Tak musiało być, bo eksplozja, fala uderzeniowa i obwał mogłyby powykręcać kończyny jednemu, ale nie wszystkim w ten sam sposób. Mieć jedną rękę z przodu a drugą z tyłu może być, kto wie, w pewnych okolicznościach wygodnie. Przykucnięty naprzeciw ostrej słonecznej plamy w mroku pośród trzech strupieszalców uświadomiłem sobie, że oprócz prędkiego tykotania licznika radioaktywności nie słyszę nic, a przecież już od dobrych paru minut, jeśli nie dłużej, przestał mnie dochodzić głos Wivitcha. Ostatni raz odpowiedziałem mu ze szczytu wydmy górującej nad ruiną, nie mówiąc nic o moim odkryciu, bo chciałem się najpierw upewnić, że to nie omyłka. Wezwałem bazę, ale wciąż tylko szybko, alarmowo terkotał mój Geiger. Radioaktywne skażenie było spore, nie traciłem jednak czasu na jego pomiar, bo i tak jako zdalnikowi nie mogło mi zaszkodzić, aż pomyślałem, że łączność radiową odciął mi jakiś zjonizowany gaz, niewidzialnie wciąż wydzielany przez zgruchotane kamienne osiedle, w każdej chwili mogę też stracić łączność z moim statkiem. Przeleżało mnie to porządnie i głupio, bo wydało mi się, że wówczas zostanę tu na zawsze, a przecież gdyby łączność się zerwała, zostałaby wśród gruzów i ruin tylko zdalnik, ja natomiast odzyskałbym przytomność na pokładzie. Na razie jednak nie odczuwałem najsłabszych oznak utraty panowania nad zdalnikiem. Mój statek musiał wisieć chyba dokładnie nad osiedlem, bo wędrował na stacjonarnej orbicie, tak żeby znajdować się nade mną zawsze w zenicie. Nikt wprawdzie nie przewidział ani takiego odkrycia, ani takiej sytuacji, ale zenitowa pozycja jest optymalna przy manewrowaniu zdalnikami, ponieważ odległość od sterującego człowieka jest wtedy najmniejsza, toteż najmniejsze jest opóźnienie wszystkich reakcji. Księżyc nie ma atmosfery, a stężenie zjonizowanego gazu, może efektów parowania minerałów po wybuchu, nie było zbyt duże. Czy uszkodziło też łączność bazy z mikropami, nie wiedziałem i nie troszczyłem się o to w tej chwili; chciałem raczej dowiedzieć się, co tu zaszło, a przez to wejść w domysły, po co i dlaczego.

Wywlokłem idąc tyłem przez wyrwę w murze największe zwłoki, te z całą głową. Nazywam je zwłokami, choć nimi nie były, ale to wrażenie samo mi się narzucało.

Łączności radiowej nie odzyskałem i na zewnątrz, pragnąłem jednak przede wszystkim zbadać biedaka, który nigdy wprawdzie nie żył, lecz robił tyleż okropne co żalodne wrażenie swoim wyglądem. Miał chyba ze trzy metry wzrostu, może nieco mniej, był smukły, głowę miał bardzo silnie wydłużoną, trójką, ani śladu nosa czy ust, szyję długą, chwytną rękę, ale palców nie policzyłem, bo materiał, z którego został utworzony, stopił się najmocniej tam, gdzie, jak u rąk, członki były cienkie. Całego pokrywał smolisty żużel. Porządna tu musiała panować temperatura, pomyślałem, i wtedy dopiero błysnęło mi, że

mogło to być osiedle z rodzaju tych, jakie budowało się ongiś na Ziemi, żeby badać skutki wybuchów jądrowych, w Nevadzie i gdzie indziej, z domami, ogródkami, sklepami, ulicami, i tylko ludzi zastępowały tam różne zwierzęta, bodajże owce i kozy, a też świnie, bo mają skórę nie owłosioną jak my a przez to podobnie reagują oparzeniami na udar termiczny. Czy nie mogło tu zdarzyć się coś podobnego? Gdybym znał pierwotną moc ładunku nuklearnego, który zmiotł to osiedle i wbił je w gruz, mógłbym na podstawie aktualnej promieniotwórczości ustalić, jak dawno nastąpiła eksplozja, a może nawet ze składu izotopów i teraz jeszcze fizycy potrafiliby to stwierdzić, więc na wszelki wypadek włożyłem do nakolanowej kieszeni skafandra trochę miążkiego gruzu i znów już ze złością wspominałem, że przecież nie wrócę na pokład. Ustalenie daty tego wybuchu było jednak konieczne choćby w przybliżeniu. Postanowiłem wycofać się ze skażonej strefy, odzyskać łączność z bazą i przekazać wiadomości, a potem zostawić zadanie fizykom. Niech się sami domyślą, jak przeprowadzić analizę próbek, które zebrałem. Nie całkiem wiedząc po co, podniosłem żalostnego nieboszczyka, bez trudu zarzuciłem go sobie na plecy, bo nie ważył tu więcej niż osiem czy dziesięć kilogramów, i rozpocząłem dość kłopotliwy taktyczny odwrót. Długie nogi niesionego wlokły się po gruncie, zaczepiały o kamienie, więc musiałem iść bardzo powoli, żeby nie runąć razem z nim. Zbocze nie odznaczało się zbyt stromizną, ale sam nie wiedziałem, czy poręczniej stąpać po miejscach śliskich, skały zakrzepłej w glazurę, czy po gruzie, który rozsuwał się i poczynał płynąć razem ze mną przy każdym kroku. Przez tę mordownię zmyliłem obrany kierunek i zamiast na wydnię, z której przyszedłem, dostałem się jakieś ćwierć mili bardziej ku zachodowi między duże, obłe głazy, podobne do kamieni-monolitów, zwanych "świadkami" przez ziemskich geologów. Złożyłem niesionego na płaskim gruncie i sam usiadłem, żeby odsapnąć, nim wezmę się do wzywania Wivitcha. Rozglądałem się za mikropami, ale nigdzie nie było ani śladu ich roziskrzanej chmurki, głosów żadnych też nie słyszałem, choć właściwie powinny by już mnie dochodzić. Tykot czujnika w hełmie stał się tak rzadki, jakby na membranę padały pojedyncze ziarnka piasku. Usłyszawszy niewyraźny głos, pomyślałem, że to baza i wsłuchawszy się weń zdrętwiałem. Z chrypliwego bełkotania doszły mnie najpierw dwa słowa: "Bracie rodzony... rodzony bracie..." Chwila ciszy i znów: "Bracie rodzony... rodzony bracie..."

"Kto mówi?" - chciałem krzyknąć, ale nie ważyłem się. Siedziałem skurczony, czując jak pot występuje mi na czoło, a ten obcy głos znów wypełnił mi hełm. "Chodź, bracie rodzony. Rodzony bracie, chodź do mnie. Zbliź się bez obawy. Nie chcę nic złego, bracie rodzony. Chodź do mnie. Nie będziemy z sobą walczyli. Rodzony bracie, zbliź się. Nie bój się. Nie chcę walczyć. Musimy się zbratać. Tak, bracie rodzony. Pomóż mi. Ja też tobie

pomogę, bracie rodzony”. Coś trzasło i ten sam głos, ale całkiem innym tonem, krótko, warkliwie, ostro rzucił: “Złóż broń! Złóż broń! Złóż broń! Rzuć broń, bo cię spalę. Nie próbuj uciekać! Odwróć się tyłem! Podnieś ręce! Obie ręce! Tak! Obie ręce na kark! Stój i nie ruszaj się! Nie ruszaj się! Nie ruszaj się!”

Znów coś chrupnęło i wrócił pierwszy głos, ten sam, ale zająkliwy, słaby: “Bracie rodzony! Zbliź się. Musimy się zbratać! Pomóż mi. Nie będziemy walczyć”. Nie mogłem już wątpić, że gadał ten zewłok. Leżał, jak go rzuciłem, podobny do przetrąconego pająka z rozdartym odwłokiem i splątanymi kończynami, szczyrzył puste oczodoły do Słońca, nie poruszał się, ale coś z niego wciąż gadało do mnie w kółko. Piosenka na dwa takty. Na dwie melodie. Najpierw o bracie rodzonym, potem chrapliwe rozkazy. To jego program, pomyślałem. Nic innego. Manekin czy robot, najpierw miał przywabić człowieka, żołnierza, a potem wziąć do niewoli albo zabić. Ruszyć się już nie mógł, i tylko chrobotał w nim ten nie dopalony ostatek programu, wciąż w kółko. Dlaczego jednak przez radio? Gdyby był przeznaczony do walki na Ziemi, mówiłby chyba zwykłym głosem wprost. Nie rozumiałem, do czego było mu radio. Przecież na Księżycu nie mogło być żadnych żywych żołnierzy, a robota by tak nie przywabił. Chyba nie? Jakieś mi to było bez sensu i ładu. Patrzałem na jego poczerniałą czaszkę, na wykręcone i osmalone ręce, ze stopionymi w sople palcami, na rozwarty kadłub, już bez odruchowego współczucia, jak przed chwilą. Raczej nieprzyjaźnie, powiedziałbym, a nie tylko ze wstrętem, chociaż był Bogu ducha winien. Tak został przecież zaprogramowany. Czy można oburzać się moralnie na program odcisnięty w elektrycznych obwodach? Kiedy zaczął znów pleść swoje “bracie rodzony”, odezwałem się do niego, ale nie słyszał mnie. W każdym razie niczym tego nie objawił. Wstałem, a kiedy mój cień padł na jego głowę, urwał w pół słowa. Odstąpiłem na krok, znów się odezwał. A zatem pobudziło go Słońce. Przekonawszy się o tym, rozważyłem, co robić dalej. Z tego manekina-pułapki nie mogło być wiele pociechy. Już nazbyt prymitywne było takie “urządzenie bojowe”. Bodaj i księżycowi zbrojmistrze mieli te długonogie stwory za bezwartościową starość, jeśli użyli ich dla wypróbowania skutków jądrowego ciosu. Żeby nie mącił mi w głowie wciąż swą trupią śpiewką, a zresztą mówiąc prawdę sam dobrze nie wiem, czy tylko dlatego, zacząłem zbierać z otoczenia co większe kawały gruzu i obrzuciłem nimi najpierw jego czaszkę, a potem i korpus, zupełnie jakbym go chciał pogrzebać. Zrobiło się cicho i usłyszałem cieniutkie popiskiwanie. Sądziłem *zrazu*, że to wciąż jeszcze on i rozejrzałem się nawet za dalszymi kamieniami, ale poznałem znaki Morse'a. -T-I-C-H-Y - U-w-a-g-a – ti-c-hy - t-u b-aza - a-w-a-r-i-a - s-a-t-e-l-i-t-y - a-w-a-r-i-a - f-o-n-i-a - z-a-r-a-z - w-r-ó-c-i - c-z-e-k-a-j - t-i-c-h-y.

Wysiadł więc satelita z tych trojańskich, które utrzymywały między nami łączność.

Zaraz go naprawią, a jakże, pomyślałem z przekąsem. Odpowiedzieć nie mogłem, nie mając jak. Po raz ostatni spojrzałem na popalone szczątki, na białe w Słońcu ruiny zabudowań po przeciwnej stronie zagłębienia między wydmami, powiodłem oczami po czarnym niebie, szukając w nim na próżno mikropów i na chybił trafił ruszyłem ku ogromnej, wypukłej fałdzie skalnej, która wynurzała się z piasków niby szare cielsko gigantycznego wieloryba. Szedłem prosto na czarne od cienia jak smoła pęknięcie tej skały, podobne do wylotu jaskini. Zmrużyłem oczy. Ktoś w nim stał. Postać prawie ludzka. Niska, pleczysta, w szarzielonkawym skafandrze. Podniosłem od razu rękę, myśląc, że to znów moje odbicie, a barwę skafandra zmienia tylko smuga cienia, ale tamten ani drgnął. Zawahałem się. Może i strach mnie obleciał, a może jakieś przecucie. Ale przecież byłem tu nie po to, żeby teraz uciekać, a zresztą dokąd właściwie? Poszedłem prosto dalej. Wyglądał zupełnie jak przysadkowaty człowiek.

- Halo - usłyszałem jego głos. - Halo... słyszysz mnie?

- Słyszę - odpowiedziałem bez szczególnej ochoty.

- Chodź tu, chodź... ja też mam radio!

Dosć idiotycznie to zabrzmiało, ale szedłem ku niemu. Coś wojskowego było w kroju jego skafandra. Na piersi krzyżowały mu się połyskujące matalicznie pasy. Ręce miał puste. Dobre i to, pomyślałem, idąc, ale wciąż wolniej. Wszedł mi naprzeciw i podniósł ramiona bezpośrednim, serdecznym gestem, jakby ujrzał starego znajomego.

- Witaj, witaj! Daj ci Bóg zdrowia... Jak to dobrze, że przyszedłeś nareszcie! Pogwarzymy sobie... ja z tobą, ty ze mną... pogadamy - jak pokój na świecie zaprowadzić... jak tobie się żyje i mnie...

Mówił to wylewnym, rozedrganym głosem, dziwnie przejmującym, śpiewnym, przeciągając sylaby i szedł ku mnie wytrwale przez ciężki piasek, wciąż trzymając szeroko rozwarte ręce jak do uścisku, a w całej jego postawie, w każdym ruchu było tyle serdeczności, że już sam nie wiedziałem, co mam myśleć o tym spotkaniu. Był już o kilka kroków, ale ciemne szkło jego hełmu błyskało tylko słońcem. Objął mnie, uściśnął i takeśmy stali u szarego stoku wielkiej skały. Usiłowałem zajrzeć mu w twarz. Nawet z odległości dłoni nie zobaczyłem, bo szkliwo jego przyłbicy było nieprzezroczyste. Nie żadne szkliwo nawet, raczej maska, pokryta warstewką szkła. Jakże mnie zatem widział?

- Tu u nas dobrze ci będzie, kochany... - powiedział i stuknął swoim hełmem w mój, jakby mnie chciał ucałować z dubeltówki.

- U nas bardzo jest dobrze... my wojny nie chcemy, my dobrotliwi, cisi, sam zobaczysz, kochany... - Mówiąc ostatnie słowa, równocześnie kopnął mnie tak mocno i

gwałtownie w gołęń, że upadłem jak długi, i runął mi obu kolanami na brzuch. Zobaczyłem wszystkie gwiazdy, całkiem dosłownie, gwiazdy czarnego księżycowego nieba, a mój niedoszły przyjaciel przycisnął mi lewą ręką głowę do ziemi, prawą zerwał z siebie te metalowe pasy, które zwinęły się same w podkowiaste kabłąki. Nie odzywałem się, raczej zdeorientowany, ponieważ, przytwierdzając po kolei moje ręce do gruntu tymi kabłąkami, które wbijał potężnym, niespiesznym ciosem kułaka, mówił jednocześnie dalej:

- Dobrze ci będzie, kochany... my prości, życzliwi, łagodnie nastrojeni, ja cię lubię i ty mnie polubisz, kochany...

- A nie “bracie rodzony?” - spytałem, czując, że nie jestem już w stanie ruszyć ręką ani nogą.

Moje odezwanie bynajmniej nie wytrąciło go z serdeczności.

- Bracie...? - rzekł z zastanowieniem, jakby na próbę smakował jakość tego wyrazu. - Niech ci będzie bracie! Ja dobry i ty dobry! Brat dla brata! Bo my bracia. Prawda?

Wstał ze mnie, szybko i rzeczowo obklepał mi boki uda, domacał się kieszeni, powyjmował z nich cały mój dobytek, płaski pojemnik z narzędziami, licznik Geigera, odpiął mi saperkę, jeszcze raz, już mocniej, pomacał mnie, zwłaszcza pod pachami, potem spróbował wetknąć palce za cholewki butów, a podczas tej starannej rewizji osobistej ani na chwilę nie przestał mówić.

- Bracie rodzony, powiedziałaś. Co? Może tak, a może nie. Czy nas jedna matka rodziła? Ech, matka, matka... Matka to święta istota, bracie. Taka dobra! I ty też dobry jesteś. Bardzo dobry! Broni nie nosisz żadnej. Chytrus, kochany chytrusek... tak sobie spaceruje, grzybki zbiera. Borowików ćma. Las stoi, tylko jakoś go nie widać. Tak, kochany bracie... zaraz ci ulżę, lepiej ci będzie, zobaczysz. My ludzie pokoju, prości, do nas świat należy.

Tymczasem zdjął już z barów rodzaj płaskiego tornistra i rozwarł go. Błysnęły jakieś końcyste instrumenty. Wziął jeden, zważył w garści, odłożył, wyjął drugi, rodzaj potężnych nożyc, podobnych do dźwigniowych, jakimi żołnierze podczas ataku rozcinają zwoje kolczastego drutu, zwrócił się w moją stronę, ostrza zaświeciły w Słońcu, okrakiem siadł mi na brzuchu, podniósł to narzędzie ze słowami “Daj Bóg zdrowia”, wbił w moją pierś jednym zamachem. Zabolalo, chociaż nie bardzo. Widać mój zdalnik miał dławiki przykrych doznań. Nie wątpiłem już, że serdeczny księżycowy druh rozpruje mnie jak rybę, i właściwie winienem był już wrócić na pokład, pozostawiając mu truchło do rozszarpania, ale byłem tak zafascynowany kontrastem między słowami i czynami, że leżałem jak w znieczuleniu.

- Dlaczego nic nie mówisz? - spytał, tnąc już z ostrym, chrupkim odgłosem wierzchnią warstwę mego skafandra. Nożyce miał pierwszorzędne, z jakiejś niesamowicie twardej stali.

- Powiedzieć coś? - spytałem.

- Ano powiedz!

- Hiena.

- Co?

- Szakal.

- Obrazić mnie chcesz, druha? Nieładnie. Ty mój wróg! Ty zdradziecki. Ty umyślnie tu bez broni przyszedłeś, żeby mnie zatumanić. Ja tobie życzyłem dobrze, ale wroga należy zbadać. Obowiązek taki mam. Takie prawo. Zaatakowany zostałem. Bez wypowiedzenia wojny wdarłeś się na naszą ziemię świętą! Sameś sobie winien. "Bracie rodzony". Psu jesteś brat! Ty gorszy od psa, a za hienę i szakala popamiętasz mnie, ale niedługo. Pamięć ci zaraz z życiem minie.

Jakoż ostatnie złącza piersiowych pokryw puściły i zaczął podważać i wyłamywać na boki. Zajrzał mi do środka i znieruchomiał.

- Ciekawe urządzenka - rzekł wstając. - Fintifluszki rozmaite. Ja prostak, ale uczeni nasi pojną. Ty poczekaj tu, gdzie będziesz się spieszył? Nie ma pośpiechu teraz. Już ty nasz, przyjacielu!

Grunt zadrgał. Przekręciwszy głowę w bok, ile się dało, zobaczyłem innych takich jak on. Szli równo, w czworoboku, paradnym krokiem, wyrzucając wysoko nogi jak na defiladzie. Łomotali tak w tym marszu paradnym, aż się kurz wzbijał.

Mój oprawca szykował się pewno do raportu, bo stanął na baczność.

- Tichy, odezwij się, gdzie jesteś? - zahuczało mi w uszach. - Fonia już w porządku. Tu Wivitch! Baza! Słyszysz mnie?

- Słyszę! - odparłem.

Strzępy tej rozmowy musiały dojść tamtych, bo z marszu przeszli w bieg.

- Czy wiesz, w jakim sektorze jesteś? - pytał Wivitch.

- Wiem, właśnie się przekonałem. Wzięto mnie do niewoli! Napoczęty jestem!

- Kto? Kto! - zaczął Wivitch, ale mój kat zagłuszył dalsze słowa.

- Alarm! - krzyknął. - Ogłaszam alarm! Bierzcie go, zwijajcie się!

- Tichy! - krzyczał z dala Wivitch - Nie daj się!!!

Zrozumiałem go. Przekazywanie najnowszej technologii ziemskiej robotom nie leżało w naszym interesie. Nie mogłem ruszyć nawet palcem, ale był na to sposób. Zacisnąłem ze wszech sił szczękę. Usłyszałem trzaśnięcie jak przekręcane go kontaktu i zapadłem się w egipską ciemność. Zamiast piachu poczułem pod plecami miękką wyściółkę fotela. Byłem znów na pokładzie. Wskutek zawrotu głowy nie potrafiłem od razu znaleźć właściwego

przycisku. Naraz sam wpadł mi w oczy. Rozbiłem ochronną kopułkę z plastyku i do oporu wbiłem piętę w czerwoną tarczkę, żeby zdalnik nie dostał im się w ręce. Funt ekrazytu rozniósł go tam na strzępy. Żal mi było tego *LEMa*, ale musiałem to zrobić. Tak zakończył się drugi zwiad.

## VII. MASAKRA

Po dziesięciu następnych lądowaniach zostały mi wspomnienia tyleż wyrywkowe co przykre. Trzeci zwiad trwał najdłużej, bo trzy godziny, chociaż dostałem się w sam środek regularnej bitwy, toczonej przez roboty podobne do jaszczurek, i to przedpotopowych. Były tak zajęte walką, że nie dostrzegły mnie, kiedy biały jak anioł, tyle że bez skrzydeł, zleciałem na pole bitwy, w aureoli płomienia. Jeszcze lecąc pojąłem, czemu i ta okolica wyglądała ze statku na pustą. Pokryte były barwami ochronnymi, a poza tym miały na grzbietach wypukły deseń imitujący rozsypane na piasku kamienie. Poruszały się pełzając z szaloną szybkością i nie wiedziałem w pierwszym momencie, co robić; kule wprawdzie nie świstały, broń palna nie była tu w użyciu, za to od błyskania laserów można było oślepnąć. Poczłgałem się prędko ku wielkim białym głazom, bo było to jedyne niedalekie schronienie, i wychylając spoza nich głowę, przyglądałem się walce. Prawdę powiedziawszy, nie umiałem się zrazu zorientować, kto właściwie z kim się bije. Te jaszczurowe roboty, podobne do kajmanów, atakowały dość równy stok, nachylony w moją stronę, poruszały się skokami. Sytuacja okazała się bardzo poplątana. Wyglądało na to, że wśród atakujących był nieprzyjaciel, w ich szykach, może nastąpił przedtem desant, nie wiem, ale widziałem, jak jedne metalowe jaszczurki rzucały się na inne, wyglądające zupełnie tak samo. W jakiejś chwili trzy goniące jedną znalazły się całkiem blisko. Dopadły jej, ale nie zatrzymały, bo kolejno pogubiła wszystkie nogi, w które się jej wczepiały, i umykała dalej, wijąc się jak wąż. Nie spodziewałem się tak prymitywnych bojów, z wyrywaniem ogonów i nóg i czekałem, kiedy dobiorą się do moich, ale jakoś w bitewnym ferworze żadna nie zwróciła na mnie uwagi. Szeroką tyralierą szły na stok, plując łyśnięciami laserów, które miały chyba w paszczach, może zresztą nie były to paszcze, tylko lejowato, jak u garłacza, rozszerzone lufy. Coś dziwnego działo się na stoku wzgórza. Szybko pełzną roboty pierwszej linii, osłaniane ogniem idącym z tyłów, docierały mniej więcej do połowy zbocza i zaczynały tam ustawać. Nie wkopywały się w grunt, ale szły coraz wolniej i zmieniały barwę. Piaskowe skorupy grzbietów poczynają im ciemnieć, potem okrywał je siwy dymek, jakby od niewidzialnego płomienia, aż rozżarzały się i obracały w gorejące truchło. Nic jednak nie błyskało z tamtej strony, więc nie mógł to chyba być ogień laserów. Sporo zwęglonych i nadtopionych automatów zaścielało już zbocze, ale pojawiały się wciąż nowe szeregi i gnały na stracenie. Dopiero włączywszy sobie dalekowiedz, zrozumiałem, co atakują. Na samym szczycie wzgórza rozpościerało się coś ogromnego i nieruchomego jak forteca, ale była to forteca

zaiste osobliwa, bo zwierciadlana. A może i niezwierciadlana, lecz osłonięta jakimiś ekranami, które pokazywały w górnej części czarne niebo z gwiazdami, a w dolnej piaszczyste rumowisko zbocza. Bodaj było to i lustro, i ekran jednocześnie, błyski laserów nie mogły mu zrobić, odbijając się, a niżej, tam gdzie walało się najwięcej trupiszonów, temperatura skał przekraczała dwa tysiące stopni: wskazał mi to bolometr, który miałem w hełmie. Jakaś zapora indukcyjna czy coś w tym guście, pomyślałem, przywierając jak się dało do głazu, który był moją osłoną. Te małe atakują, a ten lustrzano-ekranowy otoczył się niewidzialną tarczą żaru. Bardzo dobrze, ale co mam zrobić bezbronny jak niemowlę między lawinami szarżujących czołgów? Nie musiałem relacjonować bazy tego zmagania, bo mój trzeci zdalnik w odwodzie miał specjalny odrzutowy szybowiec, o wyglądzie zwyczajnego okrucha skalnego. Udawał meteor, a podejrzenie mógł wzbudzić tylko tym, że nie spadał, jak przystało na zwykły meteor, lecz polatywał ze dwie mile nade mną. Coś dotknęło mego uda. Spojrzałem w dół i osłupiałem. Była to oderwana noga robota, który przed chwilą zgubił wszystkie i przeistoczył się w węża. Ruszając się powolutku noga lazała i lazała przed siebie, aż prześlizgnąwszy się między głazami, za którymi byłem ukryty, natrafiła na mnie. W tej ślepo dygocącej nodze, z trzema ostrokończystymi pazurami, okrytej powłoką naśladowaną gruboziarnistym piachem, było coś obrzydliwego i rozpaczliwego zarazem. Usiłowała wczepić mi się w udo, ale nie mogła, nie mając żadnego oparcia. Wziąłem ją ze wstrętem w garść i odrzuciłem najdalej, jak mogłem. Natychmiast ruszyła ku mnie z powrotem. Zamiast obserwować jak należało przebieg bitwy, musiałem stoczyć pojedynek z tą nogą, bo już znów na mnie włąziła, nieudolnie, jak po pijanemu. Zaraz przyjdą za nią inne, przemknęło mi, i wtedy dopiero będzie głupio. Dobrze chociaż, że baza milczała, toż rozmowa mogła zostać podsłuchana i źle bym na tym wyszedł. Skuliwszy się za mroczną, zacienioną stroną wielkiego głazu, czekałem z saperką w garści na tę nogę w niemiłym stanie ducha. Jeszcze tylko tego brakowało, żeby tkwił w niej jakiś radiowy nadajnik. Kurcząc się i rozkurczając na przemian dotarła do moich kolan, bo klęczałem, wtedy przycisnąłem ją do ziemi jedną ręką a drugą zacząłem okładać ostrzem saperki. Zamiast obserwować bitwę, Ijon Tichy usiłuje zrobić na Księżycu siekanekę z robocich nówek. Cóż za historia! Musiałem ją w końcu trafić w jakieś czulsze miejsce, bo przewróciła się rozwartym podkolaniem w górę i zastygła. Odrzuciłem ją więc i wyjrzałem zza głazu. Tyraliery zamarły, tak że ledwie mógł rozpoznać poszczególne automaty, zlewające się szarością z otoczeniem. Natomiast w górę zbocza szedł, nie wiem skąd, lekko pochylając się na boki, jak okręt na fali, pająk, wielkości sporej chałupy. Z wierzchu płaski jak żółw, chwiał się na rozstawionych szeroko licznych nogach, których kolana górowały nad nim z obu boków, a on kroczył ciężko, miarowo, rozważnie,

przemieszczając swe wielocłonowe szczudła i zbliżał się już do strefy żaru. Ciekawe, co z nim teraz będzie, pomyślałem. Pod brzuchem niewyraźniało mu coś podłużnego, ciemnego, prawie czarnego, jakby niósł tam jakieś bitewne urządzenie. Tuż u strefy gorąca stanął, szeroko rozkraczony, i stał tak porządną chwilę, całkiem jakby się namyślał. Całe pobjowisko zamarło. Tylko w hełmie słyszałem popiskiwanie sygnałów, nadawanych niezrozumiałym kodem. Była to bardzo osobliwa bitwa, bo zdawała się jednocześnie prowadzona prymitywnie, podobna wręcz do zmagania mezozoicznych dinozaurów sprzed milionów lat na Ziemi, i wyrafinowana, skoro te jaszczury były laserowymi automatami i nie wylęgały się z gadzich jaj, ale były robotami wypchanymi elektroniką. Gigantyczny pająk prawie przysiadł, tak że dotknął brzuszyskiem gruntu, i jakby zwarł się w sobie. Nie usłyszałem nic, toż nawet gdyby Księżyc miał się rozpęknąć, nie usłyszysz żadnego huku ani dźwięku, ale grunt drgnął raz, drugi i trzeci. Te drgnięcia przeszły w nieustające mrowienie - wszystko wokół razem ze mną roztrzęsło się, przepojone coraz gwałtowniejszą i coraz szybszą wibracją. Dalej widziałem księżycowe wydmy, z rozrzuconymi wśród nich szarawymi jaszczurkami, połogi stok przeciwległego wzniesienia, a nad nim czarne niebo, ale jak przez dygocące szkło. Kontury przedmiotów rozmazywały się i nawet gwiazdy nad horyzontem mrugały jak na Ziemi, a potem stały się topniejącymi plamkami. Wraz z wielkim głazem, do którego przywarłem, drżałem febrycznie, istny kamerton, i drżenie to wypełniło mnie całego, czułem je w każdej kości i w każdym palcu, coraz silniejsze, jakby rozhuśtywało wszystkie cząstki mego jestestwa, żeby rozprysły się jak galareta. Wibracja bolała już, miałem w sobie tysiące mikroskopijnych świdrów naraz, chciałem odepchnąć się od głazu, stanąć na równych nogach, bo wtedy dochodziłaby mnie tylko przez podeszwy butów i mogło to ją osłabić, ale nie potrafiłem ruszyć ręką, jak sparalizowany i patrzyłem tylko na wpół oślepy na ogromnego pająka, który zwinął się w nastroszoną, ciemną kulę, jak żywy pająk, konający pod silnie powiększającym szkłem. Wtem pociemniało mi w oczach, czułem, że lecę w jakąś bezdeń, aż ze zdławionym gardłem, cały w pocie, otwarłem powieki i w oczy zaświeciła mi przyjaźnie barwna tablica czołowa sterów. Wróciłem na pokład. Widocznie urządzenia bezpiecznikowe same odłączyły mnie od zdalnika w opresji. Odczekawszy jakąś minutę, zdecydowałem się jednak wrócić do zdalnika, chociaż z fatalnym, nie znanym dotąd uczuciem, że wcielę się w rozszarpanego na kawałki trupa. Ostrożnie, jakby mogła mnie sparzyć, pchnąłem rękojeść i znalazłem się znów na Księżycu i znów poczułem wszechogarniające mrowienie. Zanim bezpiecznik odrzucił mnie z powrotem do rakiety, zdążyłem jeszcze, chociaż niewyraźnie, dostrzec wielki zwał czarnych szczątków powoli obsuwający się ze szczytu wzniesienia. Forteca padła chyba, pomyślałem, i znów wróciłem

do własnego ciała. To, że zdalnik nie rozpadł się, dodało mi odwagi, by wcielić się weń jeszcze raz.

Nic już nie drżało. Panował martwy spokój. Między szczątkami popalonych jaszczurczych automatów spoczywały złomiska fortecy - tego zagadkowego urządzenia, które broniło dostępu na szczyt wzgórza - pająk, który ją zdruzgotał katastrofalnym rezonansem (nie wątpię, że on to sprawił), leżał płasko jako ogromny kłęb drgających kończyn, które wciąż prostowały się i podginały w agonii. Te miarowe ruchy stawały się coraz bardziej powolne, aż ustały. Pyrrusowe zwycięstwo? Czekałem dalszego ataku, ale nic nie poruszało się, i gdybym nie pamiętał tego, co zaszło, może nie zauważyłbym nawet żułowatych rupieci zaścielających całe przedpole, tak stapiały się w jedno z piaszczystymi fałdami terenu. Chciałem wstać, ale nie mogłem. Nie udało mi się nawet ręką ruszyć. Ledwie zdołałem pochylić głowę w hełmie, żeby spojrzeć na siebie.

Nie był to miły widok. Głaz, który służył mi dotąd za przedpiersie, pękł na wielkie odłamy, pokryte siatką drobniejszych pęknięć. W gruzie utworzonym z jego szczątków tkwiły moje uda, a właściwie ich kikuty. Nieszczęsny, okaleczony zdalnik był tylko bezrękim i beznogim korpusem. Doznałem niesamowitego uczucia, że głową jestem na Księżycu, a ciałem na pokładzie, bo widząc wciąż pobojowisko pod czarnym niebem, równocześnie czułem pasy dociskające mnie do siedzenia i oparcia fotela. Ten niewidzialny fotel był jakby ze mną i nie był, bo zobaczyć go nie mogłem. Nietrudno przysłoby wyjaśnić moje wrażenia: czujniki, pozbawione dopływu sygnałów, przestały działać i pozostałem w łączności tylko z głową, która osłonięta hełmem, zniosła zabójcze trzęsienie ziemi wywołane przez pająka. Nie mam tu już nic do roboty, pomyślałem, trzeba wracać na dobre. Mimo to trwałem dalej zaryty kadłubem w gruzowisko, wodząc oczami po osłonecznionym teatrze bitwy. Coś z mozołem zatrzepotało daleko w piaskach niczym wyrzucona na brzeg, na wpół zdechła ryba. Jeden z jaszczurczych automatów. Piasek sypał mu się z grzbietu, kiedy wstawał, aż przysiadł w sposób podobny do kangura, czy raczej dinozaura i siedział tak, ostatni świadek a zarazem uczestnik walki, w której nikt nie odniósł zwycięstwa. Odwrócił się ku mnie i nagle począł kręcić się na miejscu, coraz szybciej, aż siła odśrodkowa odrzuciła mu w tył długi ogon. Patrzałem na to zdumiony, on zaś wirował już jak fryga, aż poleciały zeń na wszystkie strony kawałki i rymnąwszy na płask, przewrócił się parę razy, aby ostatnim koziołkiem uderzyć w inne zwłoki i znieruchomieć ostatecznie. Chociaż nikt nie wykładał mi elektronicznej teorii konania, ani wątpię, że je ujrzałem, bo do żywego przypominało spazmy zgniecionej chrząszcza czy gąsienicy, a przecież wiemy dobrze, jak wygląda ich śmierć, chociaż nie możemy wiedzieć, czy ich ostatnie drgawki oznaczają cierpienie. Miałem zupełnie dość

widowiska. Co więcej, zdawało mi się, że w jakiś trudny do wyrażenia sposób jestem tak w nie wplątany, jakbym był jego sprawcą. Ponieważ jednak nie dla filozoficzno-moralnych rozważań udałem się na Księżyc, zacisnąwszy szczęki zerwałem więź z biedną resztką *Lunar Excursion Mannequin* numer trzy i w okamgnieniu wróciłem na pokład, aby złożyć bazie sprawozdanie z kolejnego zwiadu.

## VIII. NIEWIDZIALNY

Tarantoga, któremu dałem przeczytać te zapiski, powiedział, że ze wszystkich, którzy przygotowali moją misję i czuwali nade mną, robię durniów albo niedołęgów. Tymczasem Ogólna Teoria Systemów dowodzi matematycznie, że nie ma elementu albo części, która byłaby całkiem niezawodna i nawet jeśli każdą obdarzyć awaryjnością o milionowym ułamku, czyli taką, że dany element może się popsuć raz na milion razy, system złożony z miliona *m u s i* w jakimś miejscu nawalić. Ten zaś, którego księżycowy koniuszek stanowiłem, składał się z osiemnastu milionów składowych, więc durniem odpowiedzialnym za większość mych kłopotów jest materia, bo żeby się wszyscy specjaliści na głowie postawili i byli samymi geniuszami, mogło być tylko jeszcze gorzej, nigdy lepiej. Pewno tak jest. Z drugiej strony skutki wszystkich tych nieuchronnych awarii skrupiały się na mnie, a psychologicznie biorąc, nikt w fatalnym położeniu nie klnie za nie atomów ani elektronów, lecz konkretne osoby, więc moje depresje i urządzane przez radio awantury też były nie do uniknięcia. Baza pokładała szczególne nadzieje w ostatnim *LEMie*, ponieważ był cudem techniki i zapewniał maksymalne bezpieczeństwo. Był to zdalnik w proszku. Zamiast stalowego atlety w pojemniku spoczywała duża kupa mikroskopijnych ziarenek, a każde z nich gęstością intelektualną dorównywało superkomputerowi. Pod wpływem odpowiednich impulsów te drobinki zaczynały się szepiać, aż tworzyły *LEMa*. Ten sekret oznaczał Lunar EVASIVE Molecules. Mogłem lądować jako silnie rozproszony obłok molekuł, mogłem skupiać się w razie potrzeby w kształt robota o ludzkiej postaci, ale równie dobrze mogłem przemienić się w jeden z czterdziestu dziewięciu innych zaprogramowanych stworów, a gdyby nawet osiemdziesiąt pięć procent tych ziarenek uległo zniszczeniu, pozostałych starczyło dla dalszego wykonywania zwiadu. Teoria takiego zdalnika, zwanego DYSBERSANTEM, jest tak skomplikowana, że nikt jej sam nie pomieści w głowie, choćby był dzieckiem Einsteina, von Neumanna, prestidigitatora i Rady Głównej Massachusetts Institute of Technology plus Rabindranath Tagore, więc i ja nie miałem o niej zielonego pojęcia. Wiedziałem tylko, że wcielono mnie w trzydzieści miliardów różnych cząstek, bardziej wszechstronnych niż komórki żywego ustroju i że nie pamiętam, ile razy zdublowane programy zmuszają te cząsteczki do łączenia się w najrozmaitsze agregaty, obracane w kurzawę za naciśnięciem klawisza, a do tego wszystkiego w stanie rozproszenia niewidzialne dla oka, radarów i wszystkich rodzajów promieniowania z wyjątkiem promieni gamma. Gdybym więc miał wpaść w jakąś zasadzkę, mogłem rozproszyć się, dokonać taktycznego

odwrotu i na powrót skupić się w pożądanej postaci. Tego, co się czuje, będąc chmurą, zajmującą ponad dwa tysiące metrów sześciennych, nie potrafię wyjawić. Trzeba chociaż raz stać się taką chmurą, żeby to pojąć. Gdybym stracił wzrok, a dokładniej mówiąc czujniki optyczne, mogłem je zastąpić niemal każdym rodzajem innych, to samo z rękami, nogami, mackami, narzędziami. Musiałem tylko baczyć, żeby się nie zgubić w bogactwie możliwości. Wówczas jednak tylko siebie mógłbym winać za niepowodzenie. W ten sposób uczeni pozbyli się odpowiedzialności za awaryjność zdalnika, bo zwalili ją na mnie. Nie powiem, żeby to poprawiło moje samopoczucie w doskonały sposób. Wylądowałem u równika w wysokim Słońcu na odwrotnej stronie Księżyca, w samym środku japońskiego sektora, przybrawszy postać centaura, a właściwie stworzenia opatrzonego czterema kończynami, dwiema rękami w górnej części tułowia oraz dodatkowym układem maskującym, który otaczał mnie jako wysoce inteligentny gaz, a nazwę centaura zawdzięczał z braku lepszego określenia dość słabemu podobieństwu do tej mitologicznej istoty. Choć i z tym zdalnikiem w przeszku zapoznałem się na poligonie Lunar Agency, sprawdziłem, zlazłszy do ładowni, czy działa należycie i było doprawdy niezwykle patrzeć, jak ta wielka kupa słabo połyskującego proszku po włączeniu wybranego programu zaczyna się ruszać, przesypywać, szczepiać, zlepiać, aż utworzy zadany kształt, i jak po wyłączeniu scalającego pola elektromagnetycznego (a może całkiem innego) rozlatuje się w okamgnieniu jak kopnięta baba z piasku. To, że mogę się w każdej chwili rozlecieć na drobne cząsteczki i skupić z powrotem, miało dodać mi ducha. Przemiany były jednak raczej przykre, odczuwałem je bowiem jako bardzo silny zawrót głowy połączony z drżączką, ale na to nie było rady. Zresztą ów stan zamętu trwał tylko dopóty, dopóki nie wcieliłem się w nowy kształt. Ponoć mogła mu dać radę jedynie termojądrowa eksplozja i to w bezpośredniej bliskości. Pytałem, jak prawdopodobne jest, że rozsypię się cały od defektu, ale nic wyraźnego mi nie powiedziano. Rzecz jasna próbowałem włączyć dwa programy naraz, taki, że podług jednego miałem się wcielić w człekokształtnego molocha, a podług innego w rodzaj trzymetrowej gąsienicy ze spłaszczoną głową i chwytnikami jak ogromne kleszcze, ale nie wyszło z tego nic, bo selektor wcieleń działał na zasadzie albo-albo. Tym razem stanąłem na gruncie księżycowym bez odvodu mikropów, sam bowiem byłem poniekąd mnóstwem mikroskopijnych cyklopów (które technicy zwą też w swoim żargonie mikrocykami). Ciągnąłem za sobą prawie niedostrzegalną kite przekładników, jakby rozwiany mgławo tren, widoczny tylko kiedy się zagęszczał. Z poruszaniem się też nie miałem problemów. Ponieważ jestem dociekliwy, pytałem, co będzie, jeśli się okaże, że na Księżycu też powstały podobne proteuszowe automaty, ale tego nikt mi nie mógł powiedzieć, chociaż na poligonie puszczano na siebie po dwa a nawet po trzy

egzemplarze naraz, żeby się zmieszały ze sobą jak chmury ciągnące w przeciwnych kierunkach. Zachowywały jednak w dziewięćdziesięciu procentach identyczność. Czym jest dziewięćdziesięcioprocentowa identyczność też niełatwo wytłumaczyć, bo trzeba to przeżyć, żeby zrozumieć. W każdym razie początek kolejnego zwiadu szedł jak po maśle. Maszerowałem, nie musząc nawet rozglądać się na różne strony, bo widziałem na wszystkie naraz, chociaż z boków i z tyłu w skrócie, jak pszczoła, która ma półkoliste oczy i patrzy tysiącami ommatidiów wszędzie naraz, ale ponieważ nikt z mych czytelników nie jest pszczołą, pojmuję, że i to przyrównanie nie może oddać mych doznań.

To, w jaki sposób poszczególne państwa zaprogramowały swoje komputerowe wylęgarnie broni, stanowiło ich tajemnicę, ale po Japończykach, znanych z tego, że są z cicha pęk, a w samej rzeczy nadzwyczaj zmyślni, spodziewałem się srogich niespodzianek. Profesor Hakagawa, członek naszego zespołu w bazie, też pewno nie wiedział, w co rozwinęły się prapoczwarki japońskich broni, ale lojalnie przestrzegł mnie, abym się miał na baczności i nie dał się łatwo zwieść żadnych pozorom. Nie wiedząc jak trzeba odróżniać pozory od faktów, kłusowałem terenem monotonnym i płaskim. Tylko na samym widnokręgu wznosił się płytki wał ogromnego krateru. Wivitch, Hakagawa i cała reszta okazywała wielkie zadowolenie, bo telewizyjny obraz przekazywany trojańskim satelitom a z nich na Ziemię był ponoć ostry jak brzytwa. Po godzinie drogi spostrzegłem wśród leżących w bezładzie, zaspanych piaskiem mniejszych i większych kamieni jakieś niskie odrostki, które zwracały się w moją stronę. Wyglądały jak nać ziemniaczana, kiedy zwiędnie. Spytałem, czy mogę wziąć się do tej naci, ale nikt nie chciał zastąpić mnie w decyzji, a kiedy nalegałem, jedni uznali, że powinienem koniecznie, a drudzy, że lepiej tego nie robić. Pochyliłem więc mój tułów centaury nad nieco większą kępą tych zarośli i spróbowałem oderwać jedną giętką łodyżkę. Nic się nie stało, więc trzymając ją w garści, przybliżyłem do oczu. Poczęła się wic jak żmijka i mocno oplotła mi nadgarstek, ale robiąc różne próby przekonałem się, że gdy ją lekko gładzić, a właściwie łechtąć palcem, popuszcza chwyt. Dość głupio było właściwie odezwać się do naci ziemniaczanej, choć wiedziałem, że nie ma z kartoflami nic wspólnego, ale spróbowałem.

Nie liczyłem na odpowiedź i nie otrzymałem jej. Porzuciłem więc te rozwinięte pędy, ruszające się jak robaki i pocwałowałem dalej. Okolica przypominała marnie uprawiane zagony jakichś warzyw i patrzyła przez to na dość sielską, spodziewałem się jednak w każdej chwili ataku i nawet prowokowałem te pseudowarzywa, deptając je kopytami (tak bowiem wyglądały moje buty; gdyby mi na tym zależało, mogłem je uczynić racicami). Niebawem dotarłem do długich grzęd innych martwych zarośli. Przed każdą stała wielka tablica z

ogromnymi napisami STOP! HALT! STÓJ! i równoznacznikami w coś dwudziestu innych językach, łącznie z malajskim i hebrajskim. Mimo to zagłębiłem się w tych uprawach. Nieco dalej wirowały nad samym gruntem maciupęńkie bladoniebieskie muszki, które na mój widok zaczęły się układać w litery DANGER! OPASNOST! GEFAHR! NIEBEZPIECZEŃSTWO! DANGER! YOU ARE ENTERING JAPANESE PINTELOU! Połączyłem się z bazą, ale nikt razem z Hakagawą nie wiedział, co znaczy PINTELOU i znalazłem się w pierwszym małym kłopotcie, bo kiedy wszedłem w te drgające nad piaskiem litery, poczęły oblepiać mnie i łązić po mym ciele jak mrówki. Nic mi jednak złego nie robiły, więc jak mogłem otrzepywałem się z nich ogonem (okazał po raz pierwszy przydatność), po czym pobiegłem dalej, starając się poruszać bruzdą między zagonami, aż dotarłem do zbocza wielkiego krateru. Zarośla przechodziły łagodnie w rodzaj wąwozu a dalej w pogłębiającą się szeroką rozpadlinę, tak głęboką, że nie mogłem widzieć jej dna, bo pełna była czarnego jak sadza księżycowego mroku. Naraz wprost na mnie wyjechał stamtąd wielki czołg, płaski, olbrzymi, głośno skrzypiąc i łomocząc szerokimi gąsienicami, co było o tyle dziwne, że na Księżycu nic nie słychać, bo nie ma powietrza, przewodzącego fale akustyczne.

Mimo to słyszałem ów łomot, a nawet to, jak żwir chrupie pod stałą gąsienic. Czołg walił prosto na mnie. Za nim pojawiła się długa kolumna innych. Chętnie ustąpiłbym im z drogi, ale w wąskim przesmyku nie było gdzie się cofnąć. Już chciałem obrócić się w kurzawę, gdy pierwszy najechał na mnie i przepłynął jak mgła, tylko na parę chwil zrobiło się trochę ciemniej. To znów jakieś zwidy, fatamorgany, pomyślałem i coraz śmielej dałem się przejeżdżać następnym. Za nimi szli tyralierą żołnierze, najzwyczajniejsi w świecie, skośnoocy, z bagnietami nasadzonymi na krótkie automatyczne karabinki, a pośród nich szedł oficer przy szabli, z flagą w ręku, na której czerwieniało słońce.

Wszyscy przeszli przeze mnie jak dym i znów zrobiło się pusto.

W pogłębiającej się rozpadlinie stało się mroczno, więc zaświeciłem reflektory, a właściwie tak zwane najaśnice, które okalały wszystkie moje oczy, i poruszając się znacznie wolniej dotarłem do wylotu pieczary obwałowanego starym żelastwem. Sklepienie okazało się zbyt niskie dla mego wzrostu, więc żeby nie mieć fatygi w ciągłym pochylaniu ciała, obróciłem się w centaury-jamnika, a chociaż brzmi to dość głupawo, odpowiada nie najgorzej prawdzie, bo nogi mi się skurczyły i niemal wlokąc brzuchem po kamieniach lałem coraz dalej, wchodząc w nie tkniętą ludzkimi stopami głąb księżycowego podziemia. Zresztą i moje stopy nie były właściwie ludzkie. Potykałem się coraz częściej, nogi mi się rozjeżdżały na śliskim żwirze, więc wspomniawszy, na co mnie teraz stać, obróciłem je w poduszkiowate łapy, przylegające do podłoża niby stopy lwa czy tygrysa. Czuję się w nowym ciele coraz

bardziej swojsko, ale nie miałem czasu, żeby to wysmakować, oświetlając nieregularnie porzeźbione ściany płaskodennej jaskini, aż natrafiłem na kratę zamykającą całą szerokość przejścia i pomyślałem, że te japońskie bronie są dziwnie uprzejme wobec intruzów, bo nad kratą u samego pułapu świeciły duże napisy: NO ENTERING! DO NOT TRESPASS THIS BARRIER! KEIN DURCHGANG! PROCHODA NIET! NE PAS SE PANCHER EN DEHORS! PERICOLOSO! OPASNO! GEFAHRLICH! a za kratą widniała fosforycznie jaśniejąca trupa czaszka ze skrzyżowanymi puszczelami i napisem DEATH IS VERY PERMANENT. Nie zatrzymało mnie to ani na chwilę. Rozproszywszy się, przeniknąłem przez kratę i skupiłem się na powrót po drugiej stronie. Naturalne ściany tego skalnego korytarza ustąpiły miejsca owalnemu tunelowi z jasną jakby ceramiczną okładziną. Postukałem w nią palcem i wtedy w miejscu dotknięcia wyrósł mały pęd, który rozplaszczył się w tabliczkę MANE TEKEL UPHARSIN! Tyle ostrzeżeń wskazywało, że nie ma żartów, ale przecież nie po to wlałem tak głęboko, żeby się wycofać, kroczyłem więc dalej na moich cichostępach, czując, jak ogon miękko wlecze się za mną, gotów w każdej chwili przyjść mi z pomocą. Nie troszczyłem się o to, że nie widać mnie z bazy. Radio ucichło i słyszałem tylko jakieś ciche, ale przejmujące, dziwnie jęklive zawodzenie. Doszedłem do rozszerzonego miejsca, w którym tunel rozdwajał się. Nad lewą odnogą świecił neonowy napis THIS IS OUR LAST WARNING, a nad prawą nie było żadnego napisu, wybrałem więc oczywiście lewy korytarz i wnet coś zabielało; mur, zamykający dalszą drogę a w nim olbrzymie pancerne drzwi z szeregiem otworów zamkowych, istne wrota Sezamu czy skarbcia. Obróciłem prawą dłoń w chmurkę i wsączyłem ją po trochu do jednej z dziurek zamka. W środku było ciemno jak w dziupli o północy. Pomykieciwszy się tam na wsze strony wróciłem, by tak rzec, na zewnątrz i powtarzałem te sondowania, aż przez najwyższy otwór zamkowy udało mi się przemknąć na wylot, więc cały przeistoczyłem się w mgłę czy zawiesinę drobin i tym sposobem pokonałem i tę przeszkodę, licząc na to, że takiego przepływania intruzów przez dziurkę od klucza nawet Japończycy czy raczej ich płody nie mogły przewidzieć. Zrobiło mi się jakby duszniej, chociaż przecież nie dosłownie, boż nie oddychałem. Ciemność rozjaśniały teraz nie tylko obwódki mych wszystkich oczu, przypomniawszy bowiem sobie o dalszych sprawnościach tego *LEMa* zaświeciłem cały jak duży robak świętojański. Najpierw tyle blasku oślepiło mnie, ale wnet przywykłem.

Tunel prowadził prosto jak strzełił coraz głębiej i głębiej, aż dobiegł zwyczajnej, splecionej z jakichś niemal słomianych źdźbeł maty. Odgarnąwszy ją, wszedłem do rozległej sali, oświetlonej rzędami sufitowych lamp. Pierwsze było wrażenie kompletnego chaosu. W samym środku, rozwalone na wielkie kawały, spoczywały rozrzucone na boki świecące

porcelaną czy ceramiką ruiny jak superkomputer, roztrzaskany podłożoną bombą. Porwane strzępy kabli wiły się, oplatając poszczególne segmenty tych rozpekłych fragmentów, pokrytych miazgą szkliwa i połyskliwymi łuseczkami scalonych obwodów. Ktoś tu już był przede mną i paskudnie urządził Japończyków w samym centrum ich zbrojeniowego kompleksu. Najdziwniejsze było jednak to, że ów gigantyczny, bo kilkupiętrowy komputer został rozwalony siłą działającą z samego wnętrza, i to chyba od spodu, bo wszystkie jego ściany, osłaniane solidnymi pancerzami, rozpekły się odśrodkowo i runęły na zewnątrz, niektóre większe od bibliotecznych szaf, podobne trochę do nich, bo miały długie regały, wypchane spękanyimi sekcjami gęsto pozwijanych przewodów i lśniące miriadami rozdzielczych płytek. Jakby jakaś niesamowita pięść wbiła się w dno tego kolosa i rozłupawszy go, roztrzaskała, ale w takim razie powinienem był ją zobaczyć w samym środku zniszczeń. Jąłem się więc gramolić na gruzowisko, martwe jak splądrowane wnętrze piramidy, istny grobowiec złupiony przez niewiadomych rabusiów, aż dostałem się na wierzch zwalisk i zajrzałem z góry w sam środek. Ktoś tam leżał bez ruchu, jak pogrążony w uczciwie zasłużonym śnie. W pierwszej chwili wydało mi się, że to jest ten sam robot, który tak serdecznie witał mnie podczas drugiego zwiadu, nazywając bratem, aby powalić i rozpruć jak puszkę szprotów. Oglądałem tę postać, na dnie nieregularnego leja, utworzonego przez rozwalony komputer, wcale człekokształtną, chociaż nadludzkich rozmiarów. Z budzeniem go, pomyślałem, zawsze będę miał czas, rozsądniej zastanowić się, co tu właściwie zaszło. Japoński ośrodek zbrojeniowy na pewno nie życzył sobie takiego wtargnięcia i nie mógł też sam sobie go urządzić na zasadzie harakiri. Ewentualność taką oddaliłem jako nieprawdopodobną. Skoro granice poszczególnych sektorów były znakomicie strzeżone, może inwazji dokonano pod nimi, ryjąc krecimi sposobami głębokie przejścia w skałach i tą drogą nieznanymi sprawcy dostali się do samego serca obliczeniowych arsenałów, żeby obrócić je w perzynę. Aby się o tym upewnić, należało poddać indagacji automatycznego faceta, który zdawał się spać po rzetelnym wykonaniu niszczyielskiego zadania. Jakoś się do tego nie paliłem. Przebiegłem myślą wszystkie postaci, w które mogłem się przeistoczyć, chcąc znaleźć zapewniającą maksimum bezpieczeństwa podczas rozmowy, bo wyrwany ze snu mógł okazać mi antypatię. Jako chmura nie mogłem mówić, ale mogłem stać się chmurą jedynie częściowo, zachowując układ elokwencyjny wewnątrz mgławicowej otoczki. To wydało mi się najroztropniejsze. Budzenie kolosa wyrafinowanymi sposobami uznałem za zbędne, więc pchnąłem solidny złom komputera, żeby stoczył się wprost na niego, i jak mogłem najprędzej przepoczwarzyłem się podług planu. Dostał w głowę, aż góra szczątków drgnęła. Po jej stokach zaczęły się obsuwać co większe kawały elektronicznego gruzu. Od

razu się ocknął, zerwał się na równe nogi, stanął na baczność i charknął:

- Zadanie wykonane ponadplanowo! Pozycja nieprzyjaciela zdobyta, ku chwale ojczyzny! Melduję się do wykonywania dalszych rozkazów!

- Spocznij - rzekłem.

Nie oczekiwał pewno takiej komendy, ale obłuźnił postawę, rozsunał nogi i wtedy dopiero mnie dostrzegł. Coś w nim najwyraźniej zaskrzypiało.

- Witaj - powiedział. - Witaj! Daj ci Bóg zdrowia. Czemu taki niewyraźny jesteś, przyjacielu? Dobrze, że przyszedłeś nareszcie. Chodź tu do mnie, pogadamy sobie, pieśni zaśpiewamy, poradujemy się. Dobrze ci będzie u nas. My cisi, pokojowo nastroszeni, wojny nie chcemy, wojną gardzimy. Ty z jakiego sektora jesteś właściwie... - dodał całkiem innym tonem, jakby naszła go niespodziewanie podejrzliwość, bo ślady jego pokojowych dokonań były już nazbyt obecne. Pewno dlatego szybko przełączył się na przydatniejszy program. Wyciągnął ku mnie prawicę, ogromną, żelazną, i ujrzałem, że każdy jego palec był lufą.

- Do przyjaciela chcesz strzelać? - powiedziałem, falując łagodnie nad urwiskiem porcelany. - No, nie żałuj sobie, strzelaj, bracie rodzony. Strzelaj. Niech ci wyjdzie na zdrowie.

- Melduję Japończyka w kamuflażu! - charknął prędko i równocześnie wygarnął do mnie ze wszystkich pięciu palców. Posypało się ze ścian, ja zaś, nadal pogodnie falując nad nim, obniżyłem z ostrożności ośrodek elokwencyjny tak, żeby nie mógł go osiągnąć i zgęściwszy spodnią część obłoku, którym byłem, napałem na większy od komody odłam komputera, aż runął na niego, pociągając za sobą całą lawinę gruzu.

- Atak! - krzyknął - wzywam cały ogień na siebie! Ku chwale ojczyzny!

- Poświętliwy jesteś - zdążyłem jeszcze rzucić, nimem się cały przeistoczył w obłok. W samą porę, bo coś zadudniło, ogromna góra rumowiska zatrzęsała się i z jej środka buchnął płomień. Mój samostraceńczy rozmówca stanął w sinawym blasku, rozżarzył się i szerniał, ale ostatnim tchnieniem zdążył jeszcze wyrzucić z siebie: - Ku chwale ojczyzny! - Po czym jął się po trochu rozpadać. Najpierw odpadły mu ręce, potem pękła z żaru pierś, ukazując na mgnienie jakieś dziwnie prymitywne powiązane łykiem miedziane druty, a na koniec najtwardsza widać głowa. Od razu rozłupała się. Była całkiem pusta, istna łupina ogromnego orzecha. Ale on stał już rozżarzoną słupem i jak bierwiono drewna w ogniu spopielał, aż poszczególnymi segmentami rozpadł się na dobre.

Chociaż byłem mgłą, czułem jednak gorąco buchające ze środka ruiny jak z wulkanicznego krateru. Poczekalem chwilę, rozwiawszy się ku ścianom, ale żaden nowy kandydat na rozmówcę nie wyjrzał z płomieni, gorliwie buchających wzwyż, tak że dotąd

wciąż jeszcze nietknięte świetlówki stropu poczęły jedne za drugimi pękać i kawałki rur, szkła, przewodów sypały się na gruz, a jednocześnie robiło się coraz ciemniej i ta kiedyś schludna, matematycznie kolista sala przypominała scenę z sabatu czarownic, oświetloną sinym płomieniem, który wciąż buchał w górę, a jego ciąg dopiekał mi, aż widząc, że nie mam tu już nic do rozpoznawania, skupiwszy się, wpłynąłem do korytarza. Japończycy mogli mieć pewno jakieś inne, rezerwowe ośrodki militarnego przemysłu, równie dobrze rezerwowym i przez to mniej ważnym mógł być ten zniszczony, ale uznałem za wskazane wydostać się na światło dzienne i powiadomić bazę o tym, co zaszło przed następnym etapem rekonesansu. Nic mnie po drodze nie zatrzymało ani nie spotkało. Przez korytarz dostałem się do pancernych drzwi, przez dziurkę ich zamka na drugą stronę, potem zostawiłem za sobą kratę patrząc nie bez pewnego współczucia na wszystkie mijane, ostrzegawcze napisy, funta kłaków niewarte, aż w dali zajaśniał nieregularny wlot pieczary. Tu dopiero przybrałem postać zbliżoną do ludzkiej, bo jakoś już się za nią stęskniłem - był to nowy, nie doświadczany nigdy dotąd rodzaj nostalgii - i odszukałem głąz nadający się na miejsce spoczynku, nie bez narastającej rozterki, odczuwałem bowiem coraz większy głód, a jako zdalnik nic nie mogłem wziąć do ust. Trudno było jednak zostawić tak wielostronnego zdalnika na pastwę losu, aby coś choćby i pospiesznie przekąsić. Odłożyłem to więc, postanowiwszy pierwiej powiadomić mocodawców, a przerwę na posiłek zrobić zaraz potem, po umieszczeniu zdalnika w jakimś pewnym schronisku.

Wywoływałem i wywoływałem Wivitcha, ale odpowiadała tylko śmiertelna cisza. Sprawdziłem Geigerem, czy nie przesłania mnie i tu zjonizowany gaz. Może krótkie fale nie mogły się wydobyć z wąskiej rozpadliny, więc z pewną niechęcią obróciwszy się w chmurę, strzeliłem wysoko świecą w czarny nieboskłon i jako ptaszę znów wezwałem Ziemię. Nie byłem oczywiście żadnym ptaszkiem, toż bez powietrza nie można utrzymać się na skrzydłach, ale tak mi się powiedziało, bo to ładnie brzmi.

## IX. WIZYTY

Wróciłem z nieudanych zakupów jakby we śnie. Sam nie wiem, jak znalazłem się w moim pokoju, tak bardzo usiłowałem zrozumieć to, co zaszło przed domem towarowym. Nie mając najmniejszej ochoty znaleźć się przy stole z Gramerem i całą resztą, zjadłem wszystkie herbatniki schowane w szufladzie biurka i popiłem je colą. Już zmierzchało, kiedy ktoś zapukał. Myśląc, że to Hous, otwarłem drzwi. Stał w nich obcy mężczyzna, w ciemnym ubraniu, z płaską czarną teczką w ręku. Nie wiem czemu, wydał mi się przedsiębiorcą pogrzebowym.

- Czy mogę wejść? - spytał. Cofnąłem się milcząc. Nie rozglądając się, usiadł na krześle, na którym wisiała moja piżama. Położył teczkę na kolanach i wyjął z niej dość gruby plik maszynopisów, a z kieszeni staromodne binokle i nasadziwszy je sobie na nos, przez długą chwilę patrzył na mnie w milczeniu. Włosy miał prawie siwe, ale brwi czarne, twarz chudą, z opuszczonymi w dół kątami bezkrwistych ust. Stałem u biurka nie ruszając się, a on położył na blacie wizytówkę. Rzuciwszy na nią okiem przeczytałem "Profesor Dr Allan Shapiro I.C.G.D." Adres i numer telefonu były wydrukowane tak drobno, że ich nie odcyfrował, ale nie chciało mi się wziąć wizytówki w palce. Ogarnęło mnie obojętne znużenie, podobne trochę do senności.

- Jestem neurologiem - powiedział. - Dość znanym.

- Chyba czytałem pana... - mruknąłem niepewnie. - Kallotomia, lateralizacja funkcji mózgu... prawda?

- Tak. Jestem też doradcą Lunar Agency. To dzięki mnie mógł pan dotychczas zachowywać się tak, jak pan chciał. Uważałem, że w obecnym stanie należy pana ochraniać, ale nic więcej. Próba ucieczki była infantylna. Proszę to zrozumieć. Stał się pan nosicielem skarbu, który nie ma ceny. *Geheimnistrdger*, jak mówią Niemcy. Wszystkie pana poruszenia były bezustannie śledzone, i to nie tylko przez Agencję. Do dziś udaremniła osiem prób porwania pana, panie Tichy. Już lecąc do Australii, był pan pod obserwacją specjalnych satelitów, nie tylko naszych. Całym moim autorytetem przeciwstawiłem się żądaniom polityków, którym podlega Agencja, aby pana aresztować, ubezwłasnowolnić i tak dalej. Pewne porady, zasięgnięte przez pana przyjaciela, są bezwartościowe. Kiedy stawka jest dostatecznie wysoka, prawo przestaje się liczyć. Dopóki pan żyje, wszyscy - wszystkie zainteresowane strony, znajdują się w położeniu pata. To nie może trwać. Jeśli pana nie zdobędą, zabiją pana.

- Kto? - spytałem, patrząc na niego bez zdziwienia. Widząc, że zapowiada się dłuższa wizyta, usiadłem na fotelu, zrzuciwszy na podłogę parę gazet i książek.

- To nie ma znaczenia. Okazał pan, nie tylko moim zdaniem, dobrą wolę. Pana oficjalny raport porównano z tym, co pan pisał tutaj i zakopał w słoju. Poza tym jako *tertium comparationis* Agencja dysponuje wszystkimi nagraniami z bazy.

- I co? - powiedziałem, bez większego zainteresowania, tylko dlatego, bo zrobił przerwę.

- Częściowo pisał pan prawdę, a częściowo musiał pan konfabulować. To nie było z premedytacją. Wierzył pan w to, co było w raporcie i w to, co pan tutaj napisał. Kiedy w pamięci powstają luki, każdy normalny człowiek usiłuje je wypełnić. Całkiem bezświadomie. Zresztą nie wiadomo, czy pański prawy mózg stał się rzeczywiście skarbcem.

- To znaczy?

- Kallotomia mogła nie być dziełem przypadku.

- A czym?

- Manewrem dla odwrócenia uwagi.

- Czym? Księżycowym?

- To całkiem możliwe.

- Czy to znów aż takie ważne? - spytałem. - Przecież Agencja może wysłać następnych zwiadowców.

- Oczywiście tak. Wrócił pan przed sześcioma tygodniami. Natychmiast po ustaleniu diagnozy - mam na myśli pana kallotomię - zostali kolejno wysłani trzej inni ludzie z rezerwy.

- I nie udało im się?

- Udało im się wrócić. Wszystkim. Niestety, udało się to zbyt dobrze.

- Nie rozumiem.

- Ich przeżycia nie pokrywają się z pańskimi.

- W żadnym punkcie?

- Lepiej dla pana nie znać szczegółów.

- Ale jeśli pan je zna, to i pana mogą spotkać przykrości... profesorze Shapiro - powiedziałem uśmiechając się. Skinał filozoficznie głową.

- Naturalnie. Powstała, wśród ekspertów, moc sprzecznych hipotez. Wyniki analizy są mniej więcej takie. Klasycznie zbudowane zdalniki nie były na Księżycu zaskoczeniem. Zaskoczeniem stał się dopiero zdalnik molekularny, czyli ostatnie pana wcielenie. Lecz od tej chwili i on już nie jest tam niewiadomą.

- Co z tego wynika dla mnie?

- Chyba się już pan domyśla. Wtargnął pan TAM głębiej niż pańscy następcy.

- Księżyc urządził dla nich teatr?

- Tak to wygląda.

- A dla mnie nie urządził?

- Przebił pan dekoracje, co najmniej częściowo.

- Czemu mogłem wrócić?

- Ponieważ to było optymalne rozwiązanie dylematu, w sensie strategicznej gry. Pan wrócił, spełnił zadanie, a zarazem pan nie wrócił, więc go nie wypełnił. Gdyby pan w ogóle nie wrócił, w Radzie Bezpieczeństwa zdobyliby większość przeciwnicy dalszych zwiadów.

- Ci, co chcą zniszczyć cały Księżyc?

- Nie tyle zniszczyć, ile zneutralizować.

- To dla mnie nowość. Jak można to zrobić?

- Jest na to sposób. Co prawda niezmiernie kosztowny, jako pewna nowa technologia w zarodku. Nie znam jej szczegółów, ponieważ tak jest lepiej dla nas wszystkich i dla mnie samego.

- Coś tam pan jednak pewno dosłyszał... - mruknąłem. - Musiałaby to być w każdym razie jakaś technologia poatomowa? Nie ładunki wodorowe, nie rakiety balistyczne, coś bardziej dyskretnego. Coś, czego Księżyc nie potrafiłby w porę dostrzec...

- Jak na człowieka pozbawionego połowy mózgu, pozostał pan inteligentny. Wróćmy jednak do rzeczy, to znaczy do pana.

- Żebym się zgodził na badania? Pod auspicjami Agencji? Wzięty na spytki z prawej strony?

- Rzecz jest znacznie bardziej skomplikowana, niż pan sądzi. Dysponujemy oprócz pana raportu i nagrań misji szeregiem hipotez. Najpewniejsza brzmi mniej więcej tak: na Księżycu doszło do zderzeń między poszczególnymi sektorami. Nie doszło do zjednoczenia wszystkich sektorów ani do zniszczenia jednych przez drugie, ani do utworzenia planu zaatakowania Ziemi.

- Więc co się właściwie stało?

- Gdyby to można ustalić z należyłą pewnością, nie musiałbym pana fatygować. Międzysektorowe zabezpieczenia zawiodły niewątpliwie. Gry militarne starły się z sobą. Powstały bezprecedentalne efekty.

- Jakie?

- Nie jestem w tych kwestiach ekspertem, ale o ile wiem, kompetentnych ekspertów nie ma w ogóle. Jesteśmy zdani na domniemania pod hasłem *ceterum censeo humanitatem*

*preser-vandam esse*. Pan zna łacinę, prawda?

- Trochę. Proszę mi powiedzieć, czego pan chce ode mnie?

- W tej chwili jeszcze niczego. Jest pan, proszę wybaczyć, jak człowiek zadżumiony, kiedy nie było jeszcze antybiotyków. Odwiedziłem pana, ponieważ na to nastawałem i uzyskałem niechętną zgodę. Powiedzmy - *ultimum refugium*. Ilość wersji tego, co się stało na Księżycu, powiększył pan fatalnie. Mówiąc prosto z mostu, po pana powrocie wiadomo mniej niż przed pańskim zwiadem.

- Mniej?

- Oczywiście mniej. Przecież nie wiadomo nawet, czy pana prawy mózg zawiera jakąś krytyczną informację. Ilość niewiadomych wzrosła, kiedy zmaląła.

- Mówi pan jak Pytia.

- Lunar Agency przewoziła na Księżyc i umieszczała w sektorach to, co podług genewskiego porozumienia miała tam przewieźć. Ale programy komputerów pierwszej przewiezionej generacji pozostały tajemnicą poszczególnych państw. Agencji nie były dostępne.

- Czyli już na samym początku stał właściwie niebezpieczny nonsens?

- Naturalnie, jako skutek antagonizmów światowych. A czyż można rozróżnić pomiędzy programem, który wykoleił się w działaniu po kilkudziesięciu latach z nałożonych nań przez programistów zabezpieczeń i takim programem, który miał się właśnie w pewien specyficzny sposób wykoleić?

- Nie wiem, czy można; to potrafią pewno wyjaśnić fachowcy.

- Nie, tego nikt nie może wyjaśnić oprócz ludzi, co ułożyli tamte programy.

- Wie pan co, profesorze Shapiro? - powiedziałem wstając i podchodząc do okna. - Odnoszę wrażenie, że pan oplątuje mnie delikatną siecią. Im dłużej sobie gwarzymy, tym rzecz bardziej mętnieje. Co się stało na Księżycu? Nie wiadomo. Co naprawdę tam przeżyłem? Nie wiadomo. Czemu uległem tej cholernej kallotomii? Nie wiadomo. Czy pół mego mózgu coś o tym wie? Nie wiadomo. Proszę zatem uprzejmie o zwięzłe wyjawienie, czego pan sobie ode mnie życzy.

- Nie powinien pan mówić o uprzejmości sardonicznie. Uprzejmość trwała dotąd, bardzo daleko posunięta...

- Ponieważ leżała w interesie Agencji, a może jeszcze i jakim innym. Chyba że, jak pan powiada, ratowano mnie i osłaniano z dobrego serca. Co?

- Nie. O dobrym sercu nie może być mowy. Powiedziałem to panu już na wstępie. Stawka jest zbyt wysoka. Tak wysoka, że gdyby można było z pana wyekstrahować rzeczowe

wiadomości śmiertelną torturą, dawno by to zostało zrobione.

Nagle olśnił mnie niespodziewany domysł. Odwróciłem się plecami do ciemnego już okna i uśmiechnięty szeroko, skrzyżowawszy ręce na piersi, oświadczyłem:

- Dziękuję, profesorze. Teraz dopiero zrozumiałem, KTO osłaniał mnie naprawdę przez cały czas.

- Przecież mówiłem panu.

- Ale wiem już lepiej. Oni. Czy też on... - I otwierając okno, pokazałem wschodzący nad drzewami księżycowy sierp, ostro rysujący się bielą na granatowym nieboskłonie.

Profesor milczał.

- Pewno wiąże się to z moim lądowaniem - dodałem. - Z tym, że zdecydowałem się własnymi nogami stanąć na Księżycu, żeby wziąć to, co znalazł ostatni zdalnik, a mogłem to zrobić, bo w ładowni był skafander z ładownikiem. Wsadzili go tam na wszelki wypadek i skorzystałem z tego. Nie pamiętam co prawda, co się ze mną działo, kiedy wylądowałem we własnej osobie. Pamiętam i nie pamiętam. Zdalnika znalazłem, ale to nie był chyba ten molekularny. Pamiętam, że wiedziałem, po co ląduję: nie żeby go ratować, było to i niemożliwe, i bezsensowne, ale żeby wziąć coś. Jakies próbki? Czego? Tego nie potrafię sobie przypomnieć. A chociaż bodajże samej kallotomii nie poczułem albo jej nie spałem, jak w amnezji po wstrząsie mózgu, wróciwszy na pokład upchałem mój skafander w osobnym pojemniku i przypominam sobie, że był cały pokryty drobnym, mialkim pyłem. Jakimś dziwnym pyłem, bo w palcach był suchy, drobnusieńki, jak sól, ale trudno było zetrzeć go z rąk. Radioaktywny nie był. Mimo to umyłem się tak, jakbym podległ napromieniowaniu. A później nie próbowałem się nawet dowiedzieć, co to za substancja, zresztą nie miałem okazji stawiania takich pytań. Kiedy się dowiedziałem, że mam przecięty mózg, że tak paskudnie wpadłem, nie wracałem już nawet myślami do tej godziny na Księżycu, mając większe zmartwienia. Może pan słyszał coś o tym proszku? Perski nie był. Coś przywiozłem przecież... ale co?

Gość patrzył na mnie przez binokle przymrużonymi oczami, z pokerową twarzą.

- Ciepło... - powiedział. - A nawet gorąco... Tak, przywiózł pan coś... prawdopodobnie dlatego wrócił pan żywy mimo wylądowania.

Wstał i podszedł do mnie. Obaj patrzyliśmy na Księżyc, niewinnie jaśniejący wśród gwiazd.

- *Lunar Expedition Molecules* pozostały tam... - jakby do siebie powiedział mój gość. - Ale, miejmy nadzieję, zniszczone nie do odtworzenia! Pan sam go zniszczył, chociaż nic pan o tym nie wiedział, kiedy pan zeszedł do ładowni po skafander. Tym samym uruchomił pan

AUDEM, *autodemolition*, teraz mogę to powiedzieć, bo to już nie ma znaczenia.

- Jak na doradcę do spraw neurologii jest pan znakomicie poinformowany - rzuciłem, patrząc wciąż na Księżyc, częściowo zakryty przez obłoki. - Może pan nawet wie, kto ze mną stamtąd wrócił? Ich mikropy? Krystaliczny miał, niepodobny do zwyczajnego piasku...

- Nie. O ile wiem, polimery na bazie krzemu, jakieś Silicoidea...

- Ale nie zarazki?

- Nie.

- Dlaczego to takie ważne?

- Dlatego, że szły za panem.

- Nie może być, przecież...

- Może być, bo było.

- Pojemnik utracił hermetyzację?

- Nie. Prawdopodobnie wchłonął pan porcję tych drobin, jeszcze w rękawie, rozbierając się ze skafandra.

- I są we mnie?

- Nie wiem, czy jeszcze są. Że to nie jest zwykły pył księżycowy, wykryto, kiedy pan wybierał się do Australii.

- Ach tak! I oczywiście każde miejsce, w którym przebywałem, wzięto później pod mikroskop?

- Mniej więcej.

- I... znajdowano te...?

Skinął głową. Wciąż staliśmy u okna, a Księżyc płynął przez chmury.

- Czy wszyscy o tym wiedzą?

- Jacy wszyscy?

- Zainteresowane strony...

- Prawdopodobnie jeszcze nie. W Agencji tylko kilka osób, a ze służby sanitarnej tylko ja.

- Dlaczego pan mi to powiedział?

- Bo pan był już sam na tym tropie i chcę, żeby pan zorientował się w całej sytuacji.

- Własnej?

- Własnej i ogólnej.

- Więc doprawdy pilnują mnie?

- Pan przed chwilą sam dał to do zrozumienia.

- Strzelałem na oślep. Czy tak jest?

- Nie wiem. Ale to nie znaczy, że nikt nic nie wie. Cała rzecz ma rozmaite stopnie utajnienia. Na podstawie tego, co słyszałem od niektórych przyjaciół, zupełnie prywatnie, badania są w toku i nie dało się wykluczyć na razie, że te drobiny pozostają w łączności z Księżycem...

- Dziwne, co pan mówi. W jakiej łączności? Radiowej?

- Na pewno nie.

- Czy istnieje inna?

- Przyleciałem tu, żeby zadać panu kilka pytań, a tymczasem pan mnie bierze na spytki.

- Podobno zamierzał pan wyłożyć mi porządnie sytuację, w jakiej się znajduję.

- Ale nie mogę odpowiadać na pytania, na które nie znam odpowiedzi.

- Jednym słowem osłaniał mnie dotychczas sam domysł, że Księżyc może i umie zajmować się moim losem...?

Shapiro nie odpowiedział. Pokój tonął w półmroku. Dostrzegłszy kontakt, podszedł, włączył światło i blask sufitowej lampy zarazem oślepił mnie i otrzeźwił. Zaciągnąłem okienną zasłonę, wyjąłem z baru flaszkę i dwa kieliszki, nalałem w nie resztkę sherry, usiadłem i wskazałem mu fotel.

- *Chi va piano, va sano* - niespodzianie rzekł profesor, lecz tylko umoczył wargi w winie, postawił kieliszek na biurku i westchnął. - Człowiek postępuje zawsze podług jakichś wzorów - powiedział - ale w położeniu takim, jak obecne, żadnych wzorów nie ma, mimo to trzeba działać, bo z kunktacji nic dobrego nie przyjdzie. Domysłami niczego nie wskóramy. Jako neurolog powiem tyle: istnieje pamięć chwilowa i długotrwała. Chwilowa przekształca się w trwałą, jeśli nie zajdą nagłe zakłócenia. Trudno o poważniejsze od przecięcia wielkiego spoidła mózgu! To, co zaszło tuż przedtem i wkrótce potem, nie może znajdować się w pańskiej pamięci, te luki wypełnił pan konfabulacją, jakem już zauważył, a co do reszty, nie wiemy nawet, KTO znajduje się w ofensywie, a KTO w defensywie. Żaden rząd, w żadnych okolicznościach, nie przyzna się do tego, że jego programiści nie tak wykonali zadanie, ustalone genewską umową, jak opiewało przy powszechnej zgodzie. Zresztą gdyby nawet któryś z owych programistów zamierzał coś zdradzić, nie będzie to miało wagi, ponieważ ani on, ani nikt nie wie, jakie były dalsze koleje zajść na Księżycu. W tym sanatorium jest pan akurat tak bezpieczny jak wśród tygrysów. Panu to fałszywie brzmi? W każdym razie nie będzie pan chyba siedział tu w nieskończoność.

- Taka długa rozmowa - zauważyłem - a kręcimy się wciąż w kółko. Pan chce, abym oddał się, nazwijmy to tak, pod pana opiekę? - Dotknąłem prawej skroni.

- Uważam, że powinien pan to zrobić. Nie sędzę, aby to mogło zbyt wiele dać, zarówno Agencji, jak panu, lecz nic korzystniejszego nie widzę.

- Pana sceptycyzm ma może wzbudzić moje zaufanie... - mruknąłem do siebie, jakbym myślał półgłosem. - Czy skutek kallotomii na pewno jest nieodwracalny?

- Jeśli była to kallotomia chirurgiczna, przecięte białe włókna na pewno się nie zrosną. To niemożliwe. Ale przecież nikt nie zrobił panu trepanacji czaszki...?

- Rozumiem - odpowiedziałem po krótkim namyśle - pan budzi we mnie nadzieję, że zaszło ze mną coś odmiennego; albo pan mnie chce skusić, albo pan sam w to trochę wierzy...

- A pana decyzja?

- Udzielę odpowiedzi w ciągu najbliższych czterdziestu ośmiu godzin. Dobrze?

Skinął głową i wskazał leżącą na biurku wizytówkę.

- Tam jest numer mego telefonu.

- Jakże, zupełnie jawnie będziemy się porozumiewali?

- Tak i nie. Nikt nie podniesie słuchawki. Przeczeka pan dziesięć sygnałów i zatelefonuje po minucie jeszcze raz. Znow poczeka pan, aż minie dziesięć sygnałów i to wszystko.

- To będzie oznaczało moją zgodę?

Skinął głową, wstając.

- Reszta należy do nas. A teraz czas na mnie. Życzę spokojnej nocy.

Kiedy wyszedł, stałem dobrą chwilę pośrodku pokoju, bezmyślnie patrząc na okienną zasłonę. Nagle zgasła sufitowa lampa. Pewno się przepaliła żarówka, pomyślałem, lecz wyjrzawszy przez okno, ujrzałem też pograżone w ciemności zarysy wszystkich sanatoryjnych pawilonów. Zgasły nawet dalekie latarnie, zwykle mrugające ze zjazdu na highway. Musiała to być jakaś większa awaria. Nie chciało mi się chodzić po latarki czy świece, zegarek wskazywał jedenastą, odsunąłem więc tylko zasłonę, żeby w słabym blasku Księżycy rozebrać się i wziąć prysznic w mojej małej łazience. Chciałem zamiast piżamy nałożyć szlafrok, otwarłem więc szafę i zdrętwiałem. Ktoś w niej stał, gruby, niski, prawie łysy, nieruchomy jak posąg, z palcem przyłożonym do ust. Rozpoznałem Gramera.

- Adelajdo... - szepnąłem, i urwałem, bo pogroził mi palcem. Wskazał milczkiem okno. Ponieważ nie ruszyłem się z miejsca, kucnął, wylazł na czworakach z szafy, poraczkował za biurko i wciąż klęcząc starannie zaciągnął zasłonę. Zrobiło się tak ciemno, że ledwie mógł dostrzec, jak wciąż na kolanach wraca do szafy, dobywa z niej coś czworokątnego, płaskiego. Tymczasem nawykłem już do mroku i widziałem, że Gramer otwiera małą walizkę, dobywa z niej jakieś sznurki czy druty, coś tam łączy, pstrykło, potem

wciąż siedząc na dywanowej wyściółce podłogi szepnął:

- Siadaj pan koło mnie, Tichy, to pogadamy...

Usiadłem więc, wciąż tak oszołomiony, że słowa nie wymówił, a Gramer przysunął się do mnie, aż kolanem dotknął mego kolana i powiedział cicho, ale już nie szeptem:

- Mamy co najmniej trzy kwadransy czasu, jeśli nie godzinę, zanim wróci prąd. Część urządzeń podsłuchowych ma własne zasilanie, ale tylko dla frajerów. Jesteśmy ekranowani pierwsza klasa. Tichy, mów do mnie Gramer, boś się już pan przyzwyczaił...

- Kim pan jest? - spytałem, i usłyszałem, jak cichutko się zaśmiał.

- Pańskim aniołem stróżem.

- Jakże? Przecież pan tu siedzi już dawno, nie? Skąd mógł pan wiedzieć, że się tu zjawię? Przecież Tarantoga...

- Ciekawość pierwszy stopień do piekła - pogodnie rzekł Gramer. - Mniejsza o to, skąd, jak, dlaczego, Tichy, mamy ważniejsze rzeczy na głowie. Po pierwsze, odradzam panu zrobić to, czego chciał Shapiro. Nic gorszego nie może pan wybrać.

Milczałem, a Gramer znów cicho się zaśmiał. Najwyraźniej był w doskonałym humorze. Jego głos odmienił się, nie zaciągał już, jak dotąd, nie był rozwlekły, na pewno też nie był głupkowany.

- Pan mnie ma za "przedstawiciela obcego wywiadu", co? - rzekł i kordialnie poklepał mnie po plecach. - Rozumiem, że budzę w panu osiemnaście różnych podejrzeń naraz, ale zaraz przemówię do pańskiego rozsądku. Powiedzmy, że pójdzie pan za dobrą radą Shapiry. Wezmą pana w obroty, nie żadne męki, broń Boże, będzie pan traktowany w ich klinice jak sam prezydent. Coś wyciągną z pańskiej głowy, z prawej strony, albo i nie wyciągną, ale tak czy owak nie będzie to miało żadnego istotnego znaczenia, bo werdykt ułożyli z góry.

- Jaki werdykt?

- No, diagnozę, rezultaty naukowej auskultacji, poprzez rękę, nogę, piętę, co za różnica? Proszę mi nie przerywać, to się pan wszystkiego dowie. Wszystkiego, co już wiadome. - Zrobił małą przerwę, jakby czekał mej zgody. Siedzieliśmy w ciemnościach, aż nagle powiedziałem:

- Doktor Hous może tu przyjść.

- Nie, nie może. Nikt nie przyjdzie, niech pana o to głowa nie boli. Nie bawimy się w Indian. Słuchajże pan wreszcie. Na Księżycu wgrzyły się w siebie programy różnych stron. Wgrzyły się, pomieszały się, kto pierwszy zaczął, jest nieważne, przynajmniej obecnie. W efekcie, mówiąc prosto, powstał tam rodzaj powierzchniowego raka. Wzajemne bezładne niszczenie, różne fazy różnych symulacyjnych i produkcyjnych zbrojeń wtargnęły w siebie,

rozmaicie w różnych sektorach, skontrowały się, zderzyły, nazwij pan to, jak pan chce.

- Księżyc zwariował?

- Poniekąd. W pewnym sensie owszem. Jednocześnie kiedy to, co było zaprogramowane, i to, co wynikło z programów, szło w gruz, zaczęły się zupełnie nowe procesy, nikt ich się przedtem nie spodziewał na Ziemi, absolutnie nikt.

- Co za procesy?

Gramer westchnął:

- Zapaliłbym papierosa, powiedział, ale nie mogę, bo pan nie pali. Jakie procesy? Pan przywiózł ich pierwszy ślad.

- Ten pył na skafandrze?

- Zgadł pan. To nie jest żaden pył, to są silikonowe polimery, początki, jak twierdzą fachowcy, ordogenezy, nekroorganizacji, już tych terminów sporo wymyślili, w każdym razie to, co się dzieje tam, w ogóle Ziemi nie zagraża, ale właśnie przez to, że nie zagraża, powoduje zagrożenie, którego Agencja sobie nie życzy.

- Nie rozumiem.

- Agencja stoi na straży Doktryny Ignorancji, nie? Są państwa, które pragną upadku tej doktryny, całej tej historii z przeprowadzką zbrojeń na Księżyc. Źle powiedziałem. To jest bardziej skomplikowane. Istnieją rozmaite grupy nacisku i interesu; jedne wolą, żeby ta wciąż rozdmuchiwana panika pod nagłówkiem "Inwazja Księżyca" rosła, żeby w ONZ albo poza nim powstała koalicja gotowa uderzyć w Księżyc tradycyjnie, czyli termojądrowo, albo nieklasycznie, tą nową techniką, kollaptyczną. Niech się pan mnie tylko nie pyta teraz, co to za technika, o tym innym razem. Chodzi im o to, żeby wszcząć zbrojenia na wielką skalę z powszechnej racji stanu, ziemskiej, ponadpaństwowej, bo jeśli grozi inwazja, to trzeba ją w zarodku strzaskać.

- Ale Agencja tego nie chce?

- Agencja sama jest od środka rozrywana, te sprzeczne interesy mają w niej swoich ludzi. Inaczej nie mogło przecież być. Pan stał się wielkim atutem w tej rozgrywce. Bodaj najsilniejszym.

- Ja? Przez moją biedę?

- Właśnie. To, co wydobędzie z pana Shapiro i jego ekipa, nie da się przecież sprawdzić. Oprócz paru typów nikt nie będzie wiedział, czy rzeczywiście uzyskali jakieś wyraźne, definitywne informacje, czy po prostu oświadczą, że uzyskali i podadzą do wiadomości publicznej, albo najpierw do wiadomości Rady Bezpieczeństwa, zresztą, nie w tym rzecz, kogo najpierw powiadomią. Rzecz w tym, że nikt, wraz z panem, nie potrafi

ustalić, czy kłamią, czy mówią prawdę.

- Podobno będą kłamać, skoro pan przedtem powiedział, że ułożyli już sobie diagnozę z góry...

- Na to wygląda. Nie jestem wszechwiedzący. W każdym razie siłą brać się do pana nie mogą.

- Jak to? Shapiro mówił...

- O tych napadach? Były aranżowane, panie Tichy. Owszem. Ale były tak aranżowane, żeby pan przy tym życia nie stracił, bo wtedy nikt by z tego nic nie miał.

- Kto to robił?

- Różne strony w różnych zamiarach. Najpierw, powiedzmy, spontanicznie i po to, żeby pana mieć, a później, kiedy te próby zostały skontrolowane, po to, żeby pana trochę przycisnąć, postraszyć, rozmiękczyć, żebyś pan się rzucił w serdeczne objęcia Shapiry.

- Czekajże, Gramer... więc chciano mnie postraszyć czy nie chciano?

- Zbyt pomału pan myśli. Najpierw ktoś, owszem, chciał, ale się nie udało, a potem zorientowano się w Agencji, że nie trzeba czekać, aż ktoś znów spróbuje. Agencja - to znaczy pion wykonawczy tak zwanej Osłony Misji, urządziła parę małych przedstawień na pańską intencję.

- Niby Agencja najpierw mnie chroniła, a potem napadała? Tak? Najpierw to było autentyczne, a potem wyreżyserowane?

- Właśnie.

- No dobrze. Dajmy na to, że jednak dam się zbadać. Co z tego wyniknie?

- Brydż albo poker.

- Nie rozumiem.

- Zacznie się swego rodzaju rozgrywka. Licytacja. Przewidzieć można tylko sam początek, reszty nie. To, że na Księżycu nie idzie wszystko tak, jak miało iść, jest już jasne. Pozostała alternatywa: czy powstaje tam zagrożenie Ziemi czy nie powstaje? Wszystko wskazuje dotąd na to, że żadnego zagrożenia nie ma i że go nie będzie przez najbliższych paręset lat, w bardzo ostrożnym oszacowaniu. Być może przez tysiące, nawet miliony lat, ale polityki na taki dystans przecież się nie uprawia. Do trzytysięcznego roku można w każdym razie spać spokojnie. Ale kto wtedy będzie chciał spokojnie spać? Nieszkodliwy Księżyc jest właśnie też potrzebny innym grupom nacisku.

- Żeby co robić?

- Żeby oświadczyć: żadne państwo nie ma już tam żadnych arsenałów, nie ma nic, cały projekt księżycowy rozleciał się, genewskie układy straciły wszelki sens, wszelką moc, trzeba

wrócić do Clausewitza.

- Ale z tego wynika, Gramer, że tak czy owak źle się wszystko skończy? Jeżeli grozi inwazja, trzeba się zbroić przeciw Księżycowi, a jeżeli nie grozi, trzeba się zbroić po staremu, po ziemsku, tak?

- Owszem. Już jesteś pan uświadomiony. Tak wygląda bilans.

- To mi ładny bilans. Toż w takim razie cała tajemnica schowana w mojej głowie jest funta kłaków niewarta...

- Tu się pan myli. Podług tego, co oznajmiają jako wynik badań pańskiej osoby, będzie można ułożyć rozmaite wzory.

- Jakie wzory?

- Według naszej komputerowej symulacji, co najmniej ze dwadzieścia różnych, bo to będzie zależało od wyniku badań, nie rzeczywistego wyniku, ale tego, co ogłoszą jako wynik.

- I pan tego nie wie?

- Nie, bo oni sami też jeszcze nie wiedzą. Ekipa Shapiry też nie jest jednolita. Tam też są reprezentowane sprzeczne interesy. To nie jest tak, Tichy, że oni ogłoszą stuprocentowe czyste kłamstwo. Nie dadzą rady, przecież mogliby to zrobić tylko, gdyby stanowili absolutnie murowaną, pewną konspirację zwyczajnych płatnych fałszerzy, ale przecież tak nie jest. Oni nawet nie mogą wykluczyć z góry ewentualności, że pan, w toku badań, niczego się nie dowie o tym, co zawiera pański prawy mózg, a mimo to pan się naraz włączy do pokera.

- Jak?

- Nie bądź pan dzieckiem. Jak to, nie może pan potem napisać do "New York Times" albo do "Zurcher", albo gdzie pan chce, że oni ogłosili podmalowaną diagnozę? Że coś dosztukowali albo fałszywie zinterpretowali? Wtedy zrobiłby się porządny skandal. Wystarczy, aby pan tylko zakwestionował ich diagnozę, zaraz znajdą się wybitni fachowcy, co staną przy panu murem, żądając nowych badań, kontrolnych. Wtedy już sam diabeł się na tym nie wyzna.

- Skoro pan to tak dobrze widzi, to czemu nie widzą tego tak samo faceci Shapiry?

- A co oni mogą w powstałej sytuacji robić innego, niż namawiać pana do poddania się auskultacjom? Wszyscy, chociaż na różnych pozycjach, tkwią w sytuacji przymusowej.

- A gdyby mnie zabito?

- Też bardzo niedobrze. Nawet gdyby pan popełnił autentycznie samobójstwo, podejrzenia, żeś pan został zamordowany, rozlecą się po całym świecie.

- Nie wierzę, żeby nie można było powtórzyć tego, co mi się udało na Księżycu. Shapiro wprawdzie mówił, że już próbowali i nic stąd nie wyszło, ale mogą ponawiać

przecież takie wyprawy.

- Tak, pewno że mogą, ale i to jest labirynt. Pan się dziwi? Ticho, zostało nam już niewiele czasu. Powstał kompletny pat w światowej skali, nie ma żadnych ruchów gwarantujących zachowanie pokoju, są tylko różne rodzaje ryzyka.

- A co pan mi radzi jako mój anioł stróż?

- Radzę panu nie słuchać niczyich rad. Moich też nie musi pan brać pod uwagę. Reprezentuję określone interesy, nie ukrywam tego, nie przysłał mnie do pana ani sam Pan Bóg, ani Opatrzność, tylko strona, której na wznowieniu zbrojeń nie zależy.

- Powiedzmy. I cóż mam uczynić wedle zaleceń tej strony?

- Na razie nic. Nic, zupełnie. Niech pan tu siedzi. Niech pan nie telefonuje do Shapiry. Niech się pan widuje z tym starym wariatem Gramerem w ciągu najbliższych paru tygodni, a może dni tylko, zobaczy się, co dalej.

- Dlaczego mam panu wierzyć?

- Powiedziałem, że wcale nie musi mi pan wierzyć, przedstawiłem panu tylko ogólną sytuację w zarysie. Jedyna rzecz, jaką się zrobiło, to wyłączenie głównego stanowego transformatora na godzinę, a teraz zabiorę moje elektroniczne łachy i pójdę spać, bo przecież jestem milionerem w depresji, nie wie pan? Do widzenia, Jonatanie.

- Do widzenia, Adelajdo - odparłem. Gramer porachkował ku drzwiom, uchylił je, ktoś tam stał w korytarzu, zdawało mi się, że dał mu jakiś znak. Gramer wstał i wychodząc, zamknął za sobą drzwi cicho, a ja siedziałem z mrowiącymi nogami, aż znów zapłonęło światło.

Zgasilem je i położyłem się na łóżku. Tam, gdzie siedział przedtem Gramer, leżało coś błyszczącego, jak przyplaszczony pierścionek. Obejrzałem to z bliska. W środku tkwiła mała skrzyta karteczka papieru. Rozwinąłem ją. „W razie czego” - głosiły krzywo, jakby w pośpiechu wypisane litery. Odłożyłem zmięty papier i spróbowałem wsadzić na palec obrączkę. Była szara, o słabym metalicznym połysku, dziwnie ciężka, chyba ołowiana? Z jednej strony wybrzuszona w rodzaj fasolki z małym otworkiem, jak od nakłucia ostrą igłą. Nie mieściła mi się na żadnym palcu prócz małego. Nie wiem czemu ta obrączka niepokoiła mnie bardziej niż obie wizyty. Do czego mogła służyć? Spróbowałem zarysować nią szybę okna, lecz nie zostawiła na szkłe śladu. W końcu polizałem ją nawet. Była jakby słona.

Włożyć na palec czy nie włożyć? W końcu włożyłem, nie bez trudu, i spojrzałem na zegarek. Minęła północ, sen jednak nie nadchodził. Doprawdy nie wiedziałem już, którym z kłopotów zająć myśli w pierwszej kolejności. Niepokoiło mnie nawet to, że lewa ręka i noga tak spokojnie się zachowują, i w północy wydawała mi się już ich bierność następną zasadką,

tym razem nastawioną na mnie od środka. Jak to nieraz bywa, śniło mi się, że nie mogę zasnąć, albo też, zasnąwszy, sądziłem, że czuwam. Przez niewiadomy czas usiłowałem rozeznąć się w tym, czy śpię czy nie śpię i wielce mozoliłem się nad owym pytaniem, aż zrobiło się nieco jaśniej. Świta, pomyślałem, skoro tak, to jednak udało mi się przespać kilka godzin, lecz blask nie szedł od strony zasłoniętego okna. Sączył się przez szparę drzwi wychodzących na korytarz, był jednak zdumiewająco silny, jakby tuż przy podłodze ktoś potężny reflektor skierował na próg mego pokoju, więc usiadłem na łóżku. Coś wsączało się po podłodze, nie była to woda, lecz jakby rtęć. Toczyła się maleńkimi kuleczkami po parkiecie, rozlała się w płaską kałużę, z trzech stron dotarła do małego dywanika przed moim posłaniem, a tymczasem wciąż w owym blasku idącym ze szpary pod drzwiami wciekały dalsze strużki tej dziwnej metalicznej cieczy. Już prawie cała podłoga lśniła jak cienka tafla rtęciowego lustra. Zaświeciłem lampkę na stoliku. To chyba nie była jednak rtęć, miała raczej barwę pociemniałego od starości srebra. Było jej już tyle, że dywanik poruszał się jak podmywany, a zarazem światło za drzwiami zgasło. Siedziałem pochylony, patrząc wielkimi oczami na to, co się działo z syropowatą, metaliczną cieczą. Rozpadała się na mikroskopijne kropelki, całymi grudami krople te sklejały się w rodzaj grzyba, a potem spuchło to niby rosnące ciasto i tężej podnosiło się w górę. Nie ulega najmniejszej wątpliwości, że to sen, rzekłem sobie. Mimo jednak tak kategorycznego ustalenia nie miałem najmniejszej ochoty dotknąć bosą stopą owej rtęci, oglupiały, a zarazem nie tyle nawet zdziwiony, co jakby pełen satysfakcji, że termin “żywe srebro” tak dobrze odpowiada owemu zjawisku. Gdyż TO istotnie poruszało się jak coś żywego, ale nie zamierzało stać się ani rośliną, ani zwierzęciem, ani już sam nie wiem jakim rodzajem monstrum, bo to przemieniało się w pusty kokon, w coraz bardziej człekokształtny pancerz, a raczej nieporządnie wykonany odlew pancerza ze sporymi dziurami, ziejący z przodu podługowatą szczeliną; kiedy, ale daleko później, usiłowałem sobie odtworzyć w pamięci ową metamorfozę, za najlepsze przybliżenie uznałem rodzaj odwróconego filmu: jakby ktoś najpierw sporządził dziwną odmianę zbroi, a potem poddał ją działaniu wysokiej temperatury, aby stopiła się w płynny metal, tyle że działo się to w moich oczach na odwrót. Najpierw płyn, potem wyrosłe z niego wydrażone ciało, bo to jednak nie było pancerzem, już nie lśniło, lecz matowiało i przypominało wielki manekin, rodzaj wystawowej lalki, z głową bez włosów, z twarzą bez ust i nosa, chociaż z okrągłymi otworami miast oczu, i wreszcie poczęła się z tego w moim zamęcie robić kobieta nadnaturalnej wielkości. Źle mówię, pusty w środku i ziejący, bo otwarty jak szafa, posąg kobiecy, który, niech mnie diabli wezmą, wydzielał z siebie odzież, najpierw bowiem pokrył się bielą, jak bielizną, potem pojawiła się na tej bieli jasna zieleń sukni, i już uspokojony tym,

że to na pewno mi się śni, wstałem z łóżka i zbliżyłem się do widziadła. Wtedy suknia z zielonej zrobiła się znów biała, przypominając szpitalny kitel, a twarz coraz dokładniej się formowała. Jednocześnie na głowie zakrył jasne włosy biały pielęgniarzski czepek w otoku karminowej aksamitki. Już dość tego, postanowiłem, trzeba się zbudzić, bo zbyt idiotycznie mi się śni, ale nie chciałem dotknąć wyśnionego stworzenia. Patrząc dokoła, widziałem cały pokój w świetle lampy z nocnego stolika, biurko, zasłonę, foteliki. Niezdecydowany stałem długą chwilę, aż znów popatrzyłem na zjawę. Była bardzo podobna do pielęgniarzki Didy, którą nieraz widywałem w ogrodzie i u doktora Housa, lecz znacznie od niej większa i wyższa. Powiedziała: "Wejź do mnie, to wyjdiesz stąd, weźmiesz toyotę doktora, wyjedziesz, bo brama jest otwarta, tylko ubierz się najpierw i weź pieniądze, kupisz sobie bilet i polecisz od razu do Tarantogi. No, nie stój jak bałwan, jako pielęgniarzki nikt cię nie zatrzyma..." "Ale ona jest większa od ciebie..." wybełkotałem, osłupiały nie tylko od jej słów, ale od tego, że wcale nie mówiła ustami. Głos dobywał się z jej ciała, które razem z białym płaszczem rozwarło się tak, że doprawdy mógł wejść do środka. Inna rzecz, czy należało to zrobić? Nagle zacząłem bardzo sprawnie myśleć, w końcu to chyba nie musiał być sen, skoro istniała technika molekularnej teleferystyki, toż sam jej doświadczyłem, może była to rzeczywistość? Lecz w takim razie kto wie, czy nie pułapka?

- Wielkość nie ma w nocy znaczenia. Przestań się guzdrać! Ubieraj się, weź tylko czeki - powtórzyła.

- Ale dlaczego mam stąd wiać i kim właściwie jesteś? - spytałem, chociaż jednocześnie zacząłem się ubierać, nie, abym rzeczywiście zamierzał wdać się w to nieoczekiwane przedsięwzięcie, lecz ubrany czułbym się pewniej.

- Nie jestem nikim - przecież widzisz - rzekła. Głos był jednak kobiecy, niski, sympatyczny, odrobinę matowy, skądś mi znany, ale nie mogłem sobie przypomnieć skąd. Już sznurowałem trzewiki, siedząc na brzegu zmiętej pościeli.

- No to kto ciebie przysłał, pani Nikt? - spytałem podnosząc głowę, i nim zdążyłem się opamiętać, upadła na mnie, a właściwie ogarnęła mnie, nie rękami, lecz całym swoim wnętrzem naraz, a zaszło to tak szybko, że w jednej chwili siedziałem jeszcze na brzegu łóżka, w pulowerze, ale bez krawata, czując, że sobie zbyt mocno zaciągnął sznurowadła lewego trzewika, a w następnej chwili zostałem wciągnięty do środka tej pustej istoty i oblepiony jej wnętrzem jakby mnie połknął pyton. Nie potrafię tego lepiej określić, bo nic takiego nigdy mi się jeszcze nie zdarzyło. W środku było właściwie dość miękko, widziałem też pokój przez otwory oczu, lecz nie mogłem się poruszać, tak jak chciałem, musiałem ruszać się tak, jak ona chciała, czy też ono, a właściwie pewno ktoś sterował tym zdalnikiem,

żeby mnie zaciągnąć tam, gdzie niecierpliwie oczekują Ijona Tichego. Wytężyłem wszystkie siły, aby oprzeć się zdalnikowej maszkarze, lecz bez rezultatu. Wszystkie kończyny poruszały mi się nie tak, jak bym chciał, ale tak, jak były zginane i prostowane, ręka otworzyła drzwi naciskając klamkę, chociaż zapierałem się jak mogłem. Korytarz był słabo oświetlony nocnymi zielonkawymi lampkami, ani żywego ducha. Nie miałem czasu, aby się zastanawiać, KTO za tym stoi. Staralem się bowiem wynaleźć ratunek z opresji, lecz ta nieosoba, która mnie pochłonęła, szła bez pośpiechu, istny nadziewany mną Frankenstein, trudno doprawdy o bardziej idiotyczne położenie, aż wspomniałem obrączkę od Gramera, lecz cóż mogła mi pomóc? Nawet wiedząc, że mam ją nagryźć albo obrócić na palcu jak w bajkach, żeby się pojawił ratowniczy dzinn, nie mogłem tego uczynić. Już pojawiły się wyjściowe drzwi pawilonu, w cieniu starej palmy czerniał długi, ciemny kształt auta, ze strugami dalekiego blasku na karoserii. Drzwi wahadłowe otwarły się, moja zniewolona ręka pchnęła ich skrzydło, i wtedy otwarły się też tylne drzwi auta, ale nikogo w środku nie było, w każdym razie nie mogłem nikogo dostrzec.

Wsiadałem już do auta, a właściwie “byłem wsiadany”, wciąż się bowiem opierałem, wytężając wszystkie siły, aż pojąłem mój błąd. Nie należało się opierać, bo na to był przygotowany ten, kto kierował zdalnikiem. Trzeba było raczej iść za narzuconym ruchem, lecz tak, by wykroczył za właściwy cel. Schylony, już w drzwiach auta, rzuciłem się do przodu, huknąłem o coś głową, aż mnie zamroczyło i otwarłem oczy.

Leżałem obok łóżka na podłodze, okienna zasłona szarzała już od świtu. Podniosłem rękę do oczu, obrączki ani śladu, więc to jednak był koszmar? Nie mogłem sobie uświadomić, w jakim miejscu wieczorna jawa się skończyła; Gramer odwiedził mnie na pewno. Zerwałem się, zajrzałem do szafy, z której wyszedł, moje ubrania były odsunięte w bok, więc rzeczywiście tam stał, na dnie leżało coś białego. List. Podniosłem go, żadnego adresu, rozdarłem kopertę. W środku jedna kartka pokryta maszynowym pismem, bez daty i nagłówka. W pokoju było zbyt ciemno, okna nie chciałem odsłonić, sprawdziłem najpierw, czy drzwi są zamknięte na klucz. Były. Zaświeciłem lampkę nocną i spojrzałem na papier.

“Jeżeli śniło ci się porwanie albo tortury, albo inny rodzaj udreki, wyrazisty i kolorowy, znaczy to, żeś podległ próbnemu badaniu, boś dostał narkotyki. Chodzi o wstępne wykrycie twojej reakcji na określone środki, bez smaku i bez zapachu. Nie mamy pewności, czy cię tak podtruło. Jedyнным człowiekiem, do którego możesz się poza mną zwrócić, jest twój lekarz. Ślimak”.

Ślimak, więc list pochodził od Gramera. Mógł oznajmiać równie dobrze prawdę jak kłamstwo. Usiłowałem sobie możliwie dokładnie przypomnieć, co mówił do mnie Shapiro, a

co Gramer. Obaj byli zgodni w tym, że cały projekt księżycowy się zawalił. Dalej ich namowy się rozchodziły. Profesor chciał, żebym się dał zbadać, a Gramer, żebym czekał nie wiadomo na co. Shapiro reprezentował Lunar Agency - tak przynajmniej twierdził, Gramer nic o swoich mocodawcach nie pisał. Dlaczego jednak zamiast ostrzec mnie przed możliwością narkozy, zostawił tylko list? Czyżby w grze uczestniczyła jeszcze inna, trzecia strona? Tyle mi obaj mówili, a jednak nie dowiedziałem się, dlaczego właściwie to, co tkwi w moim prawym mózgu, jest takie ważne. Być może łyknąłem coś, co najpierw uspiło tę moją biedną, prawie niemą połówkę głowy i dlatego nie dawała o sobie w ogóle znać - odkąd? Bodajże od poprzedniego dnia. Powiedzmy, że tak się stało. Po co? Wyglądało mi na to, że wszyscy zajęci polowaniem na Tichego nie wiedzą, co robić i grają na zwłokę. Byłem w tej grze kartą o niewiadomej sile przebiccia, może wysokim atutem, może niczym, a jedni przeszkadzali drugim w wykryciu, czy jest tak czy owak. Żebym się nie mógł porozumieć sam ze sobą, uspiłi mi prawą półkulę? To jedno przynajmniej mogłem zaraz stwierdzić. Wziąłem lewą rękę do prawej i poznanym już sposobem zwróciłem się do niej.

- Co słysząc? - spytałem palcami. Mały palec i kciuk drgnęły, ale jakoś słabo.

- Halo, słyszysz? - zasygnalizowałem. Serdeczny palec zetknął się z opuszką kciuka, tworząc kółko, co znaczyło "Cześć".

- Dobra, dobra, cześć, ale jak się masz?

- Odczep się.

- Gadaj zaraz, jak się czujesz? Zrozum, chodzi przecież o wspólny interes.

- Głowa mnie boli.

Tak, w tej chwili poczułem, że mnie TEŻ boli głowa. Byłem już na tyle otrząskany z neurologiczną literaturą, by wiedzieć, że pod względem emocjonalnym nie jestem przepełniony, bo siedliskiem afektów jest śródmózgowie, którego kallotomia nie tknęła.

- Mnie też boli głowa. Ona boli NAS. Rozumiesz?

- Nie.

- Jak to nie?

- Tak to.

Poty były na mnie od tej milczącej rozmowy, ale postanowiłem nie popuszczać. Wycisnę z niej teraz, co się da, postanowiłem, żeby nie wiedzieć co. Raptem olśniła mnie całkiem nowa myśl. Gestykulacyjny język głuchoniemych wymagał dużej zręczności palców. A przecież od niepamiętnych czasów przywykłem do alfabetu Morse'a. Rozpostarłem więc lewą rękę i zacząłem na niej wskazującym palcem prawej rysować na przemian kropki i kreski - na początek SOS. *Save Our Souls*. Ratujcie nasze dusze. Wewnętrzna powierzchnia

lewej ręki dawała się przez dłuższy czas drapać, nagle zwinęła się w pięść i dała mi porządnego kuku, aż podskoczyłem. Nic z tego nie będzie, pomyślałem już, lecz wysunęła palec i nuż stawiać drapiąc kropki i kreski na prawym policzku. Tak, odpowiadała, jak Boga kocham, odpowiadała Morse'em.

- Nie łaskocz, bo dostaniesz.

To było pierwsze zdanie, jakie od NIEJ usłyszałem, a właściwie wyczułem. Siedziałem znieruchomiały jak posąg na brzegu łóżka, bo ręka sygnalizowała dalej.

- Osioł.

- Kto, ja?

- Tak. Ty. Od razu tak trzeba było.

- To czemu nie dałaś znać?

- Sto razy, idioto. Nie zauważyłeś.

Istotnie uświadomiłem sobie teraz, że ona mnie już moc razy drapała tak i owak, lecz nie przyszło mi do mojej części głowy, że to jest Morse.

- Na miły Bóg - podrapałem rękę - to ty potrafisz mówić?

- Lepiej od ciebie.

- To mów. Uratujesz mnie, to znaczy nas. - Nie wiem, kto nabierał wprawy, lecz milcząca rozmowa toczyła się coraz szybciej.

- Co się stało na Księżycu?

- A co ty pamiętasz?

To nagłe odwrócenie sytuacji zaskoczyło mnie.

- Nie wiesz?

- Wiem, że pisałeś. Potem zakopałeś w słoju. Tak?

- Tak.

- Prawdę pisałeś?

- Tak. To, co zapamiętałem.

- I zaraz to wykopali. Pewno ten pierwszy.

- Shapiro?

- Nie pamiętam nazwisk. Ten, co patrzył na Księżyc.

- Czy rozumiesz, co się mówi głosem, zwyczajnie?

- Kiepsko. Raczej po francusku. - Woląłem nie pytać o ten francuski.

- Tylko Morse?

- Najlepiej.

- To mów.

- Zapiszesz i ukradną.
- Nie zapiszę. Słowo.
- Powiedzmy. Ty wiesz coś i ja wiem coś. Ty powiedz najpierw.
- Nie czytałaś?
- Nie umiem czytać.

- Dobrze... Ostatnie, co pamiętam... usiłowałem nawiązać łączność z Wivitchem, po wymotaniu się z tego rozwalonego podziemia w japońskim sektorze, ale nie udało mi się. W każdym razie nic sobie nie przypominam. Wiem tylko, że potem wylądowałem sam. Na Księżycu, raz zdaje mi się, że chciałem zabrać coś zdalnikowi, który gdzieś wlaźł... albo... coś odkrył... ale nie wiem co, i nawet nie wiem, który to był zdalnik. Molekularny chyba nie? Nie pamiętam, co się z nim stało.

- Z tym w proszku?
- Tak. Ale ty pewno wiesz... - podsunąłem ostrożnie.
- Najpierw powiedz do końca swoje - odpowiedziała. - Co ci się wydaje innym razem?
- Że tam nie było w ogóle żadnego zdalnika, a może i był, ale już go nie szukałem,

bo...

- Bo co?

Zawahałem się. Czy miałem wyznać, że to, co mi się niekiedy przypomina, jest jak niesamowity sen, którego nie można wysłować i pozostaje po nim tylko wrażenie nadzwyczajnej rewelacji?

- Nie wiem, co myślisz - podrapała mnie - ale wiem, że coś knujesz. Czuję to.
- Dlaczego mam coś knuć?
- Dlatego. Intuicja to ja. Gadaj. Co ci się zdaje "innym razem".
- Czasem odnoszę wrażenie, że wylądowałem na wezwanie. Ale nie wiem, kto mnie

wzywał.

- Co napisałeś w protokole?
- O tym nic.

- Ale oni mieli kontrolę. To znaczy mają zapisy. Wiedzą, czy wylądowałeś, bo dostałeś z Księżycy wezwanie. Czy nie było wezwania? Mieli nasłuch. Agencja wie.

- Nie wiem, co wiedzą w Agencji. Na oczy nie widziałem zapisów nagranych w bazie ani fonii, ani wizji. Nic, przecież wiesz.

- Wiem. I jeszcze coś!
- Co?
- Straciłeś sproszkowanego.

- Dyspersanta? Pewno żem go stracił, skoro potem sam wlałem w skafander i...
- Głupiś. Straciłeś go inaczej.
- Jak? Rozpadł się?
- Nie. Zabrali go.
- Kto?
- Nie wiem. Księżyc. Coś. Albo ktoś. On się tam przemieniał. Sam. To było widać z

pokładu.

- Ja to widziałem?
- Tak. Ale kontroli już nie miałeś. Nad nim.
- Więc kto nim sterował?
- Nie wiem. Od statku był odłączony. Ale dalej się przemieniał. W te różne programy.
- Nie może być.
- Było. Więcej nie wiem. Księżyc znów, na dole. Byłem tam. To znaczy ty i ja. Razem.

A potem Tichy upadł.

- Co ty mówisz?
- Upadł. To musiała być kallotomia. Tu jest u mnie dziura. Potem znów pokład i łądowałeś skafander do pojemnika i piasek się sypał.
- Czyli wylądowałem, żeby się przekonać, co zaszło z tym molekularnym zdalnikiem?
- Nie wiem. Może. Nie wiem. Tu jest dziura. Po to była kallotomia.
- Rozmyślna?
- Tak. Może. Pewno tak. Żebyś wrócił i nie wrócił.
- To mi już mówili, Shapiro i Gramer jakby też. Ale nie tak wyraźnie.
- Bo to gra. Coś wiedzą, czegoś im brakuje. Pewno mają też dziurę.
- Czekał. Dlaczego upadłem?
- Głupi. Przez kallotomię. Przytomność znikła. Jak nie upaść?
- A ten piasek? Ten pył? Skąd się wziął?
- Nie wiem. Nie wiem nic.

Milczałem długo. Już było całkiem jasno. Dochodziła ósma. Ale nie widziałem nic, tak gorączkowo myślałem. Księżycowy projekt poszedł w gruz? Ale w tym gruzie nie tylko toczyły się bezsensowne zmagania i podkopy - w tym gruzie powstawało jednocześnie coś, czego nikt na Ziemi nie zaprogramował, nie spodziewał się? I to coś, co powstawało, rozbiło zdalnik Laxa? A właściwie przejęło nad nim kontrolę? Ale nie pamiętałem tego, widocznie nie mogłem zapamiętać po kallotomii. I teraz tak: albo przejęty zdalnik zwiabił mnie na Księżyc w złych zamiarach, albo w innych. W złych? Żeby mnie pozbawić pamięci? Co by

mu z tego przyszło? Chyba nic. Może chciał mi coś dać? Gdyby chciał mi tylko coś zakomunikować, moje lądowanie byłoby zbędne. Powiedzmy, że dał mi ten pył? Wtedy coś - ktoś - nie chcąc, aby ta operacja się powiodła - poraził mi mózg rozcięciem spoidła. Dajmy na to, że tak było. Wtedy TO, co zawiadywało dyspersantem, uratowało mnie? Czy jednak chodziło tylko o to, żeby ratować Tichego? Raczej nie. Chodziło o to, żeby przekaz dostał się na Ziemię. I właśnie ów miąższości, ciężki pył był tą informacją. Nie, nie mógł być wyłącznie informacją. To było materialne. Miałem to przywieźć z sobą. Tak. W ten sposób część łamigłówek składała się w większą całość. Ale nie w pełni zrozumiałą. Więc najszybciej jak mogłem powtórzyłem tę hipotezę mojej drugiej połowie.

- Może być - powtórzyła wreszcie. - Oni mają ten pył. Ale im nie wystarczy.

- I stąd te napady, ratunki, perswazje, wizyty, koszmary?

- Na to wygląda. Żebyś im się wydał na badania. To znaczy mnie.

- Ale nie dowiedzą się nic, jeżeli nie wiesz więcej, niż mówisz...

- Raczej nie.

- A jeżeli tam powstało coś tak potężnego, że mogło zawładnąć drobinowym zdalnikiem, to umiałyby skomunikować się wprost z Ziemią? Z Agencją, z bazą, z kim by chciało. A przynajmniej z facetami, których Agencja wysłała po moim powrocie.

- Nie wiem. Gdzie lądowali nowi?

- Nie wiem. W każdym razie patrzy na to, że sprzeczne interesy są TU i TAM. Co mogło TAM powstać? Z tego raka, rozpadu, jakoś to Gramer nazwał - ordogeneza, zdaje się. Narodziny ładu? Jakiego ładu? Elektroniczna samoorganizacja? Żeby co? W jakim celu?

- Jeżeli coś powstawało, to bez celu. Tak jak życie na Ziemi. Elektroniki przeżarły się nawzajem. Programy się rozjechały. Jedne powtarzały w kółko, wciąż to samo, inne całkiem się rozpadły. Jeszcze inne wtargnęły na ziemię niczyją. Urządzają lustrzane zasadzki. Fatamorgany...

- Może być... może być - powtarzałem jak osłupiały w dziwnym uniesieniu. - To możliwe. Przynajmniej mogę to sobie wyobrazić. Jeżeli w ogóle nastąpił taki powszechny rozpad i atak, i gdyby coś mogło z niego wyrosnąć, jak fotobakterie, jak jakieś wirusy ze scalonych obwodów, to na pewno nie wszędzie, tylko w pewnym szczególnym miejscu. Jako nadzwyczajny zbieg trafów... I poczęło się rozprzestrzeniać po swojemu. To jeszcze umiem sobie przedstawić. Dobrze - ale żeby z tego powstał jakiś KTOS - nie! To już po prostu bajka! Żaden cząsteczkowy duch nie mógł tam przyjść na świat. Rozum na Księżycu z tego zdruzgotania elektroniki? Nie. To czysta fantazja.

- Więc KTO przejął władzę nad molekularnym zdalnikiem?

- Wiesz na pewno, że tak było?

- Podług poszlak. Nie mogłeś po wyjściu z japońskich zwałisk nawiązać łączności z bazą. Tak?

- Tak, ale nie mam pojęcia, co zaszło potem. Nie tylko z bazą usiłowałem się porozumieć, ale także przez komputer statku z trojańskimi satelitami, żeby się zorientować, czy baza ma mnie przez mikropy na wizji. Ale nikt nie odpowiadał na wezwania. Nikt. Więc pewno mikropy zostały znów porażone, stopione i w Agencji nie wiedzą, co się stało z tym zdalnikiem. Wiedzą, że zaraz potem wylądowałem sam i że wróciłem. Reszta to już domysły. Co powiesz?

- To właśnie poszlaki. Jedyne człowiek, który wie więcej, to wynalazca molekularnego. Jak się nazywa?

- Lax. Ale on jest pracownikiem Agencji.

- Nie chciał dać ci tego zdalnika.

- Uzależniał to od mojej decyzji.

- To też poszlaka.

- Myślisz?

- Tak. Żywił obawy.

- Obawy? Że Księżyc?

- Nie ma technologii nie do rozłamania. Mógł się tego bać.

- I stało się?

- Pewno tak. Tylko inaczej, niż przypuszczał.

- Skąd możesz to wiedzieć?

- Wszystko zawsze jest inaczej, niż można wiedzieć.

- Już wiem - powiedziałem we wciąż panującym milczeniu. - To nie mogło być "przejęcie władzy". Raczej hybrydyzacja! To, co TAM powstało, złączyło się z tym, co powstało TU, w pracowni Laxa. Tak, to nie daje się wykluczyć. Jedna rozproszona elektronika włączyła się w inną elektronikę, też zdolną do dyssypacji, do różnych metamorfoz. Bo ten drobinowy zdalnik miał częściowo własną pamięć, miał w sobie programy przekształceń, tak jak kryształki lodu, które same potrafią łączyć się w miliony różnych płatków śniegu. Za każdym razem powstaje wprawdzie sześciokątna symetria, ale coraz inna. Tak! Miałem z nim łączność, a nawet w pewnym sensie wciąż NIM byłem. Ale równocześnie dostarczałem mu tylko impulsów, jak się ma przeistaczać i on sam to robił, na miejscu, na gruncie księżycowym i w podziemiu też.

- Miał inteligencję?

- Prawdę mówiąc nie wiem. Nie trzeba znać się na budowie auta, żeby być kierowcą. Wiedziałem, jak nim kierować, i dostrzegałem to, co on dostrzegał, ale nie znałem jego konstrukcji. Zresztą, gdyby potrafił się zachowywać nie jak zwykły zdalnik, pusta skorupa, lecz jak jakiś robot, to nic o tym nie wiem.

- Ale Lax wie.

- Pewno tak. Wolę jednak nie zwracać się do niego, przynajmniej wprost.

- Napisz do niego.

- Zwariowałaś?

- Napisz tak, żeby tylko on zrozumiał.

- Przejmą każdy list. O telefonie też nie ma mowy.

- Przejmą każdy list, ale nie podpiszesz się.

- A pismo?

- Ja napiszę ten list. Ty mi podyktujesz po literach.

- Wyjdą bazgroty.

- No to co? Jestem głodny, chcę na śniadanie omlet z konfiturą. Potem ułożymy list.

- Kto go wyśle? I jak?

- Po śniadaniu.

List zdawał się zrazu niewykonalnym zadaniem. Nie znałem prywatnego adresu Laxa. To zresztą było najmniejszym szkopułem. Należało pisać tak, żeby zrozumiał, że chcę się z nim spotkać, lecz nikt prócz niego nie miał tego pojąć. A przecież całą korespondencję wchodzącą badali najlepsi fachowcy, więc należało przechytryć wszystkich. O żadnych szyfrach ani mowy. Ponadto nie widziałem nikogo, komu mógłbym zaufać choćby przy wysłaniu listu. Co gorsza, Lax może nie pracował już w Agencji; a gdyby nawet jakimś cudem list dotarł do jego rąk i chciał się ze mną skontaktować, hordy agentów i wywiadów nie spuszczałyby go z oczu. Toż ponoć specjalne satelity na stacjonarnych orbitach obserwowały bezustannie miejsce mego pobytu. Do Housa żywiłem akurat takie zaufanie jak do Gramera. Także do Tarantogi nie mogłem się zwrócić. Na profesora polegałem jak na samym sobie, ale nie potrafiłem wymyślić, jak by go powiadomić o moim (czy naszym) planie bez ściągnięcia nań uwagi - zresztą i tak w każde jego okno celował na pewno ultraczuły laserowy mikrofon, a gdy kupował w supermarkecie pszenne otrąbki i jogurt, jedno i drugie prześwietlano, nim przełożył zakupy z wózka do auta. Było mi już raczej wszystko jedno, więc zaraz po śniadaniu pojechałem do miasteczka, tym samym autobusem, co pierwszy raz. Przed wejściem domu towarowego na stojakach lśniło mnóstwo barwnych kartek pocztowych, więc tak sobie przeglądałem je, aż znalazłem opatrnościową. Na

czervenym tle wielka złota klatka z prawie białą sową, o ogromnych oczach okolonych promieniście piórkami. Nie byłem ci ja na tyle szalony, by wziąć tę pocztówkę do ręki, lecz wybrałem z osiem niewinnych, potem tę z papugą, dołożyłem jeszcze dwie, kupiłem znaczki pocztowe i pieszo wróciłem do sanatorium. Miasteczko było jak wymarłe. Tylko w paru ogrodach krzatali się ludzie, a w warsztacie samochodowym naprzeciw miejsca, gdzie rozegrała się wiadoma scena, auta w strumieniach wody wjeżdżały wolno między wirujące walce niebieskich szczotek. Nikt jakoś nie szedł za mną, nikt mnie nie śledził ani nie próbował porwać. Słońce przypiekało i wróciłem po godzinnym marszu z przepoconą koszulą, więc zmieniłem ją, wzięwszy przedtem prysznic, i nuż pisać pozdrowienia do znajomych: do Tarantogi, do obu Cybbilkisów, do Wivitcha, do obu kuzynów Tarantogi. Nie za krótko i niezbyt obszernie, ni słowem nie wspominając o Agencji, o Misji, o Księżycu, rozumie się, tylko grzeczności, niewinne wspominki, no i mój adres zwrotny, bo niby czemu nie? Aby podkreślić w sympatyczny sposób żartobliwość tych pocztówek, na każdej coś domalowałem po kolorowej stronie, dwu czarno-białym pandom, przeznaczonym dla bliźniaków, dorysowałem wąsy i krawaty, jamnikowi, przeznaczonemu dla Tarantogi, otoczyłem głowę aureolą, sowę zaopatrzyłem w okulary, jakie nosił Lax, a na pręcie, którego trzymała się pazurami, naszkicowałem myszkę. Jak się zachowuje myszka, zwłaszcza koło sowy? Cicho jak trusia, Lax był nie tylko bystrym facetem, ale jego nazwisko w drugiej części było szczególne, Gugliborc, ani angielskie ani niemieckie, lecz jakby trochę słowiańskie, a jeśli tak, to powinien był wiedzieć, że Tichy znaczy mniej więcej tyle co cichy, a ponadto siedzieliśmy przecież u niego naprawdę razem w klatce. Ponieważ wszystkim napisałem już, że chętnie bym się z nimi zobaczył, mogłem to samo napisać spokojnie i jemu, z tym że podziękowałem mu za okazaną życzliwość, a w *post scriptum* przekazałem mu pozdrowienia od pani P. Psyllium. Otóż *Plantago Psyllium* są to suche pyłki rośliny, która tak się właśnie nazywa po łacinie, a gdyby cenzorzy Agencji zajrzeli do Webstera lub do encyklopedii, dowiedzieliby się, że podobnie zwie się pewien środek na przeczyszczenie. Wątpiłem, aby było im cokolwiek wiadomo o pyle z Księżycyca. Lax-Gugliborc też może o tym pyle nie wiedział, wówczas widokówka okazałaby się niewypałem, ale na więcej nie mogłem sobie pozwolić. Do Shapiry nie zatelefonowałem, Gramer nie próbował specjalnie nawiązać ze mną rozmowy, pół dnia spędzałem przy basenie kąpielowym, a odkąd porozumiałem się z moją drugą osobą, zachowywała całkowity spokój. Tylko wieczorem kiedy niekiedy, leżąc w łóżku, zamieniałem z nią parę zdań przed zaśnięciem. Po niewczynie przyszło mi do głowy, że może lepiej było posłać Laxowi widokówkę z papugą, a nie z sową, lecz stało się, musiałem czekać jego inicjatywy. Minał dzień, drugi, trzeci, nic się nie działo. Dwa razy huštałem się z

Gramerem obok fontanny w ogrodzie, pod baldachimem, ale nie próbował nawet wrócić do sprawy. Odniosłem wrażenie, że on też na coś czeka. Pocił się, sapał, stękał, narzekał na reumatyzm, najwyraźniej nie był w humorze. Z nudów oglądałem wieczorami telewizję i przeglądałem prasę. Lunar Agency ogłaszała psychoterapeutycznie brzmiące komunikaty, że analizy danych księżycowego zwiadu są w toku i żadnych nieprawidłowości albo wręcz awarii w sektorach nie wykryto. Publicystów wprawiały te zdawkowe komunikaty w wielkie oburzenie, domagali się przesłuchania dyrektora Lunar Agency i kierowników różnych oddziałów przed komisją wyłonioną z ONZ, specjalnych konferencji prasowych dla udzielenia wyjaśnień w sprawach budzących niepokój opinii publicznej, a poza tym jakby nikt nic nie wiedział. Wieczorami zachodził do mnie Russell, ów młody etnolog, który chciał napisać pracę o wierzeniach i obyczajowości milionerów. Najwięcej materiałów zgromadził dzięki rozmowom z Gramerem, nie mogłem mu jednak zdradzić, jak mało są warte, skoro Gramer tylko grał rolę krezusa, natomiast autentyczni miliarderzy, zwłaszcza z Texasu, byli nudni jak flaki z olejem. Zwyczajnymi milionerami pomiatali. Mieli własnych sekretarzy, także w sanatorium, masażystów, goryli, każdy w osobnym pawilonie, tak pilnowany, że Russell musiał sobie na moim poddaszu urządzić specjalne obserwatorium z peryskopową lunetą, aby chociaż zaglądać im w okna. Był już zrezygnowany, bo nawet uległszy porządkiem pomieszeniu zmysłów, nic oryginalnego nie robili. Nie mając nic lepszego do roboty, Russell zląził do mnie po drabince, aby pogadać po ludzku. Dobrobyt, rozszałały po przeprowadzce zbrojeń na Księżyc, miał w połączeniu z automatyzacją przemysłu, dość ponure skutki. Russell zwał je epoką jaskiniowej elektroniki. Szerzył się analfabetyzm, tym bardziej że nawet czeku nikt już nie musiał umieć podpisać, skoro wystarczał odcisk palca, a resztą zajmowały się komputerowe czytniki. American Medical Association przegrała ostatecznie walkę o ratowanie zawodu lekarza, komputery stawiały bowiem lepiej diagnozy i odznaczały się nieskończoną cierpliwością w wysłuchiwanie pacjentów. Skomputeryzowany seks też znalazł się w fatalnym zagrożeniu. Wyrafinowane aparaty w erotyce niweczyło bowiem bardzo proste urządzenie, tak zwany Orgiak. Wyglądało jak trzyczęściowe słuchawki, z małymi elektrodami, do włożenia na głowę i z rękojeścią przypominającą dziecinny rewolwer. Pociągając za cyngiel, miało się już najwyższą przyjemność, bo odpowiednie drgania drażniły odpowiednie miejsca w głębi mózgu, bez wszelkiej fatygi, bez siódmych potów, bez kosztów utrzymania zdalniczki lub zdalnika w sprawności, nie mówiąc nawet o zwyczajnych zalecankach bądź obowiązkach matrymonialnych. Orgiaki zalewały rynek, a kto chciał mieć najlepiej dopasowany, szedł na przymiarki doznaniowe, oczywiście nie do jakiegoś seksuologa, lecz do ośrodka OO (Obliczeniowego Orgazmów). A chociaż

Gynandroics i inne firmy, produkujące już poza syntefankami (*Synthetical Female*) anioły, anielice, najady, rusałki i mikronimfomanki, wylaziły ze skóry, przezywając Orgiastics Inc. "Onanistic", niewiele to pomagało przy zbycie. W większości przodujących państw zniesiono przymus szkolnej oświaty. "Dzieckiem być" - głosiła doktryna deskolaryzacji - "to tyle, co być skazanym na codzienne uwięzienie w celi tortur psychicznych, przewzanych nauczaniem". Tylko wariatowi potrzebna jest wiedza: ile koszul męskich można uszyć z osiemnastu metrów perkalujeżeli na jedną koszulę wychodzi 7/8 metra, albo: jak szybko zderzą się dwa pociągi, z których pierwszy ma pijanego osiemdziesięcioletniego maszynistę z katarem i chyżością 180 km/g, a drugi prowadzi z szybkością mniejszą o 54/8 km/g facet ślepy na kolory, przy założeniu, że na 23 kilometry toru przypada 43,7 semaforów z przedautomatyzacyjnej ery.

Tak samo zbędne są wiadomości o królach, wojnach, podbojach, wyprawach krzyżowych i wszelkich innych świństwach prehistorii. Geografii najlepiej uczą podróże. Trzeba tylko orientować się w cenach odpowiednich biletów oraz w rozkładzie lotów. Po co obce języki, skoro dość wetknąć do ucha minitranslatorok? Nauki przyrodnicze deprymują i deprawują młodociane umysły, a korzyści mieć już z nich nie może nikt, skoro nikt nie może zostać lekarzem czy nawet dentystą (odkąd wprowadzono do masowej produkcji dentomaty, rocznie popełniało samobójstwo około 30000 eks-dentystów w obu Amerykach i w Eurazji). Uczyć się chemii to tyleż warte, co uczyć się egipskich hieroglifów. Zresztą kto jako rodzic ma przemożną chętkę kształcenia dziatwy, załatwia to swoim domowym terminalem. Lecz odkąd Sąd Najwyższy orzekł, iż dzieciom tak staroświecko myślących osób przysługuje prawo apelacji od taty i mamy, rodzinno-domowe nauczanie, również terminalowe, zeszło do podziemi i tylko ostatni sadyści sadzali swoje biedne maleństwa przed pedagogerami. Pedagogery wciąż jednak wolno było jeszcze produkować i sprzedawać, przynajmniej w Stanach Zjednoczonych, a dla zachęty firmy bezpłatnie dodawały do nich coś ładnego z broni palnej. Pismo zastępował z wolna język obrazkowy, nawet na tabliczkach z nazwami ulic i na znakach drogowych. Russell nie biadał specjalnie nad tym stanem rzeczy, bo uważał, że nie warto, skoro nic się przecież nie da zrobić. Na świecie żyło jeszcze kilkanaście tysięcy uczonych, ale przeciętny wiek docenta wynosił już 61,7 lat, a narybek malał. Wszystko tonęło w takiej nudzie dobrobytu, że - jak utrzymywał Russell - wieści o grożącej inwazji Księżyca większość ludzi przyjmowała z satysfakcją, a odgłosy paniki były wymysłem prasy i telewizji, żeby robić ruch w interesie. Obecnie sądownictwo stanowe zatkane zostało sprawą tak zwanych S/Orgiaków, suicydalnych, czyli samobójczych, bo kopiąc się prądem w ośrodek rozkoszy między limbiczną i hypotalamiczną częścią mózgu, można było podobno skonać z

najwyższym zadowoleniem. Co do transcederów, transcendentalnych komputerów, umożliwiających nawiązanie łączności z zaświatem, też powstały problemy typu prawnego. Szło o to, czy ta łączność jest iluzją czy realnością, lecz badania opinii publicznej wykazały, że nabywcom ta różnica, zdawałoby się kolosalna, nie sprawia większych kłopotów. Więc i hagio-pneumatory cieszyły się dużym wzięciem, umożliwiając krótkie zwarcie z Duchem Świętym; prawie wszystkie kościoły walczyły z hagiopneumatyzacją, lecz skutki, jak dotąd, były mizerne.

*Mundus vult decipi, ergo decipiatur*; kończył swe filozofowanie mój etnolog, gdy dno pokazywało się w wysączonej flaszce bourbona. Polowe badania miliardarów tak go rozczarowały, że przeszedł na zupełny cynizm i zamiast w okna bogaczy kierował swe peryskopy w stronę solarium, gdzie opalały się na golasa siostry i sanitariuszki. Wydawało mi się to raczej dziwaczne, skoro mógł tam zwyczajnie pójść i oglądać sobie każdą z bliska, lecz gdy mu to mówiłem, wzruszał tylko ramionami. Nieszczęście polega na tym, głosił, że właśnie już można.

W sali rekreacyjnej nowego pawilonu krzątali się instalatorzy, kończąc montaż imagin. Russell zaciągnął mnie tam jednego wieczoru. Do imaginy wkłada się proks (proponującą kasetę) i w pustej przestrzeni przed aparaturą zjawia się obraz. Właściwie nie żaden obraz, lecz sztuczna rzeczywistość, na przykład Olimp, zapchany greckimi bogami i boginiami, albo coś bardziej z życia - dwukółka pełna osób z wyższych sfer, wioząca je wśród wzburzonych tłumów do gilotyny. Albo Jaś i Małgosia, przed chatką Baby Jagi, opychający się piernikowymi dachówkami. Czy wreszcie klasztorne refektorium, gdzie wtargnęli właśnie Tatarzy lub Marsjanie. Rzecz w tym, że to, co będzie dalej, zależy od widza. Pod nogami ma dwa pedały, w ręku sterowy dżędek. Bajkę można przesunąć w masakrę, urządzić powstanie bogiń przeciw Zeusowi, głowy, co wpadły do kosza gilotyny, zaopatrzyć w skrzydełka, wyrosłe z uszu, żeby poleciały gdzieś, albo dać im przyrosnąć do ciał, żeby je wskrzesić. Zresztą można wszystko. Czarownica robi z Jasia kotlety, ale można ją nimi udławić lub dać wsteczny bieg, żeby było na odwrót. Hamlet może ukraść skarb Danii i uciec z Ofelią, ewentualnie z Rosenkrantzem, jeśli nacisnąć klawisz "homo". Imagina ma klawiaturę podobną do fisharmonii, tylko zamiast dźwięków powstają inne efekty. Instruktaż to dość gruba książka, ale łatwo się bez niego obejść. Dość paru ruchów knyplem, by się przekonać, że ciągnąc rączkę w lewo włącza się najpierw sadomat, a potem perwersator. Natomiast pchnąwszy w drugą stronę, steruje się w liryzm, różne łagodne słodyczne i *happy end*. Gdyby nie okoliczność, że byliśmy obaj podchmieleni, prędko by nas ta zabawa zniechęciła, a i tak po kwadransie poszliśmy spać. Sanatorium nabyło dwadzieścia imagin, lecz prawie nikt jakoś

z nich nie korzystał. Doktor Hous był tym dość zmartwiony. Chodził od pacjenta do pacjenta i perswadował, żeby się wyżywali, bo to najlepsza psychoterapia. Jednakowoż okazało się, że żaden z milionerów i miliarderów nawet nie słyszał o Jasiu, Małgosi, Babie Jadze, mitologii greckiej, Hamlecie, mnichach średniowiecznych. W ich mniemaniu Tatarzy niczym się nie różnili od Marsjan. Gilotynę uważali na ogół za powiększone urządzenie do obcinania cygar, wszystko zaś razem za niewarte złamanego grosza. Doktor Hous, pewno uważając to za swój obowiązek, chodził sam do imaginatorium i przesiadając się z fotela na fotel puszczał w ruch baśnie, rewolucje, średniowiecza, krzyżował Szekspira z Agatą Christie, ciskał jakichś speleologów do wulkanu i wyciągał ich stamtąd ładnie opalonych, całych i zdrowych. Mnie też na to namawiał, lecz odmówiłem. Czekałem wciąż na jakiś znak od Laxa, a Gramer też jakby wciąż na coś czekał, i pewno przez to unikał mnie. Chyba nie miał nowych instrukcji. Na dobrą sprawę czułem się niezgorzej, zwłaszcza że doskonale porozumiewałem się ze sobą.

## X. KONTAKT

Był już koniec sierpnia i zapalając wieczorem lampę na biurku, zamykałem okno przed ćmami. Mój stosunek do owadów jest raczej nieprzychylny, z wyjątkiem bożych krówek. Nie przepadam za motylami, lecz mogę je znosić, natomiast ćmy, nie mam pojęcia czemu, wprawiają mnie w popłoch. A właśnie w tym sierpniu wyroiło się ich mnóstwo i bezustannie migotały za szybami mego pokoju. Niektóre były tak wielkie, że słyszałem, jak uderzają miękko w szkło. Ponieważ sam ich widok sprawia mi przykrość, chciałem zaciągnąć firanki, gdy usłyszałem stukanie. Było wyraźne i ostre, jakby ktoś metalowym przecikiem uderzał z zewnątrz w szybę. Podeszedłem do okna z lampą w ręku. Wśród bezładnie trzepocących ciem ujrzałem zupełnie czarną, większą od wszystkich, połyskującą odbitym światłem. Odlatywała od okna i uderzała w nie z taką siłą, że czułem drganie okiennej ramy. Co więcej, owa ćma miała coś na kształt małego dzióbka zamiast głowy. Stałem patrząc na nią jak urzeczony, bo nie uderzała w szybę bezładnie, lecz w miarowych odstępach, po trzy razy, odlatywała na dobrą chwilę i znów wracała, by wystukiwać swoje. Trzy kropki, przerwa, trzy kropki, przerwa, powtarzało się to wciąż, aż zrozumiałem, że to litera S w alfabecie Morse'a. Wyznaję, że wahałem się przez chwilę, czy mam otworzyć okno, chociaż już niejasno domyślałem się, że to nie jest żywe stworzenie, lecz myśl o wpuszczeniu do pokoju zwykłych ciem utrudniała mi decyzję. Na koniec jednak przemogłem się. Uchyliłem okno. Natychmiast wleciała przez szparę. Zamknąłem je i poszukałem jej wzrokiem. Usiadła na papierach zaścielających blat biurka. Nie miała skrzydeł i teraz w ogóle nie przypominała ćmy czy innego owada. Wyglądała raczej jak czarna, błyszcząca oliwka. Wyznaję, że odruchowo cofnąłem się, gdy nie wiem jak wleciała i wisząc jakieś pół metra nad biurkiem zabręczała. Skoro nie wykluła się z poczwarki, nie budziła już mego obrzydzenia. Wciąż z lampą w lewej ręce sięgnąłem po tę oliwkę prawą. Dała się wziąć w palce. Była twarda, z metalu czy plastyku. Usłyszałem znów to brzęczenie, trzy kropki, trzy kreski, trzy kropki. Przyłożyłem ją do ucha i doszedł mnie słaby, daleki, lecz wyraźny głos ludzki.

- Tu sowa. Tu sowa. Czy słyszysz mnie? - Wetknąłem ją do ucha i sam nie wiem, jak od razu wpadłem na właściwą odpowiedź.

- Tu mysz. Tu mysz. Tak, słyszę cię, sowo.

- Dobry wieczór.

- Witam - odparłem, a pojmując, że zanoszę się na dłuższą pogawędkę, zasłoniłem okno i przekręciłem jeszcze raz klucz w zamku. Tymczasem doskonale już słyszałem Laxa.

Poznałem jego głos.

- Możemy się swobodnie porozumiewać - powiedział i zachichotał cichutko.

- Nikt nas nie rozumie, bo zastosowałem *scrambling* własnego wyrobu. Będzie jednak lepiej, jeśli zostanę sową, a pan myszą, OK?

- OK - odparłem i zgasilem jednocześnie lampę.

- To nie było zbyt trudne - oświadczył mój rozmówca. - Postąpiłeś całkiem roztropnie.

Zorientowałem się od razu.

- Ale jak...?

- Lepiej myszy tego nie wiedzieć. Porozumiewamy się w pewien złodziejski sposób.

Niech mysz przekona się, że to nie fałszywy partner. Mamy przed sobą rozmaite części łamigłówek. Sowa zacznie pierwsza. Pył nie jest wcale pyłem. Są to bardzo ciekawie zbudowane mikropolimery o własnościach nadprzewodnictwa elektrycznego w pokojowej temperaturze. Niektóre połączyły się z resztkami tego biedaka, który został na Księżycu.

- Co to znaczy?

- Za wcześnie na szukanie pewnej odpowiedzi. Na razie dysponuję tylko kilkoma domysłami. Udało mi się dostać szczyptę proszku przez znajomości. Mamy około pół godziny czasu, ponieważ to, przez co zyskaliśmy łączność, zajdzie potem za horyzont myszy. Nie mogłem odezwać się za dnia, bo wprawdzie mielibyśmy wtedy więcej czasu, ale ryzyko byłoby większe.

Okropnie byłem ciekaw, w jaki sposób Lax zdołał przysłać mi tego metalowego owada, rozumiałem jednak, że nie powinienem go pytać.

- Niech sowa mówi dalej - słucham.

- Moje obawy potwierdziły się, lecz z odwrotnym znakiem. Przypuszczałem, że coś się na Księżycu zrodzi z powstałej kotłowaniny, ale nie przypuszczałem, że TAM powstanie coś, co będzie mogło skorzystać z naszego posłańca.

- Czy nie można wyraźniej?

- Wszedłbym niepotrzebnie w żargon techniczny. Powiem, co uważam za podobne do prawdy, tak prosto, jak się da. Zaszła reakcja immunologiczna. Nie na całej powierzchni Księżyca, oczywiście, ale co najmniej w jednym miejscu i stamtąd poszła ekspansja nekrocytów. Tak sobie prowizorycznie nazwałem pył.

- Skąd się wzięły i co robią te nekrocyty?

- Z logiczno-bitycznych rumowisk. Niektóre potrafią czerpać energię słoneczną. To zresztą nie jest nazbyt dziwne, bo systemów z fotoelementami było tam bardzo wiele. Oceniam ich ilość na wiele miliardów. Sęk w tym, że - jak by to powiedzieć - Księżyc zyskał

stopniowo odporność na wszelki rodzaj inwazji. Tylko proszę nie myśleć, że tam powstała jakaś inteligencja. Jak wiadomo, pokonaliśmy grawitację, pokonaliśmy atom, lecz nie pokonaliśmy ani kataru, ani grypy. Ponieważ na Ziemi powstały biocenozy, można rzec, że na Księżycu powstała nekrocenoza. Z tego całego bałaganu, wzajemnych podkopów i ataków. Jednym słowem system tarczy i miecza ubocznie, bez woli i wiedzy programistów, urodził, konając, nekrocyty.

- Ale co one właściwie robią?

- Cóż, najpierw, jak sądzę, pełniły rolę najstarszych bakterii ziemskich, więc się po prostu rozmnażały, a było ich zapewne wiele rodzajów i większość zginęła, jak to w ewolucji. Po jakimś czasie poczęły wyłaniać się gatunki symbiotyczne. Takie, które współpracują, bo im to wychodzi na wspólną korzyść. Ale powtarzam: żadnej inteligencji, nic podobnego. Są tylko zdolne do ogromnej liczby przekształceń, jak wirusy grypy, powiedzmy. W przeciwieństwie do ziemskich bakterii nie są jednak pasożytami, bo nie miały na kim pasożytować, jeśli nie brać pod uwagę tych ruin obliczeniowych, z których się wykluły. Ale to była tylko ich wstępna pożywka. Sprawa jednakowoż skomplikowała się przez to, że tymczasem doszło do rozdzielenia wszystkich broni, które tam powstawały, dopóki programy jeszcze jako tako mogły działać zgodnie z założeniami.

- Domyślam się. Na bronie skierowane przeciw temu, co żywe, i na skierowane przeciw martwym broniom?

- Mysz jest chytra. Tak musiało być. Ale z pierwotnych nekrocytów, które powstały pewno wiele lat temu, już chyba nic nie zostało. Z nekrocytów powstały selenocyty. Zaczęły, inaczej mówiąc, zespalać się, aby trwać, aby zdobywać wszechstronność, jak - powiedzmy - zwykle zarazki, które pod wpływem antybiotyków potęgują zjadliwość przez to, że staną się odporne na antybiotyki.

- Ale co pełniło rolę antybiotyków na Księżycu?

- Dużo by o tym mówić. Przede wszystkim, oczywiście, groźne okazały się dla selenocytów te produkty militarnej autoewolucji, które miały za zadanie niszczyć wszelką "siłę wroga".

- Nie bardzo rozumiem?

- No jakże? Przecież agonalna faza księżycowego projektu trwa o b e c n i e, ale przez długie lata postępowała tam specjalizacja i progresja broni, najpierw symulowanych a potem produkowanych, i niektóre z nich wzięły się do selenocytów.

- Aha, traktowały je jako "wroga", którego należy zniszczyć?

- Oczywiście. To był znakomity doping. To był odpowiednik armat, z których

przemysł farmaceutyczny strzela do bakterii. To doprowadziło do akceleracji rozwojowej. Selenocyty wzięły górę, ponieważ okazały się sprawniejsze. Człowiek może mieć katar, ale katar nie może mieć człowieka. To chyba jasne, nieprawdaż? Wielkie, skomplikowane systemy grały tam rolę ludzi.

- A co dalej?

- Bardzo ciekawy i zupełnie nieoczekiwany zwrot. Odporność z biernej stała się czynna.

- Nie rozumiem.

- Z obrony przeszły do ataku. Przyspieszyły, i to gwałtownie, ruinę księżycowego wyścigu zbrojeń...

- Ten pył?

- Ten pył. A kiedy pozostały tam już tylko dogorywające szczątki wspaniałego projektu genewskiego, selenocyty otrzymały nieoczekiwane posiłki.

- Mianowicie?

- Dyspersanta. Skorzystały z niego. Nie tyle go zniszczyły, ile go wchłonęły, albo lepiej rzec, że zaszła logiczno-elektroniczna wymiana informacji. Nastąpiła hybrydyzacja. Krzyżówka.

- Jak to mogło być?

- To nie takie znów niesamowite, ponieważ ja też wyszedłem od silikonowych polimerów z półprzewodnikową charakterystyką. Inną oczywiście, ale adaptacyjność moich drobinek była z grubsza podobna do adaptacyjności księżycowych. Pokrewieństwo dalekie, lecz jednak pokrewieństwo. W końcu gdy wychodzi się z określonego budulca, uzyskuje się jakoś podobne rezultaty.

- I co teraz?

- Tego właśnie jeszcze do końca nie rozgryłem. Kluczem może być twoje lądowanie. Dlaczego wylądowałeś na Mare Ignium?

- W japońskim sektorze? Nie wiem. Nie pamiętam.

- Nic?

- Właściwie nic.

- A twoja prawa połówka?

- Też nie. Mogę się już z nią całkiem dobrze porozumiewać. Ale proszę to zatrzymać przy sobie. Dobrze?

- Zachowam to dla siebie. Dla pewności nie spytam, JAK to robisz. Co ona wie?

- Że kiedy wróciłem na statek, miałem kieszeń skafandra pełną tego pyłu. Ale skąd się

tam wziął - nie wie.

- Mogłeś sam go zebrać na miejscu. Pytanie tylko, dlaczego?

- Sądząc z tego, co usłyszałem teraz, chyba to zrobiłem, bo przecież te selenocyty nie wtargnęłyby mi same do kieszeni. Ale nic nie pamiętam. Co wiadomo Agencji?

- Pył wzbudził sensację i panikę. Zwłaszcza że szedł twoim tropem. Wiesz o tym?

- Tak. Powiedział mi to profesor S. Był u mnie przed tygodniem.

- Żebyś dał się zbadać? Odmówiłeś?

- Nie odmówiłem wprost, ale grałem na zwłokę. Tu jest co najmniej jeszcze jeden facet. Odradzał mi to. Nie wiem, w czyim imieniu. Udaje pacjenta.

- Takich masz koło siebie więcej.

- Co to znaczy, że "szły moim tropem"? Szpiegowały mnie?

- Niekoniecznie. Można stać się nosicielem zarazków, nic o tym nie wiedząc.

- Ale historia ze skafandrem?

- Tak, trudny orzech. Ktoś ci to wsypał do skafandra albo sam to zrobiłeś. Pytanie tylko, po co.

- Pan nie wie?

- Nie jestem jasnowidzem. Sytuacja raczej skomplikowana. Po c o ś wylądowałeś. Coś znalazłeś. Ktoś usiłował pozbawić cię pamięci w obu tamtych kwestiach. Stąd kallotomia.

- Więc co najmniej trzy antagonistyczne strony?

- Nie to ważne, ile ich jest, lecz jak je zidentyfikować.

- Ale właściwie czemu to aż takie ważne? Prędzej czy później fiasko całego księżycowego projektu wyjdzie na jaw. A jeśli nawet te selenocyty stały się "odpornościowym systemem" Księżycy, jaki to może mieć wpływ na Ziemię?

- Podwójny. Najpierw, co było zresztą od dawna do przewidzenia, powrót wyścigu zbrojeń. A po wtóre, i to jest główna niespodzianka - selenocyty zaczęły się interesować nami.

- Ludźmi? Ziemią? Nie tylko mną?

- Otóż właśnie.

- Co one robią?

- Na razie tylko się rozmnażają.

- W laboratoriach?

- Nim się nasi chłopcy zorientowali, co i jak, zdążyły już roznieść się na wszystkie strony świata. Z tobą poszła tylko drobna część.

- Rozmnażają się? I co?

- Powiadam przecież: na razie nic. Są wielkości ultrawirusów.

- Czym się żywią?

- Energią słoneczną. Słyszałem oceny. Jest ich już parę trylionów, w powietrzu, w oceanach, wszędzie.

- Zupełnie nieszkodliwe?

- Jak dotąd zupełnie. Ale to właśnie wywołało szczególne zaniepokojenie.

- Dlaczego?

- Toż to całkiem proste: nie tylko ze znacznej wysokości, ale i brane w rękę wyglądają jak mialki piasek. Więc skoro wylądowałeś, widać był po temu powód, ale jaki? To chcą zrozumieć.

- Ale jeśli nic nie pamiętam - ani ja, ani moja reszta...?

- Oni nie wiedzą o waszym porozumieniu. A ponadto różne bywają typy amnezji. Pod hipnozą, albo w innych szczególnych warunkach, można wydobyć z człowieka to, czego sam żadną miarą sobie nie przypomni. A biorą się do ciebie tak ostrożnie i łagodnie z obawy, że szok, wstrząs mózgu czy inny uraz uszkodzą albo zetrą do reszty to, co może wiesz, chociaż sobie tego nie przypominasz. Poza tym nasi ludzie są skłócenii. Chodzi o właściwą metodę badań... To zresztą wyszło ci jak dotychczas na zdrowie.

- Chyba już wiem, gdzie jestem w tej historii... ale dlaczego następne zwiady nie dały żadnych rezultatów?

- Kto ci to mówił?

- Mój pierwszy gość. Ten neurolog.

- Co powiedział konkretnie?

- Że zwiadowcy wprawdzie wrócili, ale urządzono dla nich teatr. Tak się wyraził.

- To nieprawda. O ile wiem, były trzy kolejne zwiady. Dwa teleferyczne, przy czym wszystkie zdalniki uległy zniszczeniu. Mojego już nie używano, tylko konwencjonalnych. Miały co prawda specjalne rakiety, żeby wystrzelić pobrane próbki gruntu na statek, ale nic z tego nie wyszło.

- Kto je zniszczył?

- Nie wiadomo, bo łączność rwała się bardzo szybko. Już kiedy lądowały, teren w promieniu kilku mil okrywał rodzaj mgły czy chmury, nieprzenikliwej dla radarów.

- To dla mnie nowość. A trzeci zwiadowca?

- Był na miejscu, wylądował i wrócił. W pełnej amnezji. Ocknął się dopiero na pokładzie. Tak słyszałem. Czy to prawda, nie jestem całkiem pewny. Nie widziałem go. Im ciemniejsza staje się sytuacja, tym bardziej zwiększają tajemność. Nie wiem przez to, czy też przywiózł ten pył. Przypuszczam, że badają biedaka, ale raczej bez skutku, skoro wciąż tak

troszczą się o ciebie.

- Co mam robić?

- W moich oczach rzecz wygląda kiepsko, ale nie beznadziejnie. Selenocyty sparaliżują w raczej krótkim czasie ostatki księżycowych zbrojeń. Działają metodą krótkich zwarców. W pierwszej kolejności niszczą to, co im zagraża. Projekt księżycowy został już wprawdzie po cichu spisany na straty, ale nie w tym rzecz. Mamy tu kilku pierwszorzędných informatyków, którzy uważają, że Księżyc zaczyna się interesować Ziemią. Hasło brzmi: “selenosfera wkroczy w biosferę”.

- Jednak inwazja?

- Nie. Zdania są podzielone, ale raczej nie. Nic w jakimkolwiek tradycyjnym pojęciu. Posłało się wiele różnych dzinnów, w porządnie zamkniętych flaszkiach, wyrwały się z nich, zaczęły się ze sobą zmagać, aż jako uboczny efekt powstały martwe, pełne wigoru mikroorganizmy. Nie wygląda to na szykowaną inwazję. Raczej na pandemię.

- Nie pojmuję różnicy?

- Tylko obrazowo mogę to przedstawić. Selenosfera zachowuje się wobec wszelkich intruzów jak system immunologiczny wobec obcych ciał. Antygenów. Jeśli nawet nie całkiem tak jest, brak nam innych pojęć, żeby to zrozumieć. Dwaj zwiadowcy, którzy byli tam po tobie, dysponowali najnowszym typem uzbrojenia. Nie znam szczegółów, ale to nie była ani broń konwencjonalna, ani nuklearna. Agencja utrzymuje w tajemnicy, co zaszło na Księżycu, ale chmury pyłowe były tak wielkie, że dały się dostrzec i fotografować we wielu obserwatoriach astronomicznych. Co więcej - po opadnięciu tych chmur teren uległ zmianom. Powstały tam wyrwy, rodzaj kraterów, w niczym nie przypominających typowych kraterów Księżyca. Tego Agencja nie mogła oczywiście zataić, więc milczy. Sztab zaczął się dopiero wtedy brać za głowę. Dopiero wtedy uznali za możliwe, że im gwałtowniejszych środków użyje się dla zwiadu, tym gwałtowniejsza może być kontrofensywa.

- A więc jednak?

- Nie, nie “jednak”, bo to nie jest przeciwnik czy wróg, tylko rodzaj gigantycznego mrowiska. Doszły mnie przypuszczenia tak dziwaczne, że nie chcę ich powtarzać. Już musimy kończyć. Siedź, gdzie siedzisz. Dopóki nie stracą ostatka rozumu, nic ci nie zrobią. Wyjeżdżam teraz na trzy dni, w sobotę o tej samej porze odezwę się, jeśli będę mógł. Bywaj zdrów, dzielny misjonarzu.

- Do usłyszenia - powiedziałem, ale nie byłem pewny, czy doszły go moje słowa, bo zapadła martwa cisza. Wyjąłem z ucha tę lśniącą oliwkę i po namyśle schowałem ją w bombonierce z pomadkami, zawiązawszy jak cukierek w staniol. Miałem sporo czasu i

materiału do rozmyślań, lecz nic więcej. Przed zaśnięciem odstłoniłem okno. Cmy odleciały już, zwabione pewno blaskiem bijącym z okien innych pawilonów w ogrodzie. Księżyc płynął przez białawe, pierzaste chmurki. A tośmy się urządzili, rzekłem sobie w duchu, naciągając koldrę na głowę.

Nazajutrz Gramer zapukał do mnie, kiedy leżałem jeszcze w łóżku. Powiedział mi, że Padderhorn połknął wczoraj widelec. Już parę razy łykał sztucce w samobójczym celu. Bardzo go pilnują, przed tygodniem połknął łyżkę do butów. Zrobiono mu ezofagoskopię - łyżkę dostał półmetrową, ale ściągnął komuś ten widelec w jadalni.

- Czy chodzi tylko o zastawę stołową? - spytałem w miarę uprzejmie. Gramer westchnął ciężko, dopiął sobie piżamę i usiadł przy mnie na fotelu.

- Nie, nie tylko... rzekł dziwnie słabym głosem. - Nie jest dobrze, Jonatanie.

- Jak komu, Adelajdo - odparłem - ja w każdym razie nie zamierzam niczego łykać.

- Jest naprawdę niedobrze - powtórzył Gramer. Splótł ręce na brzuchu i młynkował palcami. - Boję się o ciebie, Jonatanie.

- Spokojna głowa - odparłem, poprawiając sobie poduszkę i podkładając pod plecy Jasiek. - Jestem pod murowaną opieką. Słyszałeś może o nekrocytach?

Tak go zaskoczyłem, że zamarł z wpółotwartymi ustami, a jego twarz bez szczególnego wysiłku przybrała ów głupekowaty wyraz, z jakim obnosił się jako milioner nienasycony w marzeniach.

- Widzę, że słyszałeś. I o selenosferze pewno też? Co? A może nie zdobyłeś rangi takiego wtajemniczenia? A o marnym losie tak zwanej kollaptycznej broni, z ostatnich zwiadów, wiesz coś może? I o tych chmurach na Mare Ignium? Nie, tego już na pewno ci nie powiedzieli.

Siedział i patrzył na mnie rybimi oczami, trochę sapiąc.

- Bądź łaskaw podać mi tę bombonierkę z biurka, Adelajdo - zaproponowałem z uśmiechem. - Lubię przed śniadaniem zjeść coś słodkiego...

Ponieważ nie ruszał się, wylazłem z łóżka po czekoladki i wróciwszy pod koldrę, podsunąłem mu pudełko, ale tak, że kciukiem przykryłem róg.

- Proszę cię...

- Skąd ty to wiesz? - ozwał się na koniec ochryple. - Kto... przecież...

- Niepotrzebnie się denerwujesz - rzekłem trochę niewyraźnie, bo marcepan przykleił mi się do podniebienia. - Co wiem, to wiem. I nie tylko o moich przygodach na Księżycu, ale i o przykrościach kolegów.

Zatkało go znów. Rozglądał się po pokoju, jakby był w nim pierwszy raz w życiu.

- Radiostacje, przekaźniki, tajne przewody, anteny i modulatory, co? - spytałem. - Nie ma tu nic, tylko woda cieknie trochę z tuszu. Widać uszczelka się popsowała. Czemu się dziwisz? Czy doprawdy nie wiesz, że o n e znajdują się we m n i e?

Milczał zbaraniały. Potarł sobie spocony nos. Wziął się za płatek ucha. Te objawy desperacji śledziłem z jawnym współczuciem.

- Może zaśpiewamy coś na dwa głosy? - podsunąłem mu. Czekoladki były rzeczywiście smaczne, ale musiałem się pilnować, żeby ich nie zostało zbyt mało. Oblizawszy usta, popatrzyłem na Gramera.

- No rusz się, powiedz coś, bo mnie martwisz. Bałeś się o mnie, a teraz ja boję się o ciebie. Myślisz, że będziesz miał przykrości? Jeżeli zachowasz się przyzwoicie, mogę ci służyć protekcją, wiesz, gdzie.

Blefowałem. Ale właściwie dlaczego nie miałem blefować? Już to, że tych kilka słów tak kompletnie zbiło go z pantałyku, świadczyło o bezradności jego mocodawców, kimkolwiek byli.

- Obiecuję ci, że nie będę wymieniał żadnych nazwisk ani instytucji, bo nie chcę wprawić cię w dodatkowe kłopoty.

- Tichy... - stęknął wreszcie - dla boga - nie. To nie może być. One wcale tak nie działają.

- A czyż ja mówiłem, jak? Miałem sen, z natury rzeczy jestem zresztą jasnowidzem.

Gramer nagle się zdecydował. Przyłożył palec do ust i prędko wyszedł. Przekonany, że wróci, schowałem bombonierkę pod koszulami w szafie i zdążyłem wziąć tusz oraz ogolić się, nim lekko zapukał. Zmienił szlafrok na swój biały garnitur, w ręku miał spore zawiniątko, okręcone kąpielowym ręcznikiem. Zaciągnął portierey na firankach i nuż wymotywać z tłumoka aparaciki, które poustawiał czarnymi tulejkami w stronę wszystkich ścian. Zwisający z czarnego pudełka kabelek włączył do kontaktu. Coś tam jeszcze robił, sapiąc, bo gruby naprawdę był porządnie, brzuch zupełnie autentyczny, miał chyba pod sześćdziesiątkę, odstające uszy o ogromnych małżowinach, klęcząc porał się ze swoją elektroniką, wreszcie wyprostował się na kolanach, z przekrwioną twarzą.

- No to pogadajmy - westchnął - jak już, to już...

- O czym? - zdziwiłem się, wciągając przez głowę moją najładniejszą koszulę z niesłychanie praktycznym, ciemnoniebieskim kołnierzykiem. - To ty mów, jeśli cię tak sparło. Mów mi o tych lękach, które przeżywasz w związku z moim losem. O tym facecie, co cię zapewniał, że jestem tu lepiej zakorkowany niż mucha w butelce. Zresztą mów, co chcesz, wypowiedaj mi się, pofolguj sobie. Zobaczysz, jak ci to ulży.

I nagle, ni stąd ni z owad, jak pokerzysta, który przebija pulę, nie mając nic w kartach, rzuciłem:

- Z którego jesteś wydziału - z czwórki?

- Nie, z jedyn... Urwał. - Co wiesz o mnie?

- Już dość tego - usiadłem na krześle tak, że miałem oparcie przed sobą. - Nie przypuszczasz chyba, że powiem ci coś za nic?

- Co chcesz, żebym powiedział?

- Możemy zacząć od Shapiry - rzekłem pogodnie.

- On jest z LA. To fakt.

- Ale nie jest tylko neurologiem?

- Nie. To znaczy jest, ale ma i drugi fach.

- Mów dalej.

- Co wiesz o nekrosferze?

- A co ty wiesz?

Sprawa zaczęła się robić niejasna. Być może przesoliłem.

Jeżeli był agentem wywiadu, wszystko jedno jakiego, nie mógł zbyt wiele wiedzieć. Wybitnym ekspertom nie zleca się na ogół takiej roli. Ale sprawa była wyjątkowa, więc mogłem się mylić.

- Dosyć ciuciubabki - powiedział Gramer. Był zdesperowany. Biały surdut przepocił mu się pod pachami na wylot.

- Siądź lepiej koło mnie - mruknął, opuszczając się na dywanik. Usiedliśmy więc jak dla wypalenia fajki pokoju, w środku kręgu utworzonego przez te jego aparaciki i druty.

## XI. DA CAPO

Nim otworzył usta, rozległ się nad nami warkot motoru i wielki cień przepłynął po ogrodzie, za oknami. Gramerowi rozszerzyły się oczy. Łoskot osłabł i po chwili wrócił. Tuż nad drzewami zawisł helikopter, mieląc powietrze śmigłem. Huknęło dwa razy, jakby ktoś odkorkowywał butelki gigantycznych rozmiarów. Helikopter szybował tak nisko, że widziałem ludzi w kabinie. Jeden uchylił drzwiczki i strzelił jeszcze raz ze skierowanej w dół raketnicy. Gramera poderwało. Nie sądziłem, że mógł tak szybko się poruszać. Wypadł z pokoju, gnając co sił, z zadartą głową. Ze śmigłowca wypadło coś błyszczącego i zniknęło w trawie. Maszyna przy wzmożonym ryku motorów wzbiła się w górę i odleciała. Klęcząc, Gramer grzebał w wysokiej trawie, otworzył pojemnik, nie większy od piłki nożnej, wyjął coś z niego i wciąż na kolanach, schylony, rozrywał sporą kopertę. Dostał wiadomość nie byle jaką, bo papier trząśł mu się w rękach. Spojrzał potem w moją stronę. Był blady i odmieniony. Jeszcze raz podniósł papier do oczu, wstając z klęczek. Zmiał go w garści, schował w zanadrzu i bez pośpiechu, nie zadając sobie fatygi, by wejść na ścieżkę, wracał na przełaj, przez gazony. Wszedł i bez słowa kopnął największy z przeciwpodsluchowych aparatów, aż coś w nim trzasło i ze szczelin metalowej kasety buchnął sinawy dymek krótkiego zwarcia. Siedziałem wciąż na podłodze, a Gramer rozdeptywał swe bezcenne urządzenia, rwał kable, jakby naprawdę zwariował. Na koniec, zasapany, usiadł na fotelu, zdjęwszy przedtem surdut, żeby go rozwiesić na moim krześle. Wtedy, jakby mnie dopiero zauważył, spojrzał mi w oczy i głośno stęknął.

- To tylko tak, z irytacji - wyjaśnił nie całkiem zrozumiale.

- Pójdę pewno na rentę. Twoja kariera też już się skończyła. Zapomnij o Księżycu. Shapirze możesz posłać widokówkę. Ewentualnie na adres Agencji. Oni jeszcze jakiś czas będą sobie urzędować z bezwładu.

Nic nie mówiłem, bo podejrzewałem jakieś nowe zagranie. Gramer wyjął z kieszeni wielką kraciatą chustkę, otarł spocone czoło i popatrzał na mnie ni to ze współczuciem, ni to z żalem.

- Zaczęło się dwie godziny temu i leci jak wszyscy diabli, wszędzie naraz. Człowieku, możesz to sobie wyobrazić? Jesteśmy spacyfikowani na amen! Tu i za oceanem, od bieguna do bieguna i na powrót! Globalne straty koło dziewięciuset bilionów! Wliczając kosmos, bo satelity pierwsze wysiadły. Co się tak gapisz? - dorzucił poirytowanym głosem. - Nie domyślasz się? Dostałem list od wuja Sama...

- Jestem słaby w domysłach.

- Myślisz, że gramy dalej, co? Nic z tego, bracie. Gra skończona. Opisz swoje przygody, Agencję, misję, co chcesz. Za parę tygodni zarobisz na resztę życia. Murowany bestseller. I nikt ci włosa na głowie nie ruszy. Tylko się spiesz, bo cię faceci z Agencji ubiegają. Może już siedzą nad wspomnieniami z minionej ery...

- Co się stało?

- Wszystko. Słyszałeś kiedyś o *Soft Wars*?

- Nie.

- A *Core Wars*?

- Takie gry komputerowe?

- A widzisz, że wiesz! Tak. Programy, które niszczą wszystkie inne programy. Wynaleźli to jeszcze w osiemdziesiątych latach. Wtedy były całkiem głupie. Igraszki programistów. To się nazywało infekcją obwodów scalonych, ot, zabawa. Dwarf, Creeper, Raider, Reaper, Darwin i kupa innych. Nie wiem, po kiego licha siedzę tu i wykładam ci patologię cyfroniki? - zdziwił się sam. - Ile mnie to zdrowia kosztowało! Miałem cię wziąć na hak, a teraz jestem taki dobry, że cię oświecam, zamiast szukać nowej posady!

- Wuj przysłał ci list helikopterem? To już nie ma poczty? - spytałem. Wciąż wietrzyłem w tym kolejny podstęp. Gramer wyjął książeczkę czekową, nabazgrał coś w poprzek blankietu, złożył go w papierową strzałkę i puścił mi na kolana.

“Misjonarzowi na pamiątkę od wiernej Adelajdy” - przeczytałem.

- W co się teraz bawimy? - podniosłem na niego oczy.

- Nic innego nie zostało. Wuj pozdrawia cię też, owszem. Poczty już nie ma. Nie ma w ogóle nic. Nic - zatoczył rękami koło. - Nic a nic! Zaczęło się przed dwiema godzinami, przecież ci mówię! I nawet nie warto szukać winnych. Twój profesor też jest już bezrobotny. Ten dobry staruszek! Dobrze chociaż, że na czas kupiłem sobie dom. Będę hodował róże, ewentualnie jarzyny, jako towar do wymiany za towar. Bankowość przy okazji też się rozleciała. Duszno mi...

Zaczął się wachlować książeczką czekową. Po chwili spojrzął na nią z niesmakiem i wrzucił do kosza na papiery.

- *Pax Vobiscum* - rzekł. - *Et cum spiritu tuo*. Niech to szlag trafi! Coś mi zaczynało świtać. Jego desperacja nie była udana.

- Te wirusy? - spytałem powoli.

- Domyślny się robisz... Tak jest, dzielny misjonarzu. Rozwaliłeś wszystko w drobny mak. Przecież to ty ściągnąłeś na Ziemię ten chytry proszek. Mogą ci teraz albo dać

pokojowego Nobla, albo rozstrzelać za powszechną zdradę stanu. Nobla się raczej nie spodziewaj, ale miejsce w historii masz murowane. Przywlokłeś zarazę, a czy zgubną, czy zbawienną, o to będą koty drzeć przez najbliższe lata. W każdej encyklopedii siebie znajdziesz.

- Może w twoim towarzystwie? - zaproponowałem. Nie całkiem jeszcze pojmo wałem, co za katastrofa się wydarzyła, ale Gramer nie grał już nic. Za to dałbym obie połówki mojej biednej głowy.

- Był jeszcze taki program kiedyś, Robaczek, Worm - flegmatycznie, jakby zbudzony zauważył Gramer. - Musisz wiedzieć, że teraz porządny spec w moim fachu musi mieć wyższe wykształcenie. Nie ten czas, kiedy wystarczyło być przystojną kobietą, pójść z gościem do łóżka, wykraść dokumenty, pofotografować w łazience i hajda na punkt kontaktowy. Nie, najpierw doktorat z matematyki, potem z informatyki, potem wyższe wykształcenie specjalne, pół życia, żeby w ogóle zacząć.

- Jako szpieg? - poddałem.

- Szpieg? - obrócił to słowo w ustach dwa razy i ze wzdrgnięciem wzruszył ramionami. - Szpieg! - rzekł jeszcze raz, wziął się obu rękami za granatowe szelki w białe gwiazdki i parokrotnie strzelił nimi w koszulę. - Nie mów głupstw - wyjął łagodnie.

- Jestem urzędnikiem państwowym, funkcjonariuszem o specjalnym uposażeniu, w ramach racji wyższych. "Szpieg" pasuje do mnie jak pięść do nosa. Zresztą, to już nie ma żadnego znaczenia. Z tych robaczywych programów powstała teoria erozji informacyjnej - słyszałeś o niej?

- Piąte przez dziesiąte.

- Ano właśnie. Potem się okazało, że tego wcale nie wynaleźli Professors od Computer Science, tylko bakterie, mniej więcej cztery miliardy lat temu. O dwieście milionów plus czy minus nie warto się spierać. No, bo przecież już najstarsze komórki, te pierwsze, każda miała swój program, i zżerały się i zażerały się sobą nawzajem, bo nie było jeszcze nikogo, komu mógł się przytrafić herpes albo rak.

Ale tym wybitnym ekspertom jakoś podobieństwo nie przeszło przez głowę. Zakorkowało ich kolosalną wiedzą. I tylko parę razy doszło do takich prób, w ramach cichej konkurencyjnej walki wielkich konsorcjów, żeby sparaliżować cudze komputery. Wtedy powstały te *battle programs*, chyba czytałeś o tym? Nie?

- Ale to było dawno...

- Ze czterdzieści, a może i pięćdziesiąt lat temu. Właśnie dlatego poszło teraz wszystko w proch... Przecież oprócz pałki, kuchennego noża i pistoletu nie ma już żadnej nie

skomputeryzowanej broni! Wszędzie były już programy, programiki, data processors, no i przez to. Próbowałaś może gdzieś telefonować?

- Dzisiaj nie. A co?

- A to, że automatyczne centrale także już nie działają. Człowieku, te wirusy wlażyły wszędzie naraz! Słuchałeś radia?

- Nie. Zresztą nie mam.

- Rozumu one nie mają. To było jasne od samego początku. Mają tyle rozumu, co pierwszy wirus z brzegu. Ale wirulencja - erozyjność - w maximum! Nie wiem - poskarżył się ścianie, na której wisiały płomienne żółte kwiaty reprodukcji van Gogha - czemu JA mam się z tobą jeszcze zadawać? Chyba pójde na spacer albo się może powieszę. Na tych drutach.

Kopnął najbliższy aparat.

- To, co z przodu wygląda jak zawiła tajemnica, z tyłu zwykle jest proste jak drut - powiedział. - Posłaliśmy najlepsze broniotwórcze programy na Księżyc? Posłaliśmy. Doskonaliły się przez iks lat? Jeszcze jak się doskonaliły! Wjechały na siebie całą parą? Jasne, inaczej nie mogło być. Kto zwyciężył? Jak zawsze, ten, kto w najmniejszej objętości zawarł największą zjadliwość. Pasożyty wygrały, molekularne maciupstwa. Nawet nie wiem, czy już zostały ochrzczone. Ja bym proponował *Virus Lunaris Pacemfaciens*. I tylko ciekaw jestem, JAK i CO ściągnęło cię na Księżyc, żebyś tam wylądował i przywiózł tę dobrą dzumę? Możesz mi już powiedzieć - to prywatne, bo dla rządów żadna różnica. Teraz już nie.

- Wszystkie programy zostały zniszczone? Pamięci w komputerach, wszystko? - spytałem oszołomiony. Dopiero teraz zacząłem ogarniać rozmiary rewelacji.

- Tak jest, morowy panie misjonarzu. Mam na myśli mór, z noweli Edgara Allana Poe. Ty to przywoziłeś! Nie przypuszczam, żeby umyślnie, bo skąd mogłeś wiedzieć? Wpadliśmy mniej więcej w pierwszą połowę dziewiętnastego wieku. Pod względem technicznym i w ogóle. Uważasz? Z tym, że wtedy były jednak armaty. Teraz trzeba je będzie wyciągać z muzeów.

- Czekajże, Adelajdo - przerwałem mu. - Dlaczego akurat w dziewiętnastym wieku? Wtedy były przecież już porządnie uzbrojone armie...

- Masz rację. Właściwie stan jest bez precedensu. Coś jak po takiej cichutkiej wojnie atomowej, w której na rozkurz poszła cała infrastruktura. Baza przemysłowa, łączność, bankowość, automatyzacja. Ocalały tylko mechanizmy proste, ale żadnego człowieka ani żadnej muchy nie ukrzywdziło. Chociaż i tak nie jest. Musiało być mnóstwo wypadków, tylko przez brak łączności nikt na razie nic o tym porządnie nie wie. Przecież i gazet od dawna nie drukuje się podług Gutenberga. Redakcje też szlag trafił. Nawet nie wszystkie urządzenia w

autach działają. Mój cadillac już jest trupem.

- Ale chyba służbowy? - zauważyłem. - To nie musisz się martwić...

- Faktycznie - zgodził się Gramer. - Teraz górą będą biedacy, Czwarty Świat, bo mają jeszcze stare remingtony, może nawet lebele z tysiąc osiemset siedemdziesiątego roku i amunicję, ewentualnie włócznie, bumerangi, pałki. To jest teraz "broń masowej zagłady". Możemy się spodziewać inwazji australijskich aborygenów. Dawno już są u siebie przy władzy. No, ale możesz mi powiedzieć, po co zlałeś tam na dół, nie? Co ci to szkodzi?

- Naprawdę myślisz, że wiem? - zdziwiłem się, ale nie bardzo, bo czułem, jak mikroskopijna stała się moja osoba i moja sytuacja. - Pojęcia nie mam i gotów jestem odpalić ci pięć procent mych przyszłych honorariów za ten bestseller, jeżeli potrafisz TO wyjaśnić... Po takich studiach musisz być lepszy od Sherlocka Holmesa. Dedukuj! Wszystkie poszlaki znasz tak dobrze jak ja...

Pokiwał melancholijnie głową.

- Nie wie - oświadczył kwiatom van Gogha, których dosięgło już słońce. Rzuciły żółtawy odblask na moją zmiętą pościel. Ponieważ nogi mnie zabolowały od siedzenia w kucki, wstałem, wyjąłem z szafy schowaną za ubraniami flaszkę bourbona, z zamrażalnika kostki lodu, nalałem sobie i jemu i zaproponowałem pogrzebowy toast - nad mogiłą rozbrojeniowych zbrojeń.

- Mam wysokie ciśnienie i cukier - zastrzegł się Gramer, obracając w palcach szklaneczkę. - Ale ten jeden raz się nie liczy. Niech ci będzie. Za nasz zmarły świat!

- Dlaczego "zmarły"? - zaprotestowałem. Pociągnęliśmy obaj. Gramer zakrztusił się, długo kaszłał, odstawił nie dopity trunek i potarł sobie policzek. Zauważyłem, jak nieporządnie był ogolony. Słabym głosem, jakby się w jednej chwili postarzał o dziesięć lat, rzekł:

- Im kto wyżej zalał komputerami, tym głębiej wpadł. Przeżarły wszystkie programy - uderzył się po kieszeni, w której miał list od "wujka Sama". - To jest stypa. Koniec jednej epoki.

- Dlaczego? Jeżeli na zwykłe wirusy są lekarstwa...

- Nie pleć głupstw. Jakie lekarstwo wskrzesi ci trupa? Przecież ze wszystkich programów na ziemi, w powietrzu, pod wodą i w kosmosie nic nie zostało. Nawet ten list musieli mi tu przywieźć starym Bellem, bo w nowszych typach wszystko stanęło. Parę minut po ósmej zaczęło się... a ci idioci myśleli, że to zwyczajna zaraza.

- Wszędzie jednocześnie?

Darmo próbowałem sobie wyobrazić chaos w bankach, na lotniskach, w biurach,

ministerstwach, szpitalach, w ośrodkach obliczeniowych, na uniwersytetach, w szkołach, fabrykach...

- Dokładnie nie wiadomo, bo nie ma łączności, ale podług tego, co mnie doszło, wszędzie naraz.

- Jak to się mogło stać?

- Przywiozłeś pewno larwalne formy albo przetrwalniki. Zarodniki, które zaczęły się lawinowo rozmnażać, żeby uzyskać określony stan nasycenia w powietrzu, w wodzie, wszędzie, aż to osiągnięte stężenie spowodowało ich aktywizację. Najlepiej zabezpieczone musiały być programy zbrojeniowe na Księżycu, więc z ziemskimi poszło im jak z nut. Totalna bitodemia. Parazytarny bitocyd. Z wyjątkiem tego, co żywe, bo na Księżycu nie miały do czynienia z niczym żywym. Gdyby nie to, pewno zakatrupiłyby nas wszystkich razem z antylopami, mrówkami, sardynkami i z trawą na dokładkę. Daj spokój! Mnie się już nie chce robić ci wykładów...

- Jeżeli jest, jak mówisz, wszystko zacznie się od nowa - po staremu...

- Jasne. Za pół roku albo za rok znajdą antidotum na *Virus Lunaris Bitoclasticus* - przyłożą mu kontrwirusy i świat poczne włączyć w następną kabałę.

- To może nie stracisz posady?

- Osobiście mam dość - oświadczył kategorycznie. - Niekoniecznie, żebym nie chciał. Po prostu jestem za stary. Nowa era wymaga nowego wykszolenia. Informatyki antylunarniej i tak dalej. Cały Księżyc podgrzeją pewno termojądrowo, wysterylizują, choć to pójdzie w miliardy, ale koszt się opłaci, spokojna głowa.

- Komu? - spytałem. Ten cały Gramer był dziwny - wciąż się ze mną żegnał, lecz ani myślał wstać, żeby odejść. Pomyślałem naraz, że się po prostu wyżalą przede mną, bo tylko ja jeden w całym sanatorium wiem, kim jest. Cóż, miał iść do psychiatrów ze swym złamanym życiem?

- Komu? - powtórzył. - Jak to komu? Wszystkim producentom broni, wszystkim gałęziom przemysłu. Wszystkim. Powyciągają z bibliotek stare plany, najpierw odbudują trochę klasycznych urządzeń, raket i wezmą się do komputerowych trupów. Toż cała *hardware* stoi jak dobrze zakonserwowana mumia. Tylko *software* diabli wzięli. Poczekaj parę lat. Sam zobaczysz.

- Historia nie powtarza się nigdy dokładnie - zauważyłem i nie pytając go, dolałem mu bourbona. Wychylił do dna, nie zakrzusił się, tylko mu trochę łysina poczerwieniała. W strudze słonecznego światła, padającego przez okno, igrały lśniące maleńkie muszki.

- Cholerne muchy wyszły oczywiście cało - ponuro rzekł Gramer. Patrzył w ogród,

gdzie chorzy w kolorowych szlafrokach i piżamach jakby nigdy nie człapali alejkami. Niebo było błękitne, słońce świeciło, wiatr poruszał koronami wielkich kasztanów, a polewaczki fontannowe obracały się miarowo, grając tęczami w bryzgach rozpraszanej wody. Tymczasem jeden świat zawalił się i odchodził w bezpowrotną przeszłość, a następny nie tkwił nawet w powijakach. Nie podzieliłem się z Gramerem tą myślą, jako zbyt banalną. Nalałem tylko resztę trunku.

- Chcesz mnie upić? - spytał, lecz wypił, odstawił szklanke, wstał wreszcie, zarzucił sobie na ramiona surdut i zawahał się, z ręką na klamce.

- Jakbyś sobie przypomniał... wiesz co... to napisz. Porównamy.

- Porównamy? - powtórzyłem jak echo.

- Bo mówiąc prywatnie, mam o tym swoją myśl.

- Dlaczego wyłudowałem?

- Poniekąd.

- To powiedz.

- Nie mogę.

- Dlaczego?

- Nie wypada mi. Składałem, tego, przysięgę. Służba nie drużba. Siedzieliśmy po przeciwnych stronach stołu.

- Ale stół zniknął. Nie bądź takim służbistą. Zresztą mogę ci dać słowo, że zachowam to dla siebie.

- Dobry jesteś! Napiszesz, wydasz i będziesz się upierał, że ci pamięć wróciła.

- No to idziemy na spółkę. Sześć procent moich honorariów.

- Na piśmie?

- Rozumie się.

- Dwadzieścia!

- Przeciągnąłeś strunę.

- Ja?

- I tak zacząłem się już domyślać, co możesz mi powiedzieć.

- E?

Skłopotał się. Widać zbyt wiele łyknął wiedzy, a za mało tego innego wykszolenia. Uznałem, że nie nadawał się zbyt dobrze do uprawianej profesji, ale mu tego nie powiedziałem. I tak wybierał się na emeryturę.

Gramer zamknął tymczasem uchylone drzwi, wyjrzał pewno z samej rutyny przez okno, przysiadł na brzegu biurka i podrapał się za uchem.

- To mów... - mruknął.

- Jeżeli powiem, centa nie zobaczysz...

Za jego plecami zieleniały ogrody. Aleją jechał na fotelu inwalidzkim stary Padderhorn, z półmetrową łyżką w rękę. Trzymał ją jak drzewce sztandaru. Pielęgniarz, pchając fotel, palił jego cygaro. Kilka kroków za nimi szedł goryl Padderhorna, w szortach, zresztą goły, muskularny, opalony na brąz, w białym kapeluszu z wielkimi kresami, z twarzą zasłoniętą otwartym kolorowym komiksem. Na luźnym pasie bałamkała mu się kabura i biła go w udo.

- Mów albo żegnaj, stary przyjacielu - oświadczyłem. - Wiesz przecież, że Agencja i tak zaprzeczy wszystkiemu, co ogłoszę...

- Ale jeżeli wymienisz mnie jako informatora, będę miał przykrości...

- Nic tak nie zmniejsza przykrości jak pieniądze. A zresztą, wymienię cię, jeżeli NIC mi nie powiesz... Ponadto sądzę, że musisz się podleczyć. Rozstrój nerwowy. To widać. Co tak patrzysz? Już wszystko mi wyjawieś.

Milczał, załamany. Policzki zadrgały mu. Zrobiło mi się go trochę żal.

- Nie powołasz się na mnie?

- Zmienię nazwisko i wygląd.

- Ale i tak mnie rozpoznają.

- Niekoniecznie. Myślisz, że tylko ciebie jednego do mnie tu przystawili? To było przez was, prawda? - Oburzył się.

- Nie przez żadnych "nas". Nie mamy nic wspólnego z Lunar Agency. To oni!

- Jak i po co?

- Nie wiem dokładnie, jak, ale wiem, po co. Żebyś nie wrócił. Gdybyś tam szedł, wszystko zostałoby po staremu.

- Przecież nie na zawsze. Prędzej czy później...

- O to właśnie chodziło, żeby "później". Bali się raportu.

- Powiedzmy. Ale ten pył? Skąd się wziął w moim skafandrze? Skąd mogli o nim wiedzieć?

- Wiedzieć nie wiedzieli, ale Lax miał swego stracha. Dlatego kręcił z tym dyspersantem.

- I to do was doszło? - zdziwiłem się.

- Jego asystent jest nasz. Lauger.

Wspomniałem pierwszą rozmowę z Laxem. Rzeczywiście mówił, że któryś ze współpracowników go podszedł. Cała historia stawała w nowym świetle.

- Kallotomia to też oni? - spytałem.

- Pojęcia nie mam. - Wzruszył ramionami.

- Nie dowiesz się nigdy - dodał. - Nikt się nie dowie. Przy najwyższej stawce prawda przestaje istnieć. Zostają same hipotezy. Różne wersje. Jak było z Kennedym.

- Z prezydentem?

- Tutaj stawka była jeszcze wyższa. Cały świat! Nie ma większej! Teraz napisz, coś przyrzekł...

Wyjąłem z szuflady papier listowy i długopis. Gramer stał odwrócony przy oknie. Podpisałem się i podałem mu cyrograf. Spojrzał i zdziwił się.

- Nie pomyliłeś się?

- Nie.

- Dziesięć?

- Dziesięć.

- Wet za wet: dołożyłeś, to i ja ci dołożę. Dyspersant miał cię ściągnąć na Księżyc.

- Chcesz powiedzieć, że Lax? Nie wierzę w to!

- Nie Lax. On nic nie wiedział. Lauger znał wszystkie plany. Do kilkudziesięciu programów włożył jeszcze jeden. Żadna sztuka. Przecież to programista.

- A więc to jednak przez was...

- Nie. On pracował na trzy strony naraz.

- Lauger?

- Lauger. Ale był nam potrzebny.

- Dobrze. Dyspersant wezwał mnie. Wylądowałem. Ale co z tym piaskiem?

- Czynniki przypadkowe. Nikt tego nie przewidział. Jeżeli nie wspomnisz tej chwili, tam, nikt się już w tym nie rozezna. Nigdy.

Złożył kartkę we dwoje, schował do kieszeni i rzucił mi od drzwi:

- Trzymaj się!

Widziałem go, jak szedł w stronę głównego pawilonu. Nim znikł za żywoplotem, lewa ręka wzięła mnie za prawą i uściśnęła. Nie powiem, że ten wyraz aprobaty mnie uradował. Ale tak czy owak trzeba było dalej żyć.

*Maj 1984*